

Z. SKUPSKI.

---

W obronie świątyni

Poznań.









2



W OBRONIE ŚWIĄTYNI.





Wybór dzieł i powieści dla młodzieży.

---

---

I.

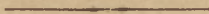
# W OBRONIE ŚWIĄTYNI

Powieść historyczna z czasu upadku Jerozolimy.



Z angielskiego przerobił

Zygmunt Słupski.



Poznań.

Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego.

1901.



250343



## WSTĘP.

### Bunt.

Wypadki na których ta powieść osnuta, były następstwem buntu, jaki żydzi przeciw rzymianom podnieśli w 7 dziesiątku lat po narodzeniu Chrystusa. Najpierw zatem posłuchajmy co o tym buncie mówi sam rabi Salomon Ben Menasseh, naoczny świadek wszystkiego. Oto jego słowa:

— Zaburzenia wybuchły najpierw w Cezarei, a początek dała kłótnia naszych z syryjskimi grekami. Gubernator Feliks wziął stronę greków, którzy tem ośmieleni, wiele ludu wymordowali.

Gdy Feliksa nareszcie odwołano, wysłaliśmy do Rzymu skargę na niego, ale tymczasem grecy, za pomocą przekupstwa, wyjednali sobie wyrok, który odjął żydom cezarejskim prawa obywatelskie.

To było źródłem dalszych zaburzeń. Chwilowo jednak ograniczyły się tylko do Cezarei, bo gdzieś indziej, nowy gubernator, Festus, umiał je w zarodku stłumić.

Ale tymczasem powstał i w Jerozolimie zatarg z Królem Agryppą. Król bowiem kazał wznieść przy swym pałacu na pagórku Synai, wysoką wieżę, z której można było widzieć ofiary, składane na dziedzińcu świątyni. Lud to poczytawszy za obrazę boską, wznosił wysoki mur, aby widok królowi zasłonić. Agryppa zażądał zburzenia muru, ale myśmy wysłali Izmaela, najwyższego kapłana i Hil-

kiąha, skarbnika, ze skargą do Nerona, który wprawdzie zezwolił na pozostawienie muru, ale posłów zatrzymał w Rzymie; Agryppa tymczasem nowego ustanowił arcykapłana, Józefa, a ten niebawem ustąpił miejsca Annaszowi.

Ów Annasz, aby zadowolnić saduceuszów, korzystając z nieobecności gubernatora, wielu chrześcian na śmierć posłał. To wywołało wielkie oburzenie, gdyż byli to ludzie spokojni i nikomu nic nie zawinili. Agryppa tedy, ulegając opinii, na miejsce Annasza ustanowił Jezusa, syna Damnai.

Wtedy, na nieszczęście, dobry i sprawiedliwy Festus umarł, a nowy gubernator, Albinus, był to człowiek chciwy i gotów za pieniądze wszystko zrobić. Największy łotr mógł spokojnie broić, byle się okupił. Na ulicach więc częste zachodziły bójki, nikt nie był pewnym życia i mienia, zwłaszcza że gubernator wypuścił z więzień wszelakiego rodzaju zbrodniarzy. A na domiar złego, właśnie ukończono już budowę świątyni, a ztąd 18,000 robotników bez zajęcia, rozbiegło się po mieście, zawsze gotowych służyć temu kto więcej zapłaci.

Gessius Florus, następcą Albinusa, był jeszcze gorszy. A kiedy udawano się ze skargą do Cestiusa Gallusa, rzymskiego wodza w Syrii, to ten, jako serdeczny przyjaciel Florusa, poprostu drwił sobie i szydził z proszących.

Tak tedy rzeczy stały w Jeruzalem, kiedy się w Cezarei znów stare spory odezwały.

Tym razem poszło o to, że jakiś grek nietylko nie chciał odstąpić gruntu przyległego do synagogi, ale nawet złośliwie zaczął już na nim budować szereg nędznych chat, aby nam tylko dokuczyć. Nie obyło się przytem bez starcia robotników z młodzieżą, która im chciała przeszkodzić. Wtedy możniejsi ofiarowali Florusowi 8 talentów, aby budowy



zabronił, ale się na obietnicy tylko skończyło, gdyż w duchu radby bunt wywołać, bo to zawsze daje sposobność do obłowienia się.

Jako też niebawem wynikła walka z poganami, skutkiem której nasi opuścili miasto. A Florus nie tylko że ich posłów kazał do więzienia wtrącić, ale nadto zażądał jeszcze wydania mu 17 talentów ze skarbcza świątyni.

Wywołało to ogólne oburzenie; ale on z całym swym wojskiem podążył pod mury miasta, które nie czując się na siłach, otworzyło mu swe bramy. Niezadowolony tem jednak, tyran dał rozkaz do rabunku i mordów. Zginęło 3600 ludu.

Można sobie wyobrazić, co się wtedy działo w sercu tych ludzi. Zaraz nazajutrz wielkie zgromadziły się tłumy na placu targowym, miotając przekleństwa na morderców. Ale wybitni mężowie oraz kapłani, rozdarłszy swe szaty, błagali, aby się wszyscy w spokoju rozeszli, niedrażniąc gniewu srogięgo gubernatora — jako też na razie udało się jeszcze zażegnać burzę.

Florus jednakże, chcąc koniecznie bunt wywołać, rozkazał ludowi wyjść na powitanie wojska idącego od Cezarei, które miało na tłum uderzyć i za uciekającymi wejść do miasta. Ale skoro się dowiedziano że on sam tymczasem zamierza w popłochu zamek Antonia opanować i tem samym już mieć drogę do skarbów świątyni otwartą, — zaraz tłum jak szalony rzucił się taką masą, że wojsko żadną miarą nie mogło się przez ulice przedrzeć.

Jakiż to straszny był obraz śmierci i zniszczenia! Jaki hałas, jaki zgiełk! Dzikie okrzyki rozbestwionego żołdactwa, mieszały się z jękiem umierających. Lud nie bronił się ale i nie ustępował. Niektórzy tylko z dachów i okien rzucali na wojsko kamie-

niami. Tymczasem zburzono też przejście z zamku do świątyni.

Florus tedy widząc się zawiedzionym w swych zamiarach, dał rozkaz do odwrotu, a wezwawszy kapłanów i starszych, oświadczył gotowość opuszczenia miasta, w którym miała tylko jedna kohorta zostać dla utrzymania porządku.

Tymczasem przed Cestiusem Gallusem całą winę złożył na lud. I myśmy także wysłali skargę, do której się nawet przyłączyła i Bernice, siostra Agryppy. Cestius, pod pozorem zbadania sprawy na miejscu, poszedł aby Florusa do władzy przywrócić. Ale tymczasem, na szczęście, powrócił też król Agryppa z Egiptu.

Siedm mil za miasto lud z płaczem wyszedł na jego spotkanie, by błagać o opiekę. Zapewniano przytem, że był to bunt nie przeciw rzymianom ale Florusowi tylko. Król przyrzekł że skoro się cesarz o wszystkim dowie, z pewnością okrutnego Florusa odwoła. Tymczasem jednak radził uznać jego władzę i słuchać. Ale na samą myśl, że ten znieprawidzony tyran miałby znów rządy objąć, tłum zawrzał oburzeniem. Posypały się przekleństwa i kamienie na Agryppę, który na ogólne żądanie usunął się z miasta do własnego królestwa.

Każdy jaśniej patrzący, znając potęgę rzymian, łatwo mógł koniec przewidzieć, ale już ludzie klas wyższych nie mieli wpływu na tłumy, Tymczasem udało się ludowi zdobyć Masadę, silną warownię nad morzem martwym, przyczem załoga rzymska w pień została wyciętą. Ale co gorsza, z namowy Eleazara, kapłani postanowili odmówić przyjęcia ofiar, zawsze w imieniu cesarza składanych żydowskiemu Bogu, a to już równało się wypowiedzeniu wojny. Nic nie pomogły nasze uwagi, wpływ Eleazara przeważył. Wobec tego stronnictwo poko-

jowe postanowiło spróbować jeszcze ostatniego środka. Wysłaliśmy tedy z prośbą do Agryppy i Florusa aby coprędzej przybyli i władzę znów objęli, dopóki jeszcze nie zapóźno. Ale Florus nawet nie raczył odpowiedzieć, bo właśnie wszystko po jego myśli się układało; Agryppa tylko, chcąc miasto ocalić, przysłał Darjusza i Filipa z 300 konnicy. Pod taką osłoną, zajęliśmy górne miasto, podczas gdy stronnictwo wojenne z Eleazarem, było w posiadaniu świątyni.

Cały tydzień wrzała ta bratobójcza walka, aż w końcu Daryusz ustąpił, a gdy tak przeciwnicy wzięli górę, zaraz padły w gruzy pałace Agryppy i jego siostry, dom Ananjasza i inne. Spalono także archiwum, zawierające dowody różnych zobowiązań prywatnych. Zwycięzcy, zachęceni chwilowem powodzeniem, nazajutrz oblegli słabo obsadzony zamek Antonia. A dowództwo nad nimi objął niejaki Manahem, syn Iudasza Zeloty. Po dwóch dniach szturmów, udało mu się jedną z wież zdobyć a wtedy załoga weszła w układy; ale wypuszczono tylko żydów i żołnierzy Agryppy, rzymianie zaś bronili się jeszcze w wieżach Hippicus, Phasaelus i Mariamne.

Teraz Manahem zwycięstwem upojony, przywłaszczył sobie władzę królewską. Nie podobało się to Eleazarowi, podburzał więc przeciw niemu, i śmierć przecięła dalsze panowanie samozwańca.

Tymczasem dowódzca garstki rzymian, Metilius, widząc że opór daremny, poddał się na honorowych warunkach. Ale skoro tylko rzymianie, wedle umowy, broń złożyli, wycięto ich w pień, z wyjątkiem jednego Metiliusa.

Po tym tak okrutnym czynie, wielki zapanował smutek w mieście. Każdy bowiem to czuł, że teraz już ani mowy być nie może o żadnem pojednaniu, jedynie wojna na śmierć lub życie. A po-



nieważ w razie klęski, zemsta by na cały lud spadła, więc nie pozostało nic, jak tylko wszyscy razem bronić się będą do upadłego. Dlatego też ja, który aż do owej chwili byłem przeciwny wojnie, później każdego zachęcałem do walki, bo już nie czas na spory.

Ale kiedy bezbronni jeńcy rzymscy ginęli od miecza zwycięzców, w Cezarei grecy wymordowali 20,000 kobiet, starców i dzieci. Wiadomość o tych obu rzeziach, do szaleństwa podrażniła cały lud. Wszędzie porwano za broń. Niebawem cała Syrja leżała w gruzach.

Ale nawzajem i syryjczycy rzucili się na naszych; zewsząd dochodziły wieści o strasznych rzeziach.

W okolicy np. Scythopolis, chociaż mieszkający tam żydzi, na równi z syryjczykami stanęli do obrony kraju przeciw najazdowi, syryjczycy jednak nie dowierzając im, w nocy się na nich rzucili, i co do jednego aż 13,000 wymordowali, a własność ich zagrabili. I w wielu innych miastach działo się to samo. W Askalonie 2500 a w Ptolemais (dziś Akka) padło 2000.

Nawet i w Aleksandryi wynikły zaburzenia także w skutek kłótni z grekami. Gubernator, sam żyd z pochodzenia, nie mogąc sporu załagodzić, i ulegając opinii, wysłał wojsko. Nasi walczyli mężnie ale napróżno. Zginęło tam 50,000 mężczyzn, kobiet i dzieci.

A kiedy się tak wszędzie krew lała obficie, prefekt syryjski, wspomniany już Cestius Gallus, gotuje się do najazdu. Rzymskiego wojska miał wtedy do 10,000, ale z górą 13,000 ściągnął jeszcze od Agryppy, Sohemusa i innych sprzymierzeńców. Z taką siłą wyruszywszy, najpierw spalił i zrabował

Zebulon, a ztąd poszedł przez Ptolemais na Cezareę, wszędzie po drodze siejąc śmierć i zniszczenie.

Jeden jego oddział bez oporu zająwszy Joppę, wymordował 8500 spokojnych mieszkańców. Wszystkie miasta Galilei otwierały mu swe bramy. Dopiero pod Jerozolimą zgotowano krwawe powitanie.

O 6 mil od miasta nasi z taką siłą uderzyli na niego, że gdyby im konnica z tyłu nie zagroziła, możeby stamtąd żywa dusza nie uszła. Zostało jednak 500 trupa na placu; ale w końcu musieliśmy się do miasta cofnąć. Rzymianie również postępowali za nami, ale im na tyłach ogromnie psocił Szymon, syn Giorosa, bo z niewielkim oddziałem napadał na ich tabory, zabijał im ludzi, niszczył żywność lub przecinał dowóz.

Agryppa tymczasem jeszcze raz spróbował nakłonić lud do uległości, ale jego posłów, którzy w imieniu Cestiusa obiecywali przebaczenie, Eleazar albo pomordował albo przepędził. Cestius więc daremnie 3 dni na odpowiedź przeczekawszy, do szturmowania wreszcie uderzył. Zaraz na wstępie powiodło mu się zdobyć przedmieście Bezea, i tam obozem leżąc, gotów był czekać na pomoc ze strony zwolenników pokoju, ale obrońcy wysłedzili, że Ananiasz ma mu bramy otworzyć, więc zabiwszy i jego i przyjaciół, ciała za mury wyrzucili. Wobec tego zawodu, Cestius przez 5 dni gwałtownie szturmował, ale niewidząc skutku, nagle cofnął się, i to właśnie w chwili, gdy pokojowcy już mieli mu jedną z bram otworzyć.

Teraz wszystko co żyło wypada z murów i dalejże całą siłą na uchodzących.

Cestius wciąż niepokojony, zaledwie zwolna tylko mógł się posuwać. Dotarł wreszcie pod Gabao, z zamiarem dłuższego postoju w dawniejszym swym obozie; ale widząc w około rojące się zastępy

naszych wojowników, po dwóch dniach ruszył dalej, zostawiwszy cały swój bagaż i pozabijawszy wszystkie bydło, z wyjątkiem tylko pociągów, niezbędnych do wozów z zapasem strzał i maszyn wojennych. A kiedy go ujrzano w dolinie Bethoron, wtedy nasi byli nieomal pewni że już im z rąk nie ujdzie. Bo czyż nie tam na rozkaz Jozuego nawet słońce się zatrzymało aby mu dopomódz do zwycięstwa nad chanańczykami; czyż nie w tej dolinie Juda Machabejczyk zniszczył syryjskie zastępy Nihanora? Więc i teraz pewni że im Bóg również da zwycięstwo, uderzyli na wroga.

Wśród gór i skał, rzymska konnica nie mogła być czynną; niemniej i piechurom trudno było wspiąć się na strome ściany, a tymczasem zewsząd padały na nich strzały, włócznie lub kamienie, i gdyby nie noc przeszkodziła, byłiby może do nogi tam wyginęli.

Ale nasi pewni że im nikt z tej pułapki nie ujdzie, już zawczasu oddawali się radości. Do rana góry rozbrzmiewały okrzykami wesela lub hymnem dziękczynnym. A z jakąż niecierpliwością wyczekiwano świtu! Ale upojeni szczęściem, nie dość pilnie strzegli swej zdobyczy. Cestius więc, zostawiwszy przy ogniskach 400 swych najdzielniejszych żołnierzy, sam z resztą cichaczem się wysunął z matni.

Wściekli doznanyim zawodem, nasi w pień najpierw wyciąwszy owych 400 śmiałków, rzucili się w pogoń za tamtymi; ale Cestius przez te kilka godzin uszedł już zbyt daleko. Przyszło więc przestać tylko na bogatych łupach, z którymi, jako zwycięzcy, wróciliśmy do Jeruzalem.

Ogółem zginęło do 6000 rzymskiego wojska.

Ale Rzym to potęga. A gdzie raz nogę swą postawi, ztamtąd już nie daje się tak łatwo wyku-



rzyć. Choćby całą armję stracił, to prędzej czy później, przyjdzie z drugą jeszcze liczniejszą i swego dopnie. Więc — zwyciężyliśmy, to prawda, ale co teraz dalej?

Otóż tak rzeczy stoją w chwili, gdy się nasza powieść zaczyna.



## ROZDZIAŁ I.

### Burza.

Do wieczora jeszcze daleko, a nad jeziorem Galilejskim już prawie mrok zapada; bo słońce zakryły dźwigające się od zachodu ciemne, granatowe płaty chmur. I wiatr się już zrywa, a na pomarszczonej fali, zaczyna się coraz bardziej kołysać małe bez żagla czółenko.

Siedzi w niem dwoje ludzi. A śnać bez celu płyną; sternik bowiem zaledwie wiosłami porusza, i żywą zajęty rozmową, zda się zgoła nie widzieć grożącego im niebezpieczeństwa, bo jakoś wcale ku brzegowi nie zawraca

Zresztą nie mógł widzieć co się tam po za nim na niebie dzieje. Dopiero kiedy mu towarzyszka zwróciła uwagę, obejrzał się i aż drgnął z przerażenia. Ale niedając po sobie tego poznać, rzekł z udanym spokojem.

— Eh, to nic, Maryo. Burza nadciąga, ale nie lękaj się, zdążymy jeszcze wrócić.

— Przy tobie niczego się nie obawiam, Jasiu — odparło dziewczę.

Młody opiekun, na którym z taką ufnością polegano, uśmiechnął się zadowolony, dumnie spojrział na szumiące fale, które go do walki wyzywały i żwawo zaczął wiosłować.

Czółenko wprawdzie pomknęło hyżo, ale rozhukane już fale coraz bardziej niem miotały jak łupinę, a do brzegu jeszcze daleko.

Janek z wodą oswojony, a przytem z natury aż do zuchwalstwa odważny, wcale się o siebie samego nie lękał, ale mu tylko szło o towarzyszkę. Nie wyobrażał sobie jeszcze, co prawda, aby jej jakieś niebezpieczeństwo groziło, obawiał się wszelako że gdy deszcz zacznie padać, biedaczka zmoknie i może zachorować; wyteęzał więc wszystkie siły, byle jeszcze przed deszczem zdążyć. Zaledwie jednak dopiero połowę drogi przebyli, a tu właśnie deszcz lunął jak z cebra.

Na domiar złego, Janek, chociaż mu troska o Maryę sił dodawała, w końcu jednak wyczerpany, poczuł, że dłużej nie zdoła z burzą się borykać. Zresztą nie byłoby celu tak na oślep wiosłować jeszcze, skoro ciemność wszystko już ogarnęła i całym brzegi z oczu stracili.

Ale nieraz biorąc udział w wyprawach rybackich, poznał jak sobie w takich wypadkach radzić. Złożywszy przeto wiosła, silnie tylko sterem kierował, aby się broń Boże czółno bokiem do fali nie obróciło, bo wtedy bałwany łatwo mogłyby je zalać lub przewrócić. Ale mimo największych wysiłków, nie zdołał go jednak w właściwym kierunku utrzymać. Jako też niebawem stało się to, co przewidywał: czółno nieomal do połowy napełniła woda.

Dotychczas oboje milczeli, teraz dopiero przemówiła Marya, aby zapewne dodać otuchy i mocy sternikowi.

— Wszystko w ręku Bogu — rzekła uroczyście — chyba tylko on jeden, gdy zechce, może nas ocalić. Módlmy się do Niego.

— Bądź spokojną — odparł Janek — on nas wyrwie z tej toni. Byliśmy tylko jeszcze chwilę wytrwali, będziemy ocaleni. Ojciec z pewnością wysłał łodzie na nasz ratunek. Zapewne już muszą być gdzieś blisko, lada chwila powinny być tu.



Janek własnym słowom nie wierząc, pocieszał, aby dodać towarzyszcze odwagi.

Jakby w odpowiedzi, znów potężny bałwan z całą siłą uderzył w bok łodzi. Ale i tym razem jeszcze się nie wyróciła; tyle tylko, że więcej przybyło wody.

— Może i ja się mogę na co przydać? — zapytała Marya.

— I owszem — odparł Janek. — Wylewaj wodę.

Wiedział on dobrze, iż się to na nic nie zda; aby jednak powstrzymać ją od rozpaczki, wołał dać jakieś zajęcie.

Tymczasem nowy bałwan zniweczył pracę pomocnicy.

Teraz Janek, widząc że nie podoła, puścił łódź całkiem na wolę wiatrów i uchwyciwszy się burty, powiedział:

— Maryo, zaniechaj próżnej pracy, a trzymaj się raczej mej sukni, tylko mocno. Ale nie puszczaj wiosel, bo w najgorszym razie one cię uniosą na powierzchni wody tak długo, dopóki się pomoc nie zjawi — a zjawić się musi. Nie traćmy nadziei — bo i wtedy jeszcze nie zniknie. Wiesz przecie, że pływam jak ryba.

Ledwo tych słów domówił a tu nieopodal jakoby jakieś światełko zamigotało.

— Widziałeś? O, tam — zawołała Marya.

— A co! Nie mówiłem! Szukają nas.

— Bóg jest wielki!

— Bóg jest wielki! — jak echo powtórzył Jaś.

— Wołajmy.

— Tak, wołajmy.

I zaczęli z całej piersi nawoływać, ale głos ich ginął zupełnie wśród szumu bałwanów.

Mimo to światełko zdawało się zbliżać, bo coraz wyraźniejsze.



Рис. на кам. З.С.

5



— Bodaj usłyszeli — rzekło dziewczę uradowane.

— Ale to nie nasi — zauważył Janek — Zdaje się jakaś większa barka. My takiej nie mamy. Ale patrz, patrz! Więcej świateł miga...

— Tak — potwierdziła Marya. — Ruch na pokładzie. Chwała Panu Abrahama! Już nas bodaj spostrzeżono.

Jakoż w samej rzeczy jeden z załogi nawet ręką w stronę łodzi wskazał, a zaraz też wyrzucono ku niej kilka w kręgi zwiniętych lin.

Jedna z nich, na szczęście, padła tak blisko że Janek zdołał ją zręcznie pochwycić. A mocno tą zbawczą liną okręciwszy siebie i Maryę, skoczył wraz z towarzyszką do wody.

Za chwilę oboje byli już bezpieczni na pokładzie statku. Janek silniejszy, zaraz stanął na równe nogi, a choć do nitki był przemoczony, nic mu się jednak nie stało i po paru minutach, całkiem przyszedł do siebie, ale Maryę dobyto omdlałą.

— Przenieść ją do mej kajuty — rozkazał starszy, i sam się też za nią tam udał.

Tymczasem zaś jeden z marynarzy troskliwie zajął się Jankiem. Ale ten o Maryę niespokojny, zaraz po przebraniu się w inne, suche odzienie, wybiegł na pokład, aby się o jej zdrowiu dowiedzieć.

Właśnie u drzwi spotkał wychodzącego z kajuty jej opiekuna.

— Bądź spokojny — rzekł tenże — wszystko dobrze. Już przytomna, a nawet z przestachu prawie ochłonęła. Przebierze się i będzie zdrowa. Macie szczęście. Jeszcze chwila, a byłoby zapóźno.

Tu Janek musiał swemu zbawcy opowiedzieć całą historię, na co jednak nie wiele było słów potrzeba. Ot, poprostu wyjechali dla przyjemności tylko i zapóźno spostrzegłszy nadciągającą burzę,

nie zdążyli już do domu wrócić — to wszystko. Powiedział również, że jest synem Szymona, właściciela dość dużej zagrody nad jeziorem, a Marya bliską jego krewną, sierotą, którą jeszcze dzieckiem rodzice pod dach swój przyjęli i jak własną córkę uważają, bo on jedynak.

Teraz nawzajem Janek zapytał, komu winien swe ocalenie, a tem samem, komu rodzice mają być za to wdzięczni.

— Ja jestem Józef, syn Mateusza — odparł zagadnięty.

Janek aż odskoczył.

— Jakto? gubernator Josephus? — pytał jeszcze zdziwiony, jakby własnym uszom niedowierzając, i w pełnej szacunku postawie oczekiwał na potwierdzenie.

— Ten sam — z uśmiechem przywótórzył gubernator. — Tak mnie ludzie nazywają.

Istotnie był to gubernator Józef, później Flaviusem Josephusem przez rzymian nazwany. Ojciec jego Mateusz, zaliczał się do najwyższej z 24 klas, na jakie dzielono rody kapłańskie. Uważany za bardzo zdolnego i pobożnego, był jednym z przywódców w Jerozolimie.

Co zaś do jego syna, Józefa, to ten już od najmłodszych lat sposobiał się do życia publicznego, gruntownie zgłębił zasady wszystkich trzech głównych sekt żydowskich, tj. faryzeuszów, sadduceuszów i essenów (Patrz objaśn., podane na końcu), a nawet jakiś czas przepędził na puszczy u Banusa Ascety.

A jakie miał w narodzie uznanie, można już ztąd wnosić, że liczył dopiero lat 26, gdy go Feliks posłał do Rzymu na czele poselstwa; a w 30 mianowany gubernatorem Galilei.

Wbrew zwyczajowi owych czasów, Józef nawet żadnych podarków nie przyjmował, a cóż dopiero

mówić o przekupstwie; ale przeciwnie, wszelkich starań dokładał, aby podnieść dobrobyt ludności powierzonego mu kraju.

Była to postać wyniosła ale i szlachetna, człowiek umiejący pracować nad sobą, zawsze spokojny, dla każdego uprzejmy, wszystkich sobie ujmował, ale zarazem wszyscy go też szanować musieli. A nie tylko od rodaków był lubiony; lubiła go także Poppea, żona Nerona, a później nawet sam Wespazyan i Tytus darzyli go łaską, chociaż przeciw nim walczył.

Janek nasłuchiwał się o tem nie mało, bo często i ojciec i inni opowiadali, jaki to człowiek, na którego cały naród zwracał oczy, uważając nietylko już za swego przywódcę, ale wprost za ojca i jedyną podporę. Nieraz więc Janek marzył, aby go choć mógł kiedy zobaczyć, a tu nietylko stoi z nim oko w oko, ale nawet rozmawia jako ze swym wybawcą; — nic przeto dziwnego, że w pierwszej chwili zmieształ się bardzo.

Widząc to wielkorządca, uśmiechnął się łaskawie i rzecze:

— Ledwośmy wypłynęli z portu Tiberias, zaraz się burza zerwała; a choć na takim jak ten statku, można być na jeziorze spokojnym, jednak i ja już myślałem, czy nielepiej się cofnąć, ale mi pilno; a przytem spostrzegłszy wasze czołno, kazałem je mieć na oku, bo wydało mi się prawie niepodobieństwem, abyście mogli ująć cało. A dobrze się sternik sprawił — i to wasze szczęście. Ale i z ciebie zuch nieiada — dodał łaskawie. — Podobasz mi się, mój chłopcze. Nawet niejeden starszy w takim położeniu głowę by stracił. Zręcznieś też linę zdołał pochwycić. Bałem się tylko, abyś jej do czołna przypadkiem nie przywiązał, bo wtedy byłoby może źle. Czołno prawie pełne wody a nasz



statek pędził z wiatrem jak szalony, więc kto wie czy lina by wytrzymała.

Ale tam niezawodnie rodzice bardzo o was niespokojni — dodał jeszcze — więc mi tem przykrzej, że nie mogę zaraz na brzeg was wysadzić, bo czas mój policzony, każda chwila droga. Ale niebo się już przeciera, natychmiast więc po przybyciu do Capernaum, odeślę was do domu, choćby rybacką łodzią. Wszak to ztamtąd niezbyt daleko?

— Nasza osada leży nieopodal Hippos, a więc na przeciwnem wybrzeżu jeziora.

— O, to dość daleka podróż — rzekł Józef. — Jeżeli się zupełnie wypogodzi, to was jeszcze dziś wyprawię; inaczej poczekacie u mnie do rana.

W godzinę okręt przybijał do portu, gdzie już tłumy w trwodze oczekiwały na ulubionego władzcę; wiedziano bowiem, że ma przyjechać, więc burza obawą napełniła wszystkie serca. Nic przeto dziwnego, że teraz z piersi wyrwał się okrzyk radości.

Maryja była już na pokładzie. Właśnie Janek podskoczył do niej, by zapytać o zdrowie, gdy wtem obły się o ich uszy okrzyki.

— Co to znaczy, Janku? — zapytała na wpół zdziwiona, na wpół wylękłona Maryja.

— Janko? Więc jeszcze nie wiesz, komu zawdzięczamy nasze ocalenie? A toż to Józef, ów wielki Józef, wielkorządzca Galilei.

— Czy podobna! on?

— Tak on, on, we własnej osobie. Ten człowiek, który tak dla nas łaskaw, to nie kto inny, tylko on sam...

Jeszcze Maryja nie ochłonęła ze zdumienia, kiedy właśnie ów wysławiany Józef zbliżył się do niej.

— Cieszę się bardzo — rzekł łaskawie — że cię już widzę uśmiechniętą i z rumieńcem na licu, moje dziewczę. Ja teraz wysiądę a wy tu zacze-

kajcie na kobietę, która was do mego mieszkania doprowadzi.

To rzekłszy, pożegnał ich skinieniem głowy, nie dając już przyjść do słowa.

Marya zresztą była teraz tak oszołomioną, że możeby nawet głosu nie umiała wydobyć. Po jego odejściu dopiero się odezwała.

— Więc nawet mamy pójść do jego pałacu — rzecze zakłopotana — O mój Boże, co ja pocznę, jakżeż się tak ludziom na oczy pokażę w tym dziwnym stroju. A oficer mówi, że moje własne suknie jeszcze nie wyschły. O mój Boże, mój Boże...

Ale niebawem zjawiła się owa zapowiedziana kobieta, i to z węzełkiem pełnym różnego ubrania.

— Ach, Janku — zawołała uradowana Marya — jakież on dobry! Nawet i o tem pomyślał.

— To mało, dobry! — z zapalem odparł Janek — mało dobry. On poprostu wspaniały, taki jakim go sobie wyobrażałem, i takim sobie wyobrażam wielkiego przywódcę ludzi, jakim był np. taki Jozue albo Gideon albo Machabeusze...

— Tak, zapewne — wtrąciła Marya — tylko może jeszcze grzeczniejszy.

— Mężni i dzielni ludzie zawsze powinni być takimi.

Za chwilę Marya była już przebraną.

W drodze dowiedzieli się od przewodniczki, że Józef bezzwłocznie udał się na radę starszych; ale że na wszelki przypadek, gdyby burza nie ustała, kazał przygotować nocleg, a tymczasem mają się posilić sami.

Jakoteż zaraz po wieczerzy, oznajmia im doświadczony marynarz, że niema widoków, aby się przed północą uciszyło, i radzi pójść na spoczynek. Tak też uczynili.

Janek ledwo się poduszki dotknął, już spał jak zarżnięty, tak że się go dobudzić było trudno. Gdy jednak przetarł oczy i spostrzegł samego Józefa przed sobą, natychmiast zerwał się na równe nogi.

— No, chłopcze, komu w drogę to i czas — rzekł gospodarz. — Z przyjemnością zatrzymałbym was do jutra, ale trzeba mieć wzgląd i na rodziców. Oni tam niezawodnie w rozpacz, całą noc szukałiby was daremnie. Każda chwila dla nich droga, więc im prędzej tem lepiej. — A sądzę, że za parę godzin będziecie już w domu, bo łódź o 8 wioślach szybko pomknie przez wodę. A nie zapomnij też poprosić ojca, aby mnie wkrótce odwiedził. Pamiętaj — powtórzył z naciskiem. — Wkrótce może nadejdzie czas, że każdy zdolny do broni żyd, będzie musiał krew przelewać w obronie kraju. A jeśli twój ojciec na to się zgodzi, chętnie cię przyjmę do swej przybocznej straży. Mógłbyś pójść w górę, bo nie zabrakło by ci sposobności do odznaczania się, bylebyś tylko zawsze, w każdej przygodzie tyle okazywał męstwa i przytomości umysłu, ile jej dziś widziałem. Więc powtarzam, nie zapomnij powiedzieć ojcu, aby mnie odwiedził.

Zbyteczna chyba mówić, jak bardzo Janka uradowała taka pochwała i to jeszcze z ust takiego człowieka. Rozpromieniony więc szczęściem, z wdzięcznością podziękował swemu dobroczyńcy za wszystkie doznane już łaski i za tę obietnicę na przyszłość, zapewniając, że natychmiast objawi ojcu jego życzenie, chociaż on z pewnością i bez tego czuł by się w obowiązku osobiście złożyć mu dzięki za tyle dobroci.

Rozumie się, że przez całą drogę o niczem, tylko o Józefie i jego wspaniałomyślności, a zwłaszcza o jego obietnicy wciąż była mowa. Janek dumny z pochwały, przyrzekał sobie, że musi czynami



usprawiedliwić tak zaszczytne dlań przeświadczenie wielkorządzczy.

Tymczasem w dali zaczynały już coraz wyraźniej szarzyć mury Hipposu, a tuż na wybrzeżu jakieś światełka.

To niezawodnie ojciec rozkazał ognie rozpalic na znak dla nas — zauważył Janek.

Jakoż niebawem można już było w blasku tych ogni rozróżnić nawet kilka ciemnych, ruchomych postaci.

— To pewno on — zauważyła Marya.

— Nie inaczej — odparł Janek. — Rozpalili ognie, aby nam wskazać kierunek. Biedni! jakżeż muszą rozpaczać. A wszystko przez moją nieroztropność.

Jakkolwiek Janek czynił sobie wyrzuty, to jednak z drugiej strony niemałą było dlań pociechą, że gdyby nie ten wypadek, nie byłby inaczej miał sposobności zbliżenia się z Józefem — a któż odgadnie, co może z tego wyniknąć.

Zresztą nie było już czasu o tem rozmyślać, bo właśnie doleciał ich głos z wybrzeża.

— No cóż? — pytam. — Jakże? Są? Niema?

— Bodaj już widzą — zauważyła Marya.

— Tak — rzecze Janek — ale przekonani, że to ich łódź z poszukiwań powraca.

I huknął z całej piersi:

— Są! są!

— Patrz, usłyszeli — odzywa się Marya — bo już ręce do góry wznoszą. I my jeszcze złożmy dzięki Bogu.

Za chwilę byli już w objęciach rodziców i przyjaciół.

## ROZDZIAŁ II.

### Rabi Salomon Ben Manasseh u Szymona.

Piękna to kraina, ta Galilea. Istny raj. Ziemia nader żyzna, a klimat jak nigdzie. Nie ma tam nadzwyczajnych upałów, a wiatry przynoszą z morza wilgoć potrzebną roślinom. Ztąd, gdzie okiem rzuci, wszędzie bujne zboża, wszędzie winnice albo sady figowe, oliwne, pomarańczowe lub warzywne. A przez dziesięć miesięcy w roku zbiera się tam plon przeróżnych płodów. Wszystkiego wbród.

Ztąd też za owych czasów ludzi było jak mrówek w mrowisku. Gęsto rozsiane miasta i ludne wioski, liczyły nieraz i po kilka tysięcy dusz, A mieszkańcy wogóle mieli się dobrze, chociaż i tam biedy nie brakło, bo gdzież jej niema. Bieda wszędzie i zawsze będzie, dopóki ludzie ludźmi będą. Bo wśród przedsiębiorczych i prawidłowych, znajdzie się przecie niedołęga lub próżniak, a nic nikomu samo z nieba nie spadnie, wszystko trzeba sobie zdobyć. Jeżeli więc i w Galilei znaleźli się biedni, to wogóle biorąc, panował tam dobrobyt większy niż gdzieindziej. Naturalnie, że i tam powszechnie narzekano na zdzierstwa poborców, ale pochodziło to w części z przyzwyczajenia, a w części ztąd, że królowie ich otaczali się nadzwyczajnym przepychem i zbytkiem, a urzędnicy przekupni i chciwi, radziły wszystko dla siebie zagarnąć. Ale mimo to kraj byłby szczęśliwym, gdyby nie ciągłe zaburzenia wewnętrzne wskutek waśni i nie-niezgody różnych stronnictw.

I cała okolica nad jeziorem położona, był to jakby jeden wielki ogród. Wszędzie albo dachy miast i wiosek, albo też zbożem wyłoczone pola i zielone sady, sięgające aż po same brzegi wód. A na wybrzeżu wokół pełno rybackich osad i wiosek lub większych miast i miasteczek. Tu szarzeją warowne mury Tiberias (dzisiejsze Tabarijeh), niegdyś dumna stolica królów, później siedziba rzymskiego tetrarchy, następnie ognisko żydowskie nauki (gdyż istniała tam słynna akademія), a podczas wojen krzyżowych był to ważny punkt obrony dla rycerstwa chrześcijańskiego. Dalej znów również wspomniane już Caparnaum oraz Horazin Magdala, Dalmanuta, Betsaida (rodzinne miejsca apostołów Piotra, Andrzeja i Filipa) i wiele mniejszych a między innymi niedawno założone Hippos, w pobliżu zaś znaczna i kwitnąca osada rybacka Gades.

Tam właśnie na samym skraju, tuż nad wodą, leżała duża zagroda Szymona, którego też zwano Szymonem z Gadesu.

Zaraz na pierwszy rzut oka znać tam było dostatek i szczęście, a choćby tylko życie spokojne. Takby się przynajmniej z pozoru zdawało, ale i tam już nieraz smutek zaglądał. Szymon bowiem liczne miał niegdyś potomstwo, ale został mu z niego tylko ten jeden nasz znajomy Janek w którym też cały teraz świat widzi. Niemniej i żona Marta, choć także nad życie kochała jedynaka i wychowankę Maryą, zdaje się jednak, nie zapomniała jeszcze o tamtych, utraconych. Nie płacze wprawdzie i głośno nie wyrzeka, ale znać bolesne wspomnienie wciąż jej macierzyńskie serce krwawi, bo zawsze smutna, zawsze poważna, rzadko się kiedy uśmiechnie.

Janek wiedząc, że u rodziców oczkiem w głowie, czuł jak trudną z nimi będzie przeprawa; zwlekał przeto z oznajmieniem życzenia Józefa, uprze-



dziwszy i Maryą, aby także nic o tem nie wspominała.

Kiedy nazajutrz po nieszczęśliwej wycieczce, do syta się już nagadano o ich prawie cudownem ocaleniu i wszystko powróciło do zwykłego trybu życia, Janek już się parę razy zapędział, aby ojcu powiedzieć; ale im większą miał do szeregu ochotę, tem więcej bał się odmowy, i zawsze mu słowa na ustach zamierały — a tymczasem też ojciec, swoim zwyczajem, powiózł do Hippos owoce i zboże na targ.

Janek wiedział, że prędzej czy później, trzeba wszystko wyznać, bo ojciec przecie i bez tego wybiera się do Józefa z podziękowaniem; a cóżby to było, gdyby się wtedy okazało, że nie wypełni zlecenia. Józef mógłby jeszcze pomyśleć, że z tchórzostwa przemilczał, aby służby w szeregu uniknąć, podczas gdy właśnie ta służba najmilszem była jego marzeniem.

Długo więc strapiiony z kąta w kąt chodził, aż wreszcie znalazł się w winnicy, gdzie stary sługa i przyjaciel Izaak wraz z synem Rubenem zrywał grona, z których piękniejsze i większe, dziewczęta rozwieszały na sznurach, a inne rozkładano na murawie w słońcu.

Izaak Janka na ręku nosił, a Ruben, to najmilszy towarzysz zabaw; Janek więc przed żadnym z nich nie miał nic tajnego.

Skoro go zatem Izaak zagadnął o powód strapienia, bez ogródki ze wszystkiego się przed nim zwierzył.

A nadspodziewanie Izaak nie tylko się nie przeraził, lecz owszem, dumny był z zaszczytu, jaki spotkał ulubionego wychowanka. Ruben zaś aż w dłonie klasnął, taki uradowany; prosił nawet,

aby go także Janek z sobą do Tiberias choć jako sługę zabrał.

I tak głośno swój zachwyty wyrażał, że to aż zwróciło uwagę starej Miriam, niegdyś piastunki Janka, a która zdala figi do kosza zrywając, jednocześnie z ciekawością uszu nadstawiała.

Janek wprawdzie i przed nią żadnych nie miał sekretów, ale tym razem w obawie, że ona by właśnie największy zaraz podniosła lament, jakby go już na wojnie zabijano, prosił przyjaciół, aby mówili ciszej.

Koniec końców wszyscy zgodzili się na to, że bądź co bądź, powiedzieć ojcu należy; ale zarazem nikt ani na chwilę nie wątpił, że tak on jak matka nigdy się na to nie zgodzą, chociaż Izaak przyrzekł tę sprawę u nich gorąco popierać.

— Gdyby was było więcej — rzecze — to co innego, ale żeś jedynek, więc nigdy nie zezwoli, bo któżby po nim dziedziczył, w razie twej śmierci. A dziś bardzo prawdopodobnie, że wojna będzie...

Istotnie był to wzgląd bardzo ważny. Gades przecie od niepamiętnych czasów było siedzibą rodu Szymona. Wtedy bowiem rzadko galilejczyk ziemi się pozbywał, bo też rzadko widział się do tego zmuszonym, gdyż dziwnie łaskawe były tam prawa dla rolników. Jedno n. p. co siedm lat umarzało wszystkie ciężące na majątku długi. Wobec tego chyba już tylko jakiś nadzwyczajny rozrzutnik i nie-dbalec, wyzbywał się ojcowizny. Zresztą zazwyczaj dziedziczył najstarszy z rodziny, młodzi zaś w miastach szukali chleba.

Ztąd też wyradzało się jeżeli nie przywiązanie, to przyzwyczajenie do kawałka ziemi, odwiecznego gniazda rodu. Bardzo więc słusznem było przypuszczenie, że Szymon nie dopuści, aby Gades, gdzie spoczywają prochy tylu pokoleń jego przodków,

w obce przeszedł ręce, dla braku potomka, a więc tem samem nigdy nie zezwoli, aby jego jedynak na wojnie życie narażał.

Tymczasem Szymon wróciwszy z targu, zapowiedział miłego gościa;

— Żono — rzekł — przygotuj więcej i coś lepszego, bo będzie dziś znami wieczerzał czcigodny rabi Salomon Ben Manasseh.

Jako też niebawem dały się słyszeć kroki osiołka.

Janek zaraz do gościa podbiegł i z uszanowaniem go powitawszy, pomógł mu zesiąść, a długoucha do stajenki odprowadził i o wygodach dlań pomyślał. Janek bowiem wielkiego miał w rabim przyjaciela, a ztąd nawet jego wierzchowiec szczególnych doznawał względów. Każdy też przyjazd rabiego był dla Janka bardzo miłym, bo ten mąż uczony nigdy z próżnemi rękoma nie przybywał. Zawsze się u niego znalazło i słowo dobre i pełno ciekawych nowin — a na to Janek był bardzo chciwy — ogromnie go wszystko obchodziło, co się na świecie dzieje.

Już nawet myślał, czyby nie zapytać rabiego o radę, a gdyby mu się zamiar podobał, to poprosić także, aby się do rodziców wstawił — ale tymczasem nie było jeszcze do tego sposobności: gdy bowiem ze stajenki powrócił, już właśnie do wieczerzy zasiadono.

A dziś, na cześć takiego gościa, stół białym obrusem nakryty, i sutsza też niż zwykle zastawa, bo aż dwie potrawy dymiły ponętnie. Na jednej misie rozciągnięta leżała wielka ryba, a od drugiej miła zalatywała woń gotowanej w mleku kozłiny.

Szymon zająwszy zwykle swoje miejsce, po prawej usadził gościa, po lewej zaś Janek zasiadł.



W owych czasach kobiety nie zwykły jadać przy jednym stole z mężczyznami, a choć zwyczaj ten nie zawsze był ściśle przestrzegany, to jednak wypadało zachować go choć przy obcych. Marta więc i Marya podawszy tylko naczynie z wodą do umycia rąk, usunęły się zaraz do swojej izby.

Mężczyźni tymczasem jedli w milczeniu, rozumie się palcami.

Salomon Ben Manasseh, był to wysoki, chudy starzec, o długiej szpakowatej brodzie i długich czarnych brwiach, które mu prawie całkiem przysłaniały wielkie, głęboko osadzone oczy, pełne rozumu i ognia. Mówiono, że wiele nauczył się od pogan, wśród których podobno długo w Antyochii przebywał. Ogólnie też był uważany za mędrca, a przytem znakomitego mówcę, zdobył sobie szeroki wpływ w całej Galilei. Wtedy bowiem szczególnie dar wymowy dawał moc niezwykłą. Kto umiał słowem porwać za sobą tłumy, ten niemi rządził; a nie wielu umiało tę sztukę lepiej niż Salomon Ben Manasseh — wielki przeto miał posłuch u ludzi.

A należy dodać, że nietylko umiał, ale i lubił mówić. Zresztą po to dziś przyjechał, bo widocznie jakaś ważna sprawa na sercu mu leży. Snać Szymon to poznał, bo skoro po wieczerzy omówiono już wszystkie potoczne nowiny, zaraz go zagadnął.

— A cóż tam słyszać w Tiberias?

— Ha, w Tiberias — odparł rabi — zawsze źle słyszać, zawsze tylko bunty, zamachy, i nic więcej. Podług zdania mego nigdy tam nie będzie spokoju, bo Józef za dobry. Kto ludziom dogodzi, skoro on ma wrogów. Już nawet parę razy na jego życie godzono. Ale ten człowiek zda się bez żółci, bo zamiast przykładowie zbrodniarzy ukarać, on im

przebacza w nadziei, że się nareszcie upamiętają; ale buntownicy tymczasem jeszcze zawiętsi i śmielsi.

Janek ledwo śmiał oddychać w obawie, by nic nie stracić z mowy rabiego. Każde jego słowo zdawał się chciwie pożerać. A rabi odchrząknąwszy, prawił dalej.

— Gotówem już nawet przypuszczać, że i on jest wyznawcą zasad owego Chrestosa, co go to niedawno temu w Jeruzalem ukrzyżowano. Prawda, że i Mojżesz zabrania zemsty i zazdrości, a nakazuje sąsiada miłować jak siebie samego, ale Józef posuwa tę miłość do ostateczności. Cnotliwy wprawdzie i mądry jak sam Dawid, ale byłoby stokroć lepiej, gdyby i on tak sam jak ten król, miał przy swym boku jakiego Joaba, któryby żadnemu zdrajcy nie przebaczył.

Cały kraj jest z nim. Niechby tylko palcem kiwnął a wszyscy pod bronią staną. Powinien przeto z ziemią zrównać te wszystkie dumne i warcholskie miasta jak Tiberias i Sefhoris, a przede-wszystkiem gniazdo samego Jana z Gishali. Wtedy dopiero byłby spokój i porządek. Przecież wiadomo, jaki los spotkał tych, którzy się ośmielili buntować przeciw Mojżeszowi. Ale Józef za dobry dla zdrajców. Żadnemu dotychczas ani włos z głowy nie spadł, i żaden ani grosza nie utracił. Podług mnie taka łagodność jest wprost występkiem.

Tak, to chyba jedyna jego wada — wtrącił Szymon. — Ale czegoż ci ludzie od niego chcą? Wszak zdzierstwa i nadużycia ukrocił; podatki mamy teraz mniejsze, a bezpieczeństwo większe niż dawniej. Dziś każdy może być pewnym swej własności. To też zdaje mi się, że byłoby ogólne zadowolenie, gdyby nie taki Jan z Gishali, albo ów Justus, syn Piskusa, albo wreszcie Jezus, syn Sapphiasza. Oni to właśnie podburzają lud, a ten nie



bacznym idzie za ich głosem, ani się domyślając, że im chodzi tylko o rządy, któreby radzi w swe ręce pochwycić. I ztąd też wszystkie zamachy na życie Józefa.

Wzmianka o tych trzech największych wicherzycielach, była jak olej wylany na ogień. Szymon zaś widząc, że rabi coraz się bardziej zapala, nie chciał mu wprost zaprzeczać; coś mu jednak w duszy mówiło, że gdyby nie owa łagodność i dobroć Józefa, dziś on, Szymon, możeby sobie włosy darł z rozpaczy po stracie jedynaka. Czuł więc, że przez samą wdzięczność powinien w jego obronie stanąć. Aby jednak gościa przypadkiem bardziej nie rozdrażnić, nader oględnie zauważył tylko:

— Przecież nieraz już miał karać Tiberias i Sepphoris, ale na szczęście, skończyło się bez krwi rozlewu.

— Czemuż uwierzył w udaną ich pokorę — rzecze nieprzekonany rabi. — Ulegli, gdyż było jasnym, że cała Galileja za nim stoi. Ale niech pamięta, że kto miecz podnosi, od miecza też zginąć powinien. Prawo nie może znać miłosierdzia dla winnych zdrady lub wicherzycieli i wogóle przestępców. Dla takich nasi sędziowie i królowie byli nieubłagani, a więc tem bardziej Józefowi należy tak czynić.

— Zachodzę w głowę — dodał — od kogo się nauczył takiej względności nawet dla swoich wrogów. Chybaby go tak obalamucił ów Banus z sekty essenów, uczeń Jana, którego potem Herod ściąć rozkazał, a który jakoby przepowiedział przyjście obiecane go mesyasza. A tym mesyaszem ogłosił się jakiś Chrestos, mówiąc, że przyszedł zbawić lud Izraela. Chrestosa ukrzyżowano, ale jest mnóstwo jego wyznawców.



— I mnie już zdarzyło się rozmawiać z nimi — wtrącił Szymon. — Nie mogę powiedzieć, aby ich zasady były złe zupełnie, tylko że je przesadzają. Przeciwni są n. p. wszelkiej wojnie...

— Eh, co nas obchodzi garść marzycieli — przerwał rabi.

— To prawda — powtórzył Szymon — ale obchodzi nas to, że Józef podobnie myśli. Zdaje mi się jednak, że to nie była tak zła z jego strony polityka. Wiemy przecie, że Jan z Gishali wielu ma stronników w Jerozolimie; więc może lepiej nie drażnić ich zbyt surowem postępowaniem, bo mogliby się postarać o odwołanie ztąd Józefa.

— To byśmy go nie puścili od siebie — zawołał rabi z zapalem. — A |zresztą, prawda, że po odejściu rzymian, zależyśmy niby od władzy rady jerozolimskiej, ale to tylko z pozorów; a w gruncie rzeczy już od wieków nie mamy nic wspólnego z Judą i niktby teraz nie chciał karku pod ich jarzmo uchylić. Prawda, łączy nas jedna religia i wspólny wróg, rzymianie, ale na tem koniec, rozkazywać nam nie mogą. Dziś lud szczęśliwszy pod rządami Józefa niż dawniej, za tak zwanych królów, którzy byli tylko satrapami Rzymu, więc też nie pozwolimy go sobie zabrać. Niechno tylko Jerozolima spróbuje a zobaczy! Wszyscy galilejczycy jak jeden mąż staną w jego obronie.

— Niezawodnie — potwierdził Szymon. — Ja choć już stary, a mój syn jeszcze zbyt młody do miecza, jednak w takim razie obaj stanęlibyśmy do boju.

Tu Janek aż usta otworzył, czy ze zdziwienia, czy też w zamiarze zabrania głosu, ale milczał, zapewne nieśmiejąc się wtrącać do rozmowy starszych; bliżej się tylko podsunął, aby lepiej słyszeć.

A Szymon dalej ciągnie.

— Co nam zrobią — prawi — przecież Galilejczyków więcej niż Judy. A w dodatku gdyby do wojny przyszło, to każdy z nas walczyłby zawzięcie, z nich zaś mało który chciałby zajrzeć w oczy śmierci, dlatego tylko aby nas pozbawić wielkorządzący, którego mieć chcemy. Ale z tem wszystkim Józef mądrze postępuje, unikając wszelkich powodów do kłótni. A jakżeż rzymianie, rabi? Czy nic tam nie słychać, żeby się przeciw nam wybierali?

— Jakoś dotychczas cicho — odparł Ben Marnasseh — król Agrippa siedzi też spokojnie, bo zresztą nie ma przy sobie dość rzymskiego wojska, aby mógł o jakiej zaczepce myśleć.

— Bo może chwilowo gdzieindziej zajęte — ze smutkiem zauważył Szymon, — ale prędzej czy później, i o nas sobie przypomni. Zresztą z pewnością zapragną pomścić klęskę Cestiusa, aby znów do władzy przywrócić Florusa.

— Ha, gdy przyjdą, to trudno, musimy walczyć — rzekł rabi — przecieżeśmy jeszcze wybranym ludem Boga, który walczył za naszych ojców, on pokona rzymian jak pokonał assyryjczyków Sennacheriba.

— A przecież ten sam Bóg oddał nas w jarzmo Rzymu — rzecze Szymon, — widocznie karze nas za grzechy; może więc dziś nie walczyłby jak ongi. A tymczasem wiele silniejszych narodów musiało uleść potędze rzymskiej. Nie dziwię się przeto, że i Józef podobno był przeciwny zbrojnemu powstaniu; a jeżeli potem i oni się przyłączyli do niego, to tylko z obawy o swe życie. I dziś, jak słyszę, nie tylko w Tiberias, ale wszędzie odzywają się głosy za uległością. Zdanie to podziela wielu takich jak Julius Capellus, oraz Herod, syn Miarusa i inni. Tylko zapaleńcy i ludzie nie mający pojęcia, czem

jest Rzym, słowem tylko żywioly niespokojne, prą naród do walki, która bodaj że musi sprowadzić na nas klęskę.

— Lepiej o tobie myślałem, Szymonie — przerwał mu rabi z gniewem.

Szymon spojrział zdziwiony. A rabi zrozumiawszy znaczenie tego spojrzenia rzekł:

— Tak, prawda, i ja niegdyś sądziłem, że nie należy nic takiego czynić, coby mogło spowodować zemstę Rzymu. Dziś jednak, gdy już początek zrobiony, nie można się cofać, a może Bóg zwycięży pogan.

— Oby się tak stało — przywtórzył Szymon — Ale tymczasem rzymian jeszcze niema, lecz swoi łatwo mogą wywołać wojnę domową.

— Otonie ma obawy — zapewnia rabi — Jan przecie wie, że nie dałby rady. Boję się tylko, że mogą nareszcie zamordować Józefa. Mamy go wprawdzie na oku, ale któż zaręczy, chociaż przyrzekł, że będzie się miał odtąd więcej na baczości.

Tego już dla Janka było za wiele. Nie mógł języka utrzymać.

— Powinien mieć straż przyboczną — wtrącił nieśmiało ale z ogniem — taką straż, jak mają rzymscy wielkorządcy. Ja pierwszy z ochotą bym się do niej zaciągnął.

Ojciec groźnie nań spojrział.

— Jesteś jeszcze za młody — rzecze — i do miecza i do zabierania głosu wobec starszych.

— Dałbyś chłopcu pokój — broni go rabi. — Może niedaleki czas, że nie będzie się pytał, czy kto za młody, czy za stary, a byle tylko broń udźwignąć zdołał, każdy pójdzie na wroga. Chwałę ci taką gotowość — dodał, zwracając się do Janka — ale na nic się nie przyda, bo Józef nie chce straży. A może go właśnie dla tego tak kochają, że niczem



nad innych się nie wynosi, lecz jak zwyczajny człowiek idzie między ludzi. I może to w części i lepiej, bo nikt mu tego przynajmniej zarzucić nie może, aby był tyranem, gdyż bez wojska, a nawet i bez straży, nie ma żadnych po temu środków.

Janek zgromiony, i czując, że słusznie, w pierwszej chwili zmięszał się i zamilkł. Niebawem jednak, ośmielony poparciem takiego męża jak rabi, odzyskał przytomność, a zrozumiałwszy, że teraz właśnie jest najlepsza pora, postanowił całą sprawę przedłożyć.

— Ojcie — mówi z pokorą — przebac. Ja wiem, że zawiniłem, bo niegodzi się młodemu wobec dojrzałych mężów głosu zabierać. Ale proszę... chciałbym tylko parę słów... Mam coś ważnego...

Zaciekawiony rabi, znów Janka poparł, a Szymon, ulegając życzeniu gościa, skinął głową na znak zezwolenia.

Janek niezupełnie podzielał zarzuty, jakie rabi czynił Józefowi, z powodu jakoby zbyt łagodnego postępowania; miał nawet żal za to, że niesłusznie oskarża 'jego ukochanego zbawcę. W tej chwili jednak był mu niezmiernie wdzięczny za łaskawe poparcie; co też wyraziwszy spojrzeniem, skwapliwie zaraz skorzystał z uzyskanego zezwolenia.

— Józef — rzecze — pan nasz, a mój zbawca, kazał mi oświadczyć, że życzyłby sobie widzieć ojca u siebie...

Tu Janek zaczerpnął powietrza. Nogi pod nim zadygotały, bo teraz miał wypowiedzieć najważniejsze słowo, od którego cała jego przyszłość, może nawet życie zależy. Więc drżącym głosem nieśmiało wyszeptał...

— Jego życie w niebezpieczeństwie a on mi moje uratował, więc ja powinienem mu je poświęcić na obronę... Ojcie, tak Bóg chce... On, ten wspa-

niałomyślny Józef powiedział, że mnie z ochotą przyjmie do swej straży i będzie się mną opiekował... Więc pozwól drogi ojcze... ja chcę twe imię chwałą okryć...

Szymon drżał na całym ciele. Powstał, chciał widocznie mówić a głosu mu brakło. Rękę tylko wyciągnął a dopiero po chwili, złamany, rzecze:

— Mówisz: Bóg tak chce... Ależ on przecie nie dopuścił ofiary Abrahama, a miałaby jej odmie nie żądać? Wszak ty, mój syn jedyny, syn pierworodny...

Ale żal wielki znów mu głos w piersi zdławił.

Wtedy Janek do kolan mu przypadł; a starzec w milczeniu załzawione oczy wniósł ku niebu, jakby tam w górze pytał, co mu czynić należy, a potem ręce na jego jasnej głowie złożył.

---

## ROZDZIAŁ III.

### Zbawca Izraela.

I znów zamach na życie Józefa, tym razem jawny bunt. Około 600 pospółstwa, dom jego otoczyło, domagając się podziału skarbów, które jakoby żona Ptolomeusza, prokuratora króla Agryppy, dla nich przysłała a on je przechowuje u siebie.

Tymczasem owi mniemani wysłańcy prokuratorowej, byli to poprostu jego przyjaciele, którzy uchodząc przed zemstą Agryppy, u niego znaleźli gościnność.

Aby się napastników pozbyć, Józef powiedział im, że są to pieniądze przeznaczone nie dla nich, ale na wzmocnienie murów miasta. Niezadowolony tem przywódzca, groził, że dom podpali.

Józef miał tylko 20 zbrojnych; ale niestracąc przytomności, zatarasowawszy wejścia, przez okno wezwał, aby jednego z pośród siebie przysłano po pieniądze. Ale zamiast pieniędzy, kazał temu posłowi rękę uciąć i tak go wypędził. Inni sądząc, że musi mieć z sobą wielu żołnierzy, skoro się na to odważył, przestraszeni uciekli.

Lecz nie koniec na tem. Przeciwnicy inną znów rozpuścili pogłoskę, jakoby owi goście, byli to poprostu czarownicy, których przeto należy zgładzić.



Tego już było nadto. Józef w obawie o życie swych przyjaciół, wywiózł ich do Hippos.

Szymon dowiedziawszy się przypadkiem o jego przyjeździe, zaraz korzystając z tej sposobności, wybrał się tam z całą rodziną.

Józef choć bardzo zajęty, ale natychmiast przyjął gości i to bardzo uprzejmie. Ale wyprosiwszy sobie wszelkie podziękowania, odrazu przystąpił do rzeczy.

— Wasz syn — rzecze — to dzielny chłopiec, i dlatego radbym go mieć przy sobie, bo zresztą potrzebuję takich. Może się zdarzyć ważniejsza robota, niż hodowanie wina, ale jeśli będzie spokojnie, to może wyjść na człowieka. Więc cóż, jakże? dacie mi go?

— O, nie żądam odpowiedzi natychmiast — dodał, widząc, że jedno na drugie spogląda w milczeniu — pomówcie z sobą, a w razie przyjęcia, przysłecie mi go zaraz do Tiberias.

— Jużemy o tem mówili — odpowiada Szymon — i oboje dziękujemy Bogu za szczęście, jakie na naszego jedynaka zesał. Bo to wielkie dla niego szczęście, strzedz drogiej osoby męża, w którym cały lud Izraela wszystkie swe nadzieje pokłada. Marzyłem wprawdzie, aby to jedyne moje dziecko, jak ja, objęło kiedyś ziemię przodków; ale widzę w tem palec Boży, a któż odgadnie, co mu przeznaczone. Nauka i doświadczenie zdobyte w służbie takiego dostojnika, to większe dziedzictwo niż ja mu dać mogę. Więc kiedy kraj w potrzebie, ja oddaję moje dziecko, niech mu służy na pożytek. A cóż matka? — dodał, zwracając się do żony.

— Ja to samo mówię co ojciec — rzecze Marta. Ja wiem przecie, że nasz wspaniałomyślny pan, nasz dobrodziej Józef, będzie dla naszego dziecka

drugim ojcem i drugą matką, więc skoro to dla jego szczęścia potrzebne, to serce matki musi i tę ofiarę zrobić. Niech moje dziecko będzie na chwałę Izraela.

— Postanowiliście rozumnie — wtrąca Józef, w obawie zapewne, aby się matka za bardzo nie rozgadała. — Pod wieczór wyjeżdżam, więc niechże się tu po południu stawi.

Szymon zrozumiał, że pora odejść, skinął na żonę i pożegnali dobroczyńcę, który jeszcze upewniał o swoich względach dla Janka.

Janek nie posiadał się z radości, ale mu nie wypadało bardzo tego okazywać; słuchał więc w milczeniu nauk i wskazówek ojca, a matkę co chwila po rękach całował.

Marya przez całą drogę ani słowem się nie odezwała; a im bliżej odjazdu, tem smutniejsza była. Rozumiała wprawdzie, że to do szczęścia Janka potrzebne, nie mogła się jednak opędzić myśli o wojnie, która tyle niebezpieczeństw nastrecza. A choćby nawet uszedł cało, to już sam odjazd jedyne go towarzysza zabaw, niemalym był dla niej ciosem. Bez Janka będzie teraz smutno i głucho jak w grobie. Ojciec zabierze się i pójdzie do gospodarstwa; matka będzie tylko wzdychać; stara Miriam zacznie jeszcze bardziej zrzędzić, a każda wiadomość o jakiejś bitwie albo rzezi, wszystkich napelni trwogą i niepokojem. I tu żyć teraz!

— Ty Maryo — zagadnął Janek — zdajesz się jakoś nie podzielać mego szczęścia.

— Ja wiem — odparła — że to dla ciebie szczęście, ale nikt inny nie ma powodu do radości. Co ci po wojnie, lepiej pozostałbyś z nami jeszcze ze dwa lata... Niech idą inni.

— Gdyby tak każdy powiedział, toby nikt nie poszedł, a tymczasem przyszliby rzymianie i zrobili

z nami co chcieli. Wątpię więc, czy w domu bezpieczniejsz niż na wojnie. A zresztą za kogóż ty mnie masz? Czy to ja baba, czy co, żeby siedzieć w kącie, kiedy inni karku nadstawiają? Ja bym oczu wtedy nie śmiał na ludzi podnieść.

— Ja też bynajmniej tego nie mówię, abys miał w kącie zawsze siedzieć — poprawia się Marya — nie, nie, wcale nie, ale za rok, za dwa lata dosyć czasu...

— Tak, kiedy już będzie po wszystkim — zaśmiał się Janek — kiedy już może nie będzie kogo bronić, bo rzymianie połowę wymordują a resztę popędzą w niewolę, może nawet i ciebie, może matkę... Nie, nie, za nic w świecie nie zostanę.. Niech tam sobie baby i dzieciaki siedzą w domu, ale ja muszę bronić ludu Izraela... Tak, śmiej się, śmiej — dodał, widząc, że się Marya mimowoli uśmiechnęła na wzmiankę o dzieciakach — ale skoro mnie już sam Józef za dorosłego uznał, to niema o czem mówić. A zresztą, czy to ci nie będzie przyjemnie, jeżeli kiedyś zostanę wodzem, albo nawet wielkorządzą, a choćby tylko jakimś doradzą...

— No, wszystkim — zaśmiała się Marya — pozwalam nawet na wielkorządzcę, ależ nigdy na doradzcę.

— A to dla czego? — odparł Janek także rozweselony. — Przecież ja bym się wtedy z tobą ożenił, a zanimbym jaki wyrok wydał, zawszebym pierwej ciebie o zdanie zapytał. No, cóż, zgoda?

Marya spuściła oczy i nie odpowiada.

— Ale żart na stronę — ciągnie dalej Janek — przecież to byłoby lekkomyślnością, nie skorzystać z takiej sposobności. Józef jest potężnym i może mi dużo pomódz. A w końcu, czyż to nie obowiązek? Mamże pozostać bezczynnym, gdy wróg



Izraelowi zagraża? Nie! A zresztą, czyż Tiberias daleko? Będę was często odwiedzał.

— No, spodziewam się — rzekła Marya — wiem przecie, że i ty za nami zatęsknisz, prawda? Ale czy zawsze będziesz mógł przyjechać? Teraz pełno spisków, kłótni i różnych rzeczy, więc mu wciąż będziesz potrzebny, i może cię nie tak prędko już zobaczymy. Oh, doprawdy, wolałabym bodaj, żeby ci nie ofiarował tego miejsca...

— Możebyś nawet wolała, żeby się wcale nie zjawił, gdyśmy już prawie tonęli, co? — wtrącił Janek z prękąsem.

— Tego nie mówię — zaprzecza Marya. — Owszem, wdzięcznam mu życie, tak jak i ty. Ale nie dziw mi się, przecież to bardzo naturalne, że nam wszystkim przykry twój odjazd. Jestem wprawdzie dumną, że cię spotkał taki zaszczyt, wolałabym jednak, abyś pozostał tu z nami, bo zresztą tam mogą zabić...

— Nie ma chwały bez niebezpieczeństwa — odparł Janek z zapalem. — A przytem, czyż może być większe, niż wtedy na jeziorze, a jednak Bóg nas ocalił. Zobaczysz, ja nie umrę, dopóki czegoś wielkiego nie dokonam. Ja wierzę, że on mnie wtedy zachował, bom na coś innego przeznaczony. Czyż ty wiesz? a może to ja właśnie mam ocalić lud Izraela! Kto odgadnie.

Marya położyła mu dłoń na ramieniu.

— Więc idź — rzecze — my się tu będziemy modlić do Niego, aby ci ani włos z głowy nie spadł. Ale ojciec pewno ma ci jeszcze dużo powiedzieć, — dodała — a czas odjazdu się zbliża. Wszak prawda, pojedziemy z tobą.

— Nie — odparł Janek — lepiej zostańcie. Ojciec mówi, że to nie wypada, aby żołnierza ktoś odwoził. Jestem już przecie mężczyzną, więc mogę

się stawić sam. A zresztą pocóż przedłużać przykrość rozstania. Tu się pożegnamy i koniec. Wszystko musi być teraz po żołniersku — dodał z pewną dumą. — Raz, dwa, trzy — marsz!

Inaczej się jednak stało. Marta bowiem stanowczo oświadczyła, że nie puści samego, a Szymon się też niebardzo sprzeciwiał, bo i on także radby jeszcze parę chwil dłużej z jedynakiem zostać. — Więc stanęło na tem, że go wszyscy odprowadzą, ale tylko do portu, dalej już pojedzie sam.

Jako też nawet Miriam i stary Isaak ze swym Rubenem, — słowem wszyscy z całym dworem mu towarzyszyli. A Ruben go całą drogę nudził, aby tylko o nim nie zapomniął. Janek musiał mu dać słowo, że wstawi się za nim do Józefa.

— Zaczekaj — żartuje Izaak — zaczekaj, aż Janek sam wodzem zostanie, a wtedy i bez Józefa zrobi cię odrazu choćby i setnikiem albo i czemś więcej, a tymczasem broda ci urośnie.

I rozśmiał się.

Zaśmiała się i Miriam, ale był to śmiech zbolalego serca.

— Czekaj, czekaj — powtarza — a broda ci aż do ziemi urośnie, zanim się doczekasz. Bo gdzież tam kiedy moja dziecina wodzem zostanie. Pierwej mi ją rzymianie zamordują. Po co jemu na wojnę... A gdyby mi i dziesięciu takich Józefów nawet niewiem co obiecywało, to jeszczebym jedynaka na zgubę nie oddała, choćby niewiem jak prosił. Bo gdzież tu rozum, gdzie serce...

Szymon się nie rozgniewał za tę przymówkę, boć wszyscy dobrze wiedzieli, że z wielkiego przywiązania pochodzi. Uśmiechnął się nawet zadowolony.

— Przecież na wojnie — mówi — nie każdy ginie, a czemuż on koniecznie ma zginąć. A zresztą

skoro ci się tak trudno z gagatkiem rozstać, to poproszę Józefa, może i ciebie przyjmie, będziesz wtedy razem.

Miriam aż ręce do góry wzniosła zgorziona.

Chociaż z tej uwagi nawet Marta się roześmiała, niemniej jednak nowy ten wylew rozpaczy kochającej piastunki, wszystkich jakoś jeszcze bardziej powarzył. Szczęściem, że właśnie łódź do brzegu przybiła. Tu nareszcie ostateczne nastąpiło rozstanie, bo Szymon żadnej z kobiet nawet wyjść na ląd nie pozwolił, chociaż koniecznie chciały. Zre-sztą i sam Janek odradzał, może w obawie, aby się nie spóźnić, bo kiedy się nareszcie wyrwał z uścisków, to biegł prawie pędem, jakby uciekał, a za nim goniły jeszcze ostatnie słowa pożegnania.

— A pamiętaj o nas! — wołała matka.

— Pamiętaj, przyjeźdź! — wołał ojciec.

— Jak najprędzej! — dorzuciła Marya.

— Niedługo — odpowiadał przysły zbawca Izraela.

I dotrzymał słowa, bo coś w tydzień po tem był już znów w objęciach ztęsknionych rodziców.

Doprawdy warto się czasem rozstać, choćby dla samej tylko rozkoszy witania potem. Wszyscy byli mu niezmiernie radzi, tylko jedna Miriam jeszcze udawała zagniewaną, że jej nie posłuchał, ale długo nie wytrzymała. A każdy go zarzucał pytaniami.

Marta przytem wydziwić się nie mogła, że tak wyrósł i zmężniał, ale Miriam, jakby na przekorę utrzymywała wprost przeciwnie, że właśnie wychudł i nawet jakby trochę zmałał.

— A bo mu już rzymianie nogi poobcinali — żartuje Szymon. — Zobacz.



— Nie trzeba dwa razy mówić takie paskudne słowo — broni się oburzona. — Niech oni wpierv przepadną. . .

Dalszemu wylewowi żalu przeszkodziło pojawienie się Rubena, który na wiadomość o przyjeździe ukochanego towarzysza, zaraz porzucił wszystko i przybiegł czemprędzej aby go powitać. A szczególnie zachwycił chłopca miecz błyszczący u boku Janka, ten krótki, ale groźny miecz, którego już sam widok, niezmiernym strachem przejmował Miriam. Nie może się chłopiec napatrzeć i wciąż go na wszystkie strony ogląda i próbuje. I taka biębnego Rubena zazdrość opanowała, iż się omal nierozpłakał usłyszawszy, że go Józef nie chce.

Widząc to Janek, uzalił się przyjaciela, i zaraz go pociesza.

— No, no — rzecze — wszystko dobrze. Pojedziesz ze mną i tam ci taki sam miecz dadzą.

Ruben w pierwszej chwili aż oniemiał; a potem, jakby własnym uszom niedowierzając, pyta jeszcze: czy to prawda? A otrzymawszy potwierdzenie, chłopiec nie posiadał się z radości. Uszczęśliwiony aż skakał, śmiał się i całował wszystkich, nawet starą piastunkę, którą to jeszcze bardziej rozgniewało.

— Nie gniewaj się przecie, Miriam — żartuje z niej Szymon — teraz jużci ani włos z głowy nie spadnie, bo gdy takich dwóch mężów za miecze chwyci, to wszyscy rymianie ze strachu za dziesiątą granicę uciekną, i nawet ciebie porwać nie zdążą.

— Kiedy Miriam właśnie ma ochotę zobaczyć Rzym — dorzuca Izaak.

— Dalibyście pokój starej — ujmuje się Marta.  
— Nie takie branki potrzebne tym poganom.

Ale długo jeszcze biedaczka pokoju nie miała, bo wszyscy dziś jakoś w złotych humorach, radzi pozbawić się jej kosztem. Ona zaś, choć się to niby zżyma i szarpie, w rzeczy jednak rada, że się nią zajmują. W końcu już nawet i sama się też zaczyna śmiać razem z innymi; bo co prawda i jej w duszy wesoło, i ona teraz szczęśliwa, że znów na swego wychowanka patrzy.

Więc kiedy ten wychowanek pod wieczór do ogrodu z Maryą wyszedł, zaraz się i ona przy nich znalazła, aby nawet chwili z oczu go nie tracić. A rozumie się, że nie brakło tam i Rubena, bo ten już ani na trochę nie odstępował przyszłego towarzysza broni. Niebawem i stary Izaak przyłączył się do młodych.

Teraz Janek, otoczony gronem takich słuchaczy, z zapalem jął rozpowiadać.

— Co do mnie — prawi — to czuję się najszczęśliwszym; ale przyjrawszy się z blizka wszystkiemu, muszę powiedzieć, że mi się tam wiele nie podoba. Najpierw już ta sama straż przyboczna, nie jest wcale taką, jak ją sobie wystawiałem; bo ani to porządku ani za grosz karności. Jużby zresztą mniejsza o straż, ale z niczem nie lepiej. Józef wprawdzie robi co może, ale jeden człowiek, choćby nawet i taki jak on, wszystkiemu nie podola, zwłaszcza gdy w narodzie rozdwojenie. Wszędzie spory i bijatyki, a tymczasem wspólny wróg już prawie u drzewi.

— O, to Miriam może zobaczy Rzym — wtrącił Izaak; ale go Janek zaraz porządnie za tę niewczesną uwagę zgromił.

— Tu niema żartów, — mówi tonem wyższości — bo może lada chwila, nietylko Miriam, ale wszystkie nasze matki i siostry, żony lub córki zagrożone, będą się musiały gdzieś w puszczy ukry-

wać, albo je rzymianie ze sobą powloką. Więc nie żartuj sobie, kochany Izaaku, bo tu raczej płakać, a przede wszystkim trzeba radzić zawczasu.

Nie wątpię, że gdyby się cały lud Izraela wziął za ręce, to z pewnością moglibyśmy się bronić Bóg wie jak długo, a przynajmniej dotąd, dopóki nam nie przyznano słusznych praw. Co prawda, niby się przygotowuje obrona, ale ja wcale tego nie pochwalam, bo mury nam raczej zaszkodzą niż pomogą. Bo każde miasto, prędzej czy później musi upaść, jeżeli nie mieczem to głodem zmuszone. A wiadomo przecie, że rzymianie potężne mają maszyny oblężnicze. Więc na nic się nie zda obrona miast, owszem gorzej, bo które oni siłą wezmą, tam zawsze rzeź pokonanych. Czyż przeto nie szkoda tyle ludu marnować?

— A więc co czynić, co czynić? — pytają wszyscy, jak gdyby Janek tylko miał być prawdziwym zbawcą.

On zaś z ogromną powagą, prawi dalej.

— Gdyby to odemnie zależało, tobym inaczej zrobił. Zamiast niepotrzebnie murami otaczać miasta, budowałbym je raczej tylko wśród gór, aby pozamykać przejścia. Dalej wcalebym się nie bronił w miastach, ani bym też nie występował do walki w otwartem polu, lecz tylko w górach, bo inaczej nasz niewycwiczony żołnierz nie mógłby się mierzyć z rzymianinem, posiwiąłym na wojnie. A tymczasem w górach zupełnie co innego. Tam on w swej ciężkiej zbroi, jest prawie do boju niezdatnym, my zaś pokazaliśmy to Cestiusowi, co wart taki sposób wojowania.

Janek w zapale byłby tak może i do rana prawił, gdyby nie wezwanie na wieczerzę.

A zanim się u stołu pojawili, on i jego słuchacze, Szymon rzekł do żony.



— Wiesz Marciu, dziwny to chłopiec, ten nasz Janek. Zgromadził koło siebie takich słuchaczy jak Marya, Miriam, Ruben i Izaak i nuż im wykładać o wojnie. Leżąc nieco podal, każde słowo słyszałem, i nie mogłem wyjść z podziwienia, że ten dzieciak, ledwo miecz przypasał, już rozprawia jakby stary wódz. Ledwo się mogłem powstrzymać od śmiechu. Nie wiem doprawdy, czy się smucić czy cieszyć z tego. Bo albo to naprawdę będzie jaki wielki człowiek, albo też zwyczajny, próżnością nadęty zarozumialec, któremu wystarczają do szczęścia łatwo zdobyte pochwały. Ha, innym przyganić potrafi, zobaczymy co sam pokaże.



## ROZDZIAŁ IV.

### Pierwsze laury.

Zaraz po powrocie do Tiberias, przypadek nastąpił Jankowi sposobność okazania co potrafi.

Oto pod nieobecność Józefa, któremu na chwilę wypadło pojechać do swej głównej kwatery w Tarichea, Janek zauważył coś podejrzanego, jakiś ruch niezwykły, jakieś szept i zmoły. Łatwo mu już przyszło po nitce dojść kłębka. Jakoż dowiaduje się, że pewna część obywateli cichaczem wysłała do rzymian z oświadczeniem gotowości poddania im miasta, które tymczasem zamierzali na ich rzecz opanować. A że nadeszła właśnie wiadomość jakoby rzymianie byli już w drodze, więc stąd ten ruch i szept.

Wobec tak ważnego odkrycia, Janek nietracąc ani chwili, popędził do Trachei.

Józef ledwo uszom wierzył, myśląc, że się chłopcu przywidziało tylko, albo się przesłyszał; ale wypytawszy go o wszystko, aż się za głowę porwał i w głębokim milczeniu pograżył.

A tymczasem Janek, dumny ze swego czynu, myśląc że już przez to upoważniony do rady, ośmielił się głos zabrać. Józef jednak zdawał się zrazu wcale tej gadaniny dziecka nie słuchać, a może też zbyt dobry i pobłażliwy, nie chciał mu tego zabro-

niać. Później nawet, jakby ze snu przebudzony, kazał sobie wszystko powtórzyć, a gdy się stało zadosyć jego woli, rzekł uprzejmie.

— Piękny plan, ani słowa, ale dla dzieci, które się w wojnę bawią. Czy sądzisz, że buntownicy w Tiberias są tacy łatwowierni i również dadzą się takim sposobem podejść? Ale — pomyślał sobie w duchu — jakaż inna rada. Mam ze sobą coś około 20 zbrojnych, cóż z taką garstką począć. A może też przez usta tego dziecka sam Bóg daje mi wskazówkę. Spróbujmy, nuż się uda... Dobrze więc — mówi — pošlij natychmiast, niech sprowadzą czółna.

Janek uradowany, wybiegł spełnić rozkaz a Józef zajął się przygotowaniem reszty, nie zupełnie wprawdzie podług planu młodego doradcy, ale mniej więcej zgodnie z główną jego myślą. A chociaż niewiele obiecywał sobie z tego podstępu, jednakże, gdy mu na razie nic innego nie zostało, a czas naglił, więc trzeba było, bądź co bądź, próbować szczęścia. Jeśli się nie uda, to i nie zaszkodzi, a w najgorszym razie później można zwołać ludzi i do uległości zmusić buntownicze miasto.

Tymczasem o zmierzchu wyprawa ruszyła. Zebrało się tego kilkanaście różnych statków z blisko 80 ludźmi, rachując już osadę i zbrojnych ochotników, wezwanych na prędcę. Ale zdaleka i przy blasku ogni tylko mogło się istotnie zdawać, że jest ich co najmniej z 10 razy tyle, a to dzięki pomysłowi Janka. Tylko bowiem na jeden ze statków wsiadło prawdziwe wojsko, na innych zaś, płynących opodal, umieszczono tylko okręcone szmatami wiązki słomy.

Pod miastem kazał się Józef zatrzymać swej potężnej flocie, a małym czolnikiem wysłał Janka w charakterze posła.



Wybór takiego dziecka zdziwił bardzo wszystkich, bo ani się nawet domyślano, że to dziecko właśnie jest początkiem wszystkiego. Zresztą nikt mu tego zaszczytu nie zazdrościł, wiedząc, że to nie bardzo bezpieczne poselstwo. A właśnie dla tego że niebezpieczne, a prócz wielkiej odwagi wymaga jeszcze wielkiej zręczności i przytomności, Józef wybrał Janka, choć się zrazu wahał ze względu na jego wiek młody, ale, co prawda trudno go było pominąć.

Stało się tedy, popłynął Janek.

A miasto tymczasem już od godziny w rękę powstańców, do których się zaraz prawie wszyscy przyłączyli, bo tam od dawna wielu było niechętnych wojnie z rzymianami, w obawie utraty swych bogactw. Tych zaś, którzy pozostali wierni prawej władzy, skutych w łańcuchy wtrącono do więzienia z zamiarem wydania ich na łup rzymianom. A wszędzie tylko brzmiały złorzeczenia i odgródki na Józefa, któremu by także radzi tam podobny los zgotować.

W takiej to chwili największej gorączki, zjawił się nasz poseł. Zrazu go całkiem strażnik nie chciał wpuścić; Dopiero pod groźbą odpowiedzialności uległ i zaprowadził przed starszych.

Chociaż na wstępie śmiechem przyjęty Janek, nie dał się zbić z tropu; a chociaż były nawet głosy, aby dać dzieciakowi dobre pamiętne i odesłać z kwitkiem, on jednak i tego się nie uląkł; owszem stanął wprost wyzywająco.

— Tu jest — mówi — list naszego pana, Józefa na dowód, że w jego imieniu przychodzę, więc kto mnie wysłannika obraża, obraża prawą władzę; a jeśli mi tu bodaj jeden włos z głowy spadnie, to wiedźcie, że zo was odpowie za to całą głową, boście wyczerpali już cierpliwość nawet tak dobrego

i wspaniałomyślnego jak on pana. A czego od was żąda. to wam zaraz tu przez moje usta oświadczy. Słuchać. Jeżeli się do godziny nie ukorzycie, na miasto uderzy i w perzynę obróci to wasze gniazdo niezgody i buntu. W razie zaś przyrzeczenia nadal zupełnej uległości, poprzestanie na złożeniu z urzędu tylko dwóch, którzy się okażą najwinniejszymi tej zdrady.

I wyście sądzili, że człowiek tak mądry i przeznorny pozwoli się uśpić i podejść, gdy nie mógł na waszej wierności polegać? O nie, on już od dawna znał wasze nieczne zamiary, ale potężny drwił sobie z tych bezsilnych zachcianek, wiedząc, że na jego skinienie cały kraj się zbiegnie, aby zdrajców przykładnie ukarać. Jako też jeden dzień mu na to starczył. Dopiero rano ztąd wyjechał, a oto już powraca na czele potężnego wojska, z którym tuż pod miastem stoi, gotowy do szturm. Powiedziałem, — a teraz wy czyńcie co lepsze. Jeżeli jednak wolicie to samo usłyszeć z jego ust własnych, niech i tak będzie. Wyślijcie ze mną jednego, dwóch, dziesięciu, ilu chcecie.

Zamilkł. A tamci zaczęli szeptać między sobą, widocznie zaprawdę zatrwożeni. Wiedziano przecie, że ma szeroki posłuch w całym kraju, więc wszystko mogło im się wydać prawdopodobnem, a nawet zdaje się byli tego pewni, boć nikt tak nie przemawia, kto się nie czuje na siłach. Po chwili więc stanęło na tem, że trzech z Jankiem pojedzie. Jako też zaraz pospieszyli do czoła.

Janek przez całą drogę i drzał i śmiał się w duchu, a towarzyszom swoim wciąż duby smalone rozповідаł o potędze Józefa i o tem, jak na wszystkie strony rozsyłał posłańców z wezwaniem, a w parę godzin ze wsząd już zaczęły nadciągać oddziały tak liczne, że w końcu nawet już kilka do

domu odesłał jako zbyt wiele. Bo po co mi tyle — mówi — i tak już trzy razy więcej niż potrzeba. Na tych tchórzów i garstka by wystarczyła.

A przytem mimo całego niepokoju wewnętrznego, Janek umiał się okazać swobodnym a nawet wesołym i tak pewnym siebie, że nikt zgółła nie mógł wątpić o tem co mówił. A kiedy już dojeżdżali, wtedy dla większego jeszcze utwierdzenia ich w tem mniemaniu, ukazał im w dali błyszczące liczne ogniska, dodając, że wojska tak oburzone tą zdradą, iż tylko pragnie, aby się jak najprędzej do miasta dostać i tam wiarołomnych po swojemu ukarać. Wyraził przy tem obawę, że może nawet i sam Józef nie zdoła ich w karchach utrzymać i zbyt niemu okrucieństwu zapobiedz.

I w końcu tak biednych wysłanników tem swoim opowiadaniem przeraził, że drżący ze strachu stanęli przed Józefem i zaraz z miejsca już zaczynają go błagać o miłosierdzie, zapewniając, że musieli pójść za innymi, których tylko zdrajca Clitus podburzył; że wreszcie gotowi go wydać.

Józef przyrzekł jeszcze ten ostatni raz przebaczyć, jeżeli natychmiast cała rada się ukorzy i wyda mu owego Clitusa.

Jeszcze więc raz Janek z wysłannikami odpłynął. A tymczasem już się po mieście rozniosła wieść o potężnem wojsku Józefa i strach wielki padł na wszystkich. Nad brzegiem więc zebrały się tłumy ludzi, którzy wznosząc ręce na znak że bezbronni, już zdala okrzykami witali Janka, niby zbawcę; a następnie cała ta czereda, odprowadzwszy go przed gmach rady, zmusiła ją do uległości.

Tak więc skończyło się wszystko na wydaniu Clitusa; a i temu w części Józef karę zmniejszył. Ulegając bowiem jego prośbom, pozostawił mu jedną rękę, a drugą sam Clitus musiał sobie uciąć.



Zanim się wszystko wydało, jakim to podstępem Józef upokorzył miasto, ludzie tymczasem już trochę ochłonęli; a nawet przez to jeszcze urósł w ich oczach. Wiedzano zresztą, że mógłby we dwa lub trzy dni zebrać dość wojska, aby ich do uległości zmusić — a wtedy mogło być gorzej. Ogólnie natomiast szydzono z rady, która się tak łatwo dała wziąć na plewy. Tylko więc ośmieszeni mając słuszny powód do gniewu, zaprzysięgali w duszy zemstę.

Jako też nieskończyło się na tym jednym buncie i to nietylko w samym Tiberias. Józef przeto, zamiast się całkiem oddać przygotowaniom wojennym, musiał czas i siły swe tracić, na przywracaniu w różnych miastach porządku. A przytem bez ustanku dołki pod nim kopano w Jerozolimie, starając się tam usilnie, aby został odwołany.

Tak więc nie na wiele się przydały jego dobre chęci wobec niezgody, która całą pracę w niwecz obracała. A tymczasem głucho już dochodzą wieści, że Wespazyan wielkie gromadzi siły w Antiochii, gdzie się ma z nim połączyć jego syn Tytus i sprzymierzeńcy.

Janek będąc wciąż bardzo zajęty, nie mógł się ani na chwilę wyrwać, choć rad by wpaść do swoich tembardziej, że mu bardzo pilno pochwalić się zwycięstwem nad Tiberias. Nie przypuszczał bowiem, że w domu od dawna już o tem wiedzą i to nawet z ust samego Józefa, który będąc w Hippos, zawezwał Szymona, aby mu powinszować syna. Skoro więc ten syn znów się nareszcie w Gades pojawił, przyjęto go tam jak bohatera, który jest dumą całego rodu. Ojciec już go nie uważał za dziecko, a matka aż się popłakała i nawet stara Miriam — inaczej teraz na swego wycho-

wanka patrzy, bo i na nią przecież część tej chwały spada.

Ale mimo to Janek widocznie jakiś nieswój, co nawet i Marya zauważyła. Zapewnił ją wprawdzie, że jej się chyba zdaje, ale nie tak to łatwo omylić wzrok kobiety. Jako też w samej rzeczy bardzo mu ciężko na sercu, nie chce tylko przerażać dziewczęcia, może przedwcześnie. Gdy jednak został sam na sam z ojcem, wtedy dopiero usta mu się rozwiązały.

— A więc burza już nadciąga — rzecze — może Bóg da, że choć tę część kraju ominie, ale może też i nie. Trzeba więc na wszelki wypadek zawczasu pomyśleć o sobie. Już wielki czas, wkrótce może być zapóźno.

— Chcesz mówić o kobietach — przerwał Szymon. — Już o nich myślałem. Brat matki chętnie się zgadza przyjąć je na ten czas do siebie. U niego wśród gór Antilibanu chyba zupełnie byłyby bezpieczne, bo aż tam, sądzę, pożoga wojny nie sięgnie. Ale na nieszczęście matka ani o tem słuchać nie chce. Ale otoż i ona. Wytłomacz to sam. Marto, i on mówi, że trzeba już w górach się schronić.

— Nie — stanowczo oświadcza Marta. — Bóg nietylko na dobrą ale i na złą dolę postawił mnie przy twoim boku, i tam dziś moje miejsce. Dopóki ty tu, i ja tu. — Zabij, ja się stąd nie ruszę.

— No słyszysz przecie — mówi Salomon, co ja mam z upartą począć. A co byś ty zrobił?

— Janek, widocznie zadowolony, że go już nawet i ojciec pyta o radę, ale milczy. Po chwili dopiero rzecze:

— Ja wiem, że najpierw dziękowałbym Bogu za taką żonę, za taki skarb, — tu pocałował matkę — a potem zawsze w małych rzeczach niechby i ona miała swoją wolę, ale w takich jak teraz gdy

o życie chodzi, to nie wahałbym się... Ale ja przecież nie mąż, ja syn tylko, więc nie chcę matki obrazić. — Tu ją znowu pocałował. — Każdy niech robi po swojemu. Ale jabym matki bardzo, bardzo prosił, żebyś tu nie została.

— Ja mam odjechać? Nigdy — obstaje Marta przy swoim. — A ktoby za nim prosił, gdyby mu, broń Boże, poganie co złego chcieli zrobić.

Słyszając tak dziecinny powód, Janek się uśmiechnął gorzko.

— Miejmy nadzieję — mówi — że do tego nie przyjdzie. Ale jak się można łudzić, że u nich jakieś prośby zaważą. Nie, matko, nie powinnaś tu zostać. Pod żadnym pozorem.

A kiedy zostali sami, Janek mówi bez ogródki:

— No niepodobna. Niech ojciec nie pozwoli. A w ostateczności jedźcie oboje. Tu i ojciec nie potrzebny. Po co się narażać. Niech wszystko zagrabią, niech zniszczą, byleście wy ocaleli. Prawda, że na starych mniej zwracają uwagi, ale czyż można liczyć na to. Naturalnie, młodym a zwłaszcza młodym kobietom, największe grozi niebezpieczeństwo, więc trzeba by czemprowadzić Marylą i wszystkie inne.

— A to ja bezwarunkowo zrobię — zapewnia ojciec.

— Ale zaraz, choćby jutro — dorzuca Janek. — Byle tylko nie do miasta, broń Boże, nie do miasta, bo tam największe niebezpieczeństwo, a co uajmniej głód.

— Obawiam się, mój chłopcze — zaczyna Szymon wątpić — że trochę nadto zbliżasz i powiększasz niebezpieczeństwo. Nie biorę ci tego ze złe bo wiem, że to ze zbytnej troski o nas. Zdaje mi,



się jednak, że jeszcze rzeczy nie tak źle postawione jak ty je przedstawiasz.

— Bogdajbym się mylił, ale, niestety. . .

— Jesteś jeszcze młody — przerywa mu ojciec — a każdy młody zwykle w zapale wszystko przesadza. Zresztą nie znasz jeszcze naszego ludu. Zawsze mężny a teraz tem mężniej walczyć będzie bo w rozpacz, bo wie, co go czeka, bo wie, że to walka o śmierć lub życie, walka za wiarę, za kraj, za nasze ogniska domowe. A zresztą będziemy mieć przewagę liczebną, więc być może, wszystko skończy się pomyślnie.

— I ja bym gotów podzielić te nadzieje, gdyby była karność i zgoda. Ale niestety, tego właśnie zupełny brak. Każdy by tylko rad rządził a nikt nie słucha. A kto woła o zgodę, ten woła tylko aby szli za nim, ale sami za nikim iść nie chcą. Więc wszędzie rozdwojenie i walki a nawet w samej Jerozolimie leje się krew bratnia. Wszyscy wprawdzie czują potrzebę wojska, ale nikt się do niego nie kwapi.

Jeden na drugiego się ogląda i myśli, że przecież bez niego wojsko być może. Ale jakżeż ono być może, skoro tak każdy myśli i każdy w domu siedzi. Józef robi co może, chciałby 100 tysięcy uzbroić, bo bez tego ani myśleć o obronie, ale dotychczas nawet i 10 nie zebrał jeszcze.

— To nic dziwnego, — mój kochany — wtrąca Szymon. — Zawsześmy niechętnie za miecz chwyтали, ale zawsze tem chętniej go składali, bo wojna to nie nasze rzemiosło. Nigdyśmy też wojska nie mieli, choć umieliśmy zwyciężać.

— Bo naszym wojskiem był Bóg — z zapalem dorzuca Janek — i dziś też na niego się tylko oglądamy, ale on się bodaj od nas już odwrócił, bo

zamiast się poprawić z grzechów, coraz w nich bardziej jeszcze toniemy.

— To prawda — mój synu. — Ale może też w końcu okaże swe zmiłowanie nad wybranym ludem.

— W nim też chyba tylko cała nadzieja nasza — dorzucił Janek.

---

## ROZDZIAŁ V.

### W pułapce.

Wespazyan, jak już wiemy, gromadził wielkie siły w Syrii. Zaraz z wiosną jego syn Tytus, przyprowadził mu sporo wojska z Aleksandryi. Nadciągnęli też niebawem i Agrippa i król Arabii, Malchus i inni sprzymierzeńcy. Ale prócz tych kilkunastu tysięcy wojsk posiłkowych, Wespazyan miał trzy legie po 5000 i 23 kohorty, z których 10 liczyło po 1000 samych pieszych a inne po 600 pieszych i 150 koni, czyli razem wszystkiego do 60,000, nielicząc różnej zbieraniny, która w potrzebie także mogła być użyta.

Z taką to siłą blisko 100 tysięcy sięgającą, ruszył Wespazyan ku Ptolemais. A nikt mu w tym pochodzie najmniejszego nie stawił oporu, bo też nigdzie ani żołnierza nie było, ani nawet żadnej istoty ludzkiej; wszystko co żyło, puciekowało już do miast warownych, unosząc z sobą co kto mógł na ramiona lub na wozy zabrać.

Cały więc kraj oprócz tylko niektórych miast, leżał u nóg rzymskiego wodza, zdany na łaskę i niełaskę.

A miast takich, któreby na miano warowni zasługiwały, było w wyższej Galilei tylko trzy, mianowicie Gabara, Gischala i Jotupata — z tych



ostatnie najobronniejsze, uchodziło wprost za niezdo-  
byte. Tam też Józef postanowił główny opór  
stawić, i dlatego wielkie tam zgromadzono zapasy.

Była to istotnie warownia bardzo silna, już  
przez samo swe położenie wśród gór, bo nawet  
tylko z jednej strony miasto otoczono murem  
a z trzech innych strome ściany wyniosłej skały,  
na której szczycie stało, dostatecznie je broniły,  
czyniąc przystęp prawie niemożliwym. Ale po za  
tem Jotupata sama w sobie miała jedną słabą  
stronę, tj. brak wody. Mogło jej wprawdzie wy-  
starzyć dla zwykłej liczby ludności, trochę więcej  
nad 2000 wynoszącej, ale nigdy dla dziesięć kroć  
większej, jaka się tam teraz zgromadziła, szukając  
schronienia przed najazdem.

Tymczasem, skoro tylko Wespazyan dotarł na-  
reszcie do Ptolemais, zaraz go proszą wysłańcy  
z Sepphoris, aby raczył to wierne miasto wziąć  
w swą obronę przeciw żydom Józefa. Jakoteż stało  
się zadosyć tej prośbie. Placydus w 6000 piechoty  
i 1000 koni zajmwszy to miasto, czasu tam nie  
tracił. Konnica jego, robiąc wycieczki w okolicę,  
wszystko ogniem i mieczem pustoszyła; a kto żywy  
wpadł w ręce, tego zaprzędawano handlarzom nie-  
wolników.

Co zaś do Józefa, to na pierwszą wieść o po-  
chodzie rzymian, wojsko jego prawie całkiem się  
rozpierzchło, a on sam zresztami uszedł do Tiberias.  
Ztąd list za listem słał do Jerozolimy, dowodząc, że  
jeśli nie można wystawić potężnego wojska, to ljuż  
stokroć lepiej odrazu się poddać, niż przez nieroz-  
sądną obronę ściągać na kraj jeszcze sroższą zemstę  
Rzymu. Zobaczymy w końcu, jaki te jego rady  
odniosły skutek; a tymczasem pójdźmy za nim do  
Jotopata, gdzie dotarł już 14 maja 64 r. po Chry-  
stusie.

Wespazyan tymczasem podsuwał się coraz bliżej, znacząc swe przejście mordem i pożogą. Takiemu losowi uległo miasto Gadara, chociaż nikt tam żadnego nie stawiał oporu, bo cała do broni zdolna ludność poszła już bronić Jotopata.

Jednocześnie i Placydus wyruszył z Sepphoris. Józef dowiedziawszy się o tem, taką mu w górach zgotował niespodziankę, że Placydus, choć bez wielkich strat, musiał się jednak cofnąć.

Pierwsze to choć drobne zwycięstwo, ogromnie jednak podniosło ducha obrońców, jako dowód, że się mogą nawet z rzymianami mierzyć. Ale niedługo było tej radości, bo wkrótce ukazały się wojska samego Wespazyana.

Całe miasto wyległo, aby się przypatrywać tym niezliczonym zastępom, które mu niosły zagładę. Straszny to był widok. Niejednego mrowie przeszło na myśl, że trzeba się przeciw takiej potędze bronić, inaczej wszystkich czeka niechybna śmierć, lub jeszcze stokroć od niej gorsza niewola. Większość jednak w przekonaniu, że taka warownia nie do zdobycia, drwi sobie poprostu i urąga przybyłym.

Janek na złomie skały stojąc jak posąg nieruchomy, w ponurej zadumie patrzy na te ciągnące kolumny wojsk i szeregi wozów, na których sterczą różne bagaże i maszyny oblężnicze.

— Nigdy nie przypuszczałem — zaczyna go Ruben — że zdołają się przedrzeć przez te niedostępne góry. Zdawałoby się, że nawet dla pieszych to niemożliwe.

Janek uśmiechnął się gorzko.

— Mój kochany — rzecze — ci ludzie cały świat już przeszli. Nie ma dla nich przeszkód.

— Widzę, że miałeś słuszność — ciągnie Ruben — bo sam się teraz czuję jak mysz w pułapce. Zaczynam już wątpić.

— A więc cóż było robić — przerywa mu towarzysz Joab — kiedy nie pozostało nic jak tylko bronić się na tej skale. Przecież w otwartym polu nigdybyśmy im nie sprostali. Wszak pod Askalonem Antoninus jedną tylko miał kohortę, a naszych padło 10,000 i dwóch wodzów: Jan z Essene i Gilos Babilończyk. A kiedy go w parę dni potem zaczepił Niger, znów ta sama historia, bo straciłszy około 8000. Mówią nawet, że żywa dusza z tego pogromu nie uszła.

— Prawda — rzecze Janek — nikt nie uszedł, bo nikt nie chciał uchodzić. Choć padali jak muchy a stali. Bo my tylko umiemy ginąć, ale nie umiemy walczyć tak jak oni. Ale to jeszcze bynajmniej żaden powód, aby się już w murach zamykać, gdzie wszystkich tem pewniejsza zguba czeka.

Joab się zaśmiał.

— Głodem nas nie umorzą, choćby i cały rok tam warowali. A skały też zębami nie ugryzą.

Tu Janek wskazał ręką.

— Patrz, tam, na wozach leżą ich żęby. A zobaczysz wkrótce jak nas będą niemi gryźć.

— E, jeszcze dużo wody w Jordanie upłynie — mówi Joab z przekonaniem. — A choćby nawet w końcu postawili na swoim, to im z pewnością odejdzie już ochota zdobywania Jeruzalem, bo ich tu przynajmniej z połowa padnie.

— O, jeżeli tylko taki cel naszej obrony — wtrąca Ruben — to i ja i Janek chętnie tu życie położymy, byle tylko naszą świątynię od zagłady ocalić. Ale Janek mówi, że ona musi upaść.

— Powiedz lepiej jak to było — poprawia Janek. — A niechbym pierwej język stracił, zanim-



bym to w złą godzinę wyrzekł. Ja tego nie mówię, tylko powtarzam co inni mówią. Oto spotkałem gromadę ludzi z tobołkami na plecach. Dowiaduję się, że uciekają z Jeruzalem. Zdziwiony tedy pytam: Dlaczego? Przecież tam najbezpieczniej. Jerozolimy żaden mocarz nie będzie wstanie zdobyć. A oni mi na to: Mylisz się, mój przyjacielu. Jerozolima na pewno zginie, bo nam Chrystus Pan jej upadek zapowiedział. A trzeba wam wiedzieć, że ten ich Chrystus, którego naukę wielu już wyznaje, głosił podobno, że przyszedł lud Izraela wybawić.

— A sam siebie nie mógł od śmierci wybawić — zaśmiał się Janek.

— To prawda — przytacza Janek. — Ale on przecie nie nauczał nic złego. Nawet mój ojciec mówi, że to był człowiek niezwykły i uznaje go za proroka. A ojciec przecie sam go nieraz słyszał nauczającego. Jeżeli zaś naprawdę był prorokiem, to przecie taka przepowiednia coś znaczy. Zresztą uważmy tylko, że on przedewszystkiem wzywał do miłości, do zgody. A że bez zgody najsilniejsza twierdza upaść musi, więc widząc tyle złego, tyle kłótni, łatwo mu było następstwa przewidzieć. Ja sam się też boję, że jeśli nie będzie zgody, to może przyjść na bardzo smutny koniec.

Każdy widać z młodych obrońców, głęboko odczuł gryzącą prawdę tych słów i wielkie prawdopodobieństwo spełnienia przepowiedni, gdyż wszyscy trzej już w milczeniu się przypatrywali dalej napaśnikom, którzy jak mrówki w mrowisku snują się u podnóża skały.

Wespazyan siekierą torował sobie drogę przez gęste lasy i skały; a gdy po 5 dniach takiego trudu, stanął nareszcie u celu, nie odpoczywa, czasu nie traci, lecz bezzwłocznie przystępuje do dzieła

zniszczenia. Kazał przedewszystkiem w okół tak otoczyć to gniazdo krnąbrnych buntowników, aby z niego nawet żywa noga ujść nie mogła.

Już prawie noc zapada, a jeszcze bez końca wciąż nowe nadciągają oddziały. Wespazyan sam wszystkiem osobiście kieruje, i sam też każdemu posterunki wyznacza. Tak nieomal całą noc bez wytchnienia pracował, aby już nazajutrz pójść w taniec. Jako też zaraz ze świtem zaszumiały w powietrzu strzały łuczników i pociski procarzy, a ciężka piechota już pnie się na wzgórze od strony muru tam, gdzie się wydawał najsłabszym. Ale Józef, nie czekając, aż się nadto zbliżą, wpadł na karki napastnikom z takim rozpędem, że mimo całego ich męstwa i zręczności, zepchnął w dolinę, gdzie zażarta walka toczyła się aż do zachodu słońca. Dopiero noc rozdzieliła zapaśników. Straty po obu stronach były nieznaczące. O ile jednak żydzi mieli powód do radości, o tyle znów rzymianie wracali ze spuszczoneym nosem.

Wespazyan sądził, że za pierwszym uderzeniem na cztery wiatry rozpędzi niesforną zbieraninę chłopstwa i ludzi, którym zgoła obce rzemiosło wojenne, a tymczasem ta zbieranina okazuje się godną wyćwiczonego żołnierza. Zapomniał bowiem, że oni do rozpaczki przywiezeni, walczą o życie i wolność swych matek i sióstr, swych dzieci i żon, które tam z góry patrzą na nich, modlą się o zwycięstwo obrońców dobrej sprawy.

Józef się także w boju nie oszczędzał, a że jego wyniosła postać wszystkim rzucała się w oczy, więc też rzymianie na niego przedewszystkiem goździli. Raz już go nawet tak przyparto, że byłby niechybnie zginał, gdyby się w porę pomoc nie zjawiała. Na szczęście Janek, spostrzegłszy co się dzieje, przyskoczył i wodza ocalił. Odtąd już się

ciągle trzymając nieopodal, ani na chwilę nie spuszczał go z oka, co mu jednak nie przeszkadzało z taką zajadłością walczyć, że aż sam Józef musiał go mitygować. Powoli, chłopcze, powoli! Ale Janek głuchy na to, rzuca się wciąż jak wściekły w wir najgorętszej walki.

A kiedy już po skończonej wyprawie z chwałą wracali na swoją skałę, Józef poklepawszy Janka, rzekł z uśmiechem:

— Dobrze, dobrze. Tylko trochę więcej zimnej krwi. Bo nie dość ciąć na prawo i na lewo, ale i siebie też zasłaniać należy a ciąć tylko wtedy, gdy potrzeba.

Nauka w las nie poszła. Odtąd Janek hamując się nieraz, jeszcze miał sposobność przekonać się o skuteczności rad Józefa. Z rzędu bowiem przez 5 dni powtarzały się takie walki a zawsze z równym skutkiem.

Raz po takiej krwawej rozprawie, Joab podsuwa się do Janka.

— A co? Widzisz — mówi z miną zwycięzcy. — Nie mówiłem? Nic nam zrobić nie mogą!

Janek nic na to nie odpowiedział, tylko dalej w milczeniu słomianym wiechciem miecz ze krwi ociera.

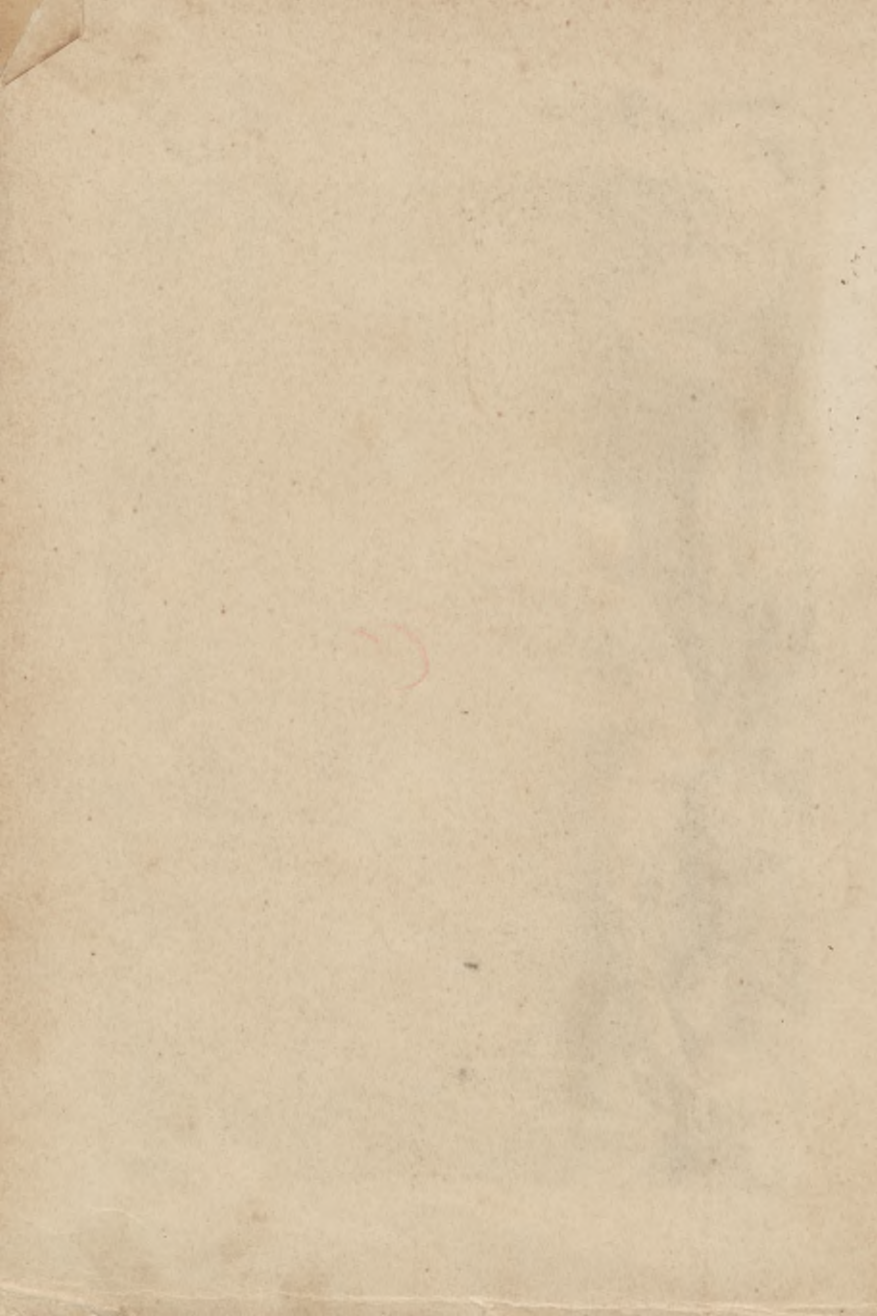
Niedługo też było tego tryumfu Joaba, bo już nazajutrz rzymianie, przepędziwszy żydów, usadowili się w pobliżu murów.

Ale mimo to, Wespazyan przekonawszy się nareszcie, że przebojem nic nie robi, zwołał radę wojenną, na której postanowiono bez straty czasu przystąpić do oblężenia.

Jako też zaraz rozpoczęła się zwózka drzewa i głązów do tego potrzebnych. A chociaż żydzi usiłowali przeszkadzać, co im się nawet czasem







udawało, mimo to roboty postępowały i wkrótce stanęło rusztowanie, prawie już tak wysokie, jak mury, od których je przedzielała tylko niewielka przestrzeń.

Józef zrozumiał, że przy takiej masie procarzy i łuczników, rzymianie mieliby teraz stanowczą przewagę, uznał więc za konieczne podnieść mur wyżej.

Najpierw tedy rozwieszono na drągach świeże skóry, aby zasłonić robotników. Sposób ten nadto okazał się także i z tego względu praktycznym, że skóry uginając się pod pociskami, osłabiały ich uderzenie. Dzięki temu pomysłowi, można było prawie bez szkody dzień i noc pracować, aż wreszcie mur podwyższono o 35 stóp i wzniesiono kilka wież ze strzelnicami.

Wespazyan był po prostu w rozpacz, widząc tyle wysiłków prawie udaremniionych, ale z drugiej strony i Józefowi nie było wesoło. W cysternach bowiem z każdym dniem mniej wody, a co wtedy będzie, gdy się cały zapas wyczerpie zupełnie? To zaś musi w końcu nastąpić, bo rzymianie przecież nie poniechają obłączenia. A więc grozi śmierć nie z głodu, lecz z pragnienia, albo też trzeba się poddać, a wtedy znów niechybna rzeź.

I Janek mniej więcej tak samo sobie rozważał, idąc raz przez najbiedniejszą dzielnicę miasta. Wyrwały go z tej zadumy jakieś piskliwe wrzaski. W zwyczajnych okolicznościach, możeby to nawet zgoła uwagi jego nie zwróciło; ale w takim położeniu, często lada drobnostka może mieć duże znaczenie. Wszakże podobnemu wypadkowi zawdzięczał odkrycie spisku w Tiberias. Zresztą z natury ciekawy, zaraz się zwrócił ku owej chacie, z której go te głosy doszły.



— W tejże właśnie chwili wypadło na ulicę coś niby żyjąca istota ludzka, trochę podobna do chłopca, a za nim kobieta jeszcze dość młoda, ale brudna i ledwo odziana. Janek widząc kij nad głową chłopca wzniesiony, jeszcze w porę doskoczył, aby biedaka zasłonić.

— O co to chodzi? — krzyknął — za co go bijecie?

Była to kobieta jeszcze dość młoda, ale wstrętne brudna i także ledwo okryta. Na widok nieznanego żołnierza, trochę się zrazu zmięszała a niedokończone przekleństwo zamarło jej na ustach. Niebawem jednak odzyskała dawną swadę i nuż się rozwodzić.

— A bo nicpoń — prawi — leniuch, darmożjad. A teraz śmiał powiedzieć, że chciałby, aby jaknajprędzej rzymianie do miasta weszli. Tak, proszę pana, wyraźnie to powiedział.

Janek zgrozą przejęty, zwrócił się do chłopca.

— Czy podobna? — pyta — powiedziałaś?

— Tak, tak — potwierdza oskarżycielka — to wierutny nicpoń. Powiedział nawet, że radby, aby mnie w niewolę do Rzymu pognali... Och ty!...

I tu go kułakiem w bok poczęstowała.

Janek zasłonił malca.

— Jak śmiecie bić w mej obecności — rzekł oburzony — Jestem z przybocznej straży samego wodza. — dodał, (bo zresztą lubił się tem chwalić przy każdej sposobności) — Mów! — zwraca się do chłopca — czy to prawda? Powiedziałeś?

— Powiedziałem — odpowiada krótko.

— A widzi pan — dworuje teraz kobieta — przecie mówiłam, że to nicwarto chłopak.

— Cicho! — zawołał Janek. A potem do chłopca: Przecieżes i ty dziecię ludu Izraela. Jak

mogłeś? Alboż to nie wiesz, że już sama myśl taka jest zbrodnią, zbrodnią najohydniejszą, największą ze wszystkich na świecie. Człowiek, który zdradza braci, nie wart, że go święta ziemia nosi.

— Ja nie zdradzam — zaprzecza chłopiec zaczerwieniony po uszy.

— Nawet takie pragnienie jest zdradą — rzecze Janek — a jeżeliś nie zdrajca, to i ciebie spotkałby taki los jak innych, gdyby poganie miasto zdobyli.

— Co tam ja — odpowiada chłopiec — ja to nic. Mnie nic nie robią? A zabijają? No, to jeszcze lepiej. Przynajmniej raz się skończy moja bieda, ale z tą jędzą byłoby gorzej. A niechby i ona trochę popróbowała jak to smakuje. O, oni by jej tam za mnie wszystko zapłacili.

— A któż ona? — pyta Janek — Nie matka?

— Ale, matka. O, jaka matka!

Tu zwraca ku niemu obnażone plecy pełne sińców i ran.

— Matka by się tak nie znęcała — dodał — ale to tylko macocha.

Janek chciał zrobić wymówkę, lecz srogiej macochy już nie było.

A ośmielony tem chłopiec, ciągnie teraz dalej.

— Hoho! gdyby moja rodzona żyła, byłoby inaczej. Jabym jej nawet rzymianom nie dał ukrzywdzić. A i ta, gdyby była lepsza... Ale nad taką niech się tam znęcają. Nie będę bronił.

Te butne przechwałki chłopca, brzmiały tem dziwniej, że było to takie marne i wynędzniałe, iż pożał się Boże. Więc nawet Janek się rozweselił

— Tybyś poganom najwięcej zrobił — żartuje sobie.

— Co bym zrobił to bym zrobił — odpowiada z jakimś tajemniczym uśmiechem — Już ja wiem, że mojej matce aniby włos z głowy nie spadł.

— A możeś ty głodny, mój zuchu?

— E, ja prawie zawsze głodny — odpowiada chłopczyzna — teraz zwłaszcza, kiedy ojciec nieomal wciąż na wałach, to już i psu nie gorzej, niż mnie u tej jędzy.

— Żal mi cię, mój kochany — mówi Janek — ale to zawsze brzydko, żeś się tak mógł odezwać.

— E, proszę pana — odpowiada — ja przecie tylko tak, aby jej dokuczyć... Ale ja tak samo życzę tym poganom jak i każdy żyd.

— A jak ci na imię?

— Janasz.

— Pójdź, Janaszu — woła go Janek. — No chodźże powtarza, widząc, że się chłopiec jakoś ociąga.

— Tam pewno będą bić? — rzecze Janasz.

— Zasłużyłeś na to, bo nawet żartem a tem mniej z zemsty nie godzi się mówić takich rzeczy. Ale nie bój się. Dostaniesz jeść i może się tam nawet jaki kął u mnie znajdzie dla ciebie. Chodź.

Janasz poszedł; choć już nawet samo przypuszczenie tylko, że nie będzie głodnym a przedewszystkiem, że nie potrzebuje do macochy wracać, wydało mu się tak nieprawdopodobnem, że zgoła w głowie nie mogło mu się pomieścić. Dopiero wtedy nareszcie uwierzył w swe szczęście, gdy zastawiono przed nim miskę soczewicy i kawał koźliny a w dodatku i naczynie z wodą.

Chłopak zajadał aż mu się uszy trzęsły, ale wody ani tknął. Zadziwiony tem Janek, pyta:

— Czemu nie pijesz?

— E, ja tego to nie ułaknę — odpowiada.

— Jakto być może? — dopytuje Janek — Przecież wszyscy już odczuwają brak.

Janasz znów uśmiechnął się tajemniczo i wyraźnie jakoś wymijające daje odpowiedzi, a nawet



żartem chciałby zbyć. Bo gdy sobie dobrze podjadł, już i na żarty się puszcza.

— Ja się wody boję — mówi — jeszczeby mi trzcina wyrosła i żaby się wylęły.

— Jakto? — pyta Janek niedowierzająco — wcale nie używasz?

— E, wcale nie, ale mogę się obyć. Panu zabraknie.

— Pij, nie obawiaj się. Ale ty musisz chyba mieć wodę, bo czyste masz ręce — zauważył Janek podejrzliwie.

— Bo wolę się myć, niż pić — brzmiała odpowiedź.

Niechże się nikt nie dziwi, że tyle gadania o trochę wody. Woda przecie była tam wówczas więcej ceniona niż złoto. Możeby więc Janek jeszcze dłużej go badał, bo mu się jakoś bałamutnymi zdały odpowiedzi chłopca, ale dalszą rozmowę przerwało wejście Rubena, który oznajmił, że Józef chce Janka widzieć.

Janek tedy spiesznie miecz przypasał a na odchodnem rzecze do Janasza:

— Tam w kącie wisi suknia. Przymierz, a jeśli dobra na ciebie, możesz ją wziąć.

— Ależ to zawiele — wymawia się zdumiony Janasz — ja się obędę.

— Bierz, bierz, bo mi tylko zawadza. To po biednym Joabie, który wczoraj padł na murach.

Janek często był wzywany; nie była to więc żadna dla niego nowina; nie łamał też sobie głowy odgadywaniem powodu. Przez całą drogę natomiast myślał tylko o swej przygodzie i nowym znajomym, a przede wszystkim o czystości jego rąk. To nie pojęte. Wszakże on sam już nie pamięta kiedy się mył, a ten smerda pozwala sobie na taki zbytek. Zkąd on może tyle wody brać? Dziwny

to chłopiec. A przytem wyraźnie powiedział, że mu rzymianie nic nie zrobią. W tem coś chyba musi być.

Ale i Janasz nawzajem także tylko o swym wybawcy myśli i o nim się często rad, przed Rubenem rozwodzi. Raz się nawet wygadał, że mu do śmierci tego nie zapomni, i że już może nawet wkrótce okaże mu swą wdzięczność.

Jako też służył nowemu panu wiernie jak pies, nieomal jego myśli odgadując. Teraz miecz Janka zawsze czysty, i w słońcu błyszczy, niby drugie słońce; a co rano jakaś tajemnicza ręka zostawia pełen worek świeżej wody.

Gdy to Janek po raz pierwszy spostrzegł, jeszcze bardziej zdziwiony, pyta: Zkąd się to wzięło?

Ale Janasz tylko ramionami rusza, jakby o niczem nie wiedział a oczy mu się śmieją i co innego mówią.

Nieraz go Janek brał na spytki, ale nie pomogły ni prośby ni groźby, chłopak wciąż swoje.

— Zabij mnie, panie, ja nic nie powiem, bo nic nie wiem.

Kazał go nawet Rubenowi śledzić, ale i to nie pomogło. Chłopak niby w domu śpi a woda rano jest jak zawsze. Raz jej tylko nie było, wtedy, gdy Ruben się zawiązał i przez całą noc miał go wciąż na oku.

Z tem wszystkim Janek tylko pił, bo woda wyborna, bez porównania lepsza niż z cysterny; ale napróżno chłopiec codzien go namawia: Umyj się panie, choć raz. Jemu poprostu żal takich skar-bów, gdy inni już prawie umierają z pragnienia. Wolał więc dzieciakom wszystko rozdawać, sam wydzielając każdemu potrochu. Dzieciaki się tak do tego przyzwyczaiły, że co rano dom był jak w ob-lężeniu. A już to sobie widać wprost za obowią-

zek brały, bo w owym dniu, kiedy się to worek wcale nie pojawił, przyszło nieomal do buntu, taki powstał lament. Ledwo że Janasz i Ruben zdołali malców odpędzić.

W końcu ta tajemniczość zaczęła Janka niecierpliwic, więc jeszcze innego środka próbuje.

— Macocha miała słusność — mówi — bo sam teraz widzę, żeś nic dobrego. Mówisz, że za mnie byś życie oddał, ale ja w to nie mogę wierzyć, bo tyle razy pytam: zkąd wodę bierzesz, a ty mi nawet tego nie chcesz powiedzieć.

A chłopak plackiem mu do nóg.

— Panie — woła ze łzami — czy ci niewiernie służę? Tyś dla mnie taki dobry, taki dobry! że i rodzona matka nie byłaby lepszą. Więc nie raz, ale sto razy życie za ciebie bym oddał, ale dla tego właśnie o to mnie nie pytaj, bo ja nie powiem... Ja... ja nic nie wiem. Kop jak psa, ale nie pytaj i nie mów, żem tobie nie wierny..

— Dziwny chłopak — mruknął Janek i odszedł.

---



## ROZDZIAŁ VI.

### Wysłannik.

Dopóki oblężeni musieli wciąż odpierać szturmy, nie było czasu zastanawiać się nad smutnem położeniem miasta. Ale gdy przyszło w beczynności pa-trzeć tylko na przygotowania rzymian, każda go-dzina takiego życia wydawała się wiekiem. Doma-gano się czynu.

Aby więc wciągnąć rzymian do walki, Józef kazał wyrzucić kilka wołów i wylać strumienie wody. Kobiety wprawdzie niepojmując celu takiego mar-notrawstwa, lamentowały, ale podstęp się udał. Wespazyan bowiem, przekonany, że oblężonym brak żywności a przede wszystkim wody, miał nadzieję, że wkrótce będą zmuszeni uleść; a teraz się na-ocznie przekonywa, że ta nadzieja zawiodła. W oba-wie przeto, aby mu zbyt długo nie przyszło czekać na wyczerpanie się ich zapasów, postanawia jeszcze raz pójść do szturm.

Józef spostrzegłszy ruch w obozie rzymskim,  
— A więc macie czegoście chcieli — mówi. —  
Ale wiedcie, że teraz tylko na waszem męstwie  
wszystko zależy. Jeżeli ulegniemy, to koniec. Wy  
i wasze rodziny zgubione. Pamiętajcie więc, że  
to walka o śmierć lub życie. A jeśli już nam prze-  
znaczono ginąć, to ginmy z chwałą. Niech nasza

*Ms. Polon. 12*

śmierć będzie dla innych przykładem i niech potomni ze czcią wspominają imiona walecznych obrońców dobrej sprawy. Walczmy w imię Boga, a on nas nie opuści.

I sam stanąwszy na czele swych wyborowych hufców, rozkazał otworzyć bramy.

Natarcie było tak gwałtowne, że rzymianie po krótkiej walce, wyparci z przykopów, musieli się cofnąć aż za pierwszą linię obozu. Żydzi, korzystając z chwilowej przewagi, zburzyli osłony i kilka maszyn. To był ich zysk całodziennej walki a choć i nazajutrz równie dobrze im poszło, Józef się jednak nie łudził tem powodzeniem. Wszyscy się weselą, całe miasto brzmi okrzykami radości, ale w jego sercu smutek i zgryzota. Już mu się bowiem oczy teraz otworzyły, i widzi, że nie uniknie zagłady, jeżeli w porę jeszcze pomoc nie przyjdzie. Gdyby się choć garstka zbrojnych pojawiła na tyłach rzymian, to wzięci we dwa ognie, możeby musieli odstąpić, — inaczej śmierć.

Pyta więc Janka, czy nie wie przypadkiem o jakim zuchu, któryby się podjął zanieść pismo do rabiego Ben Manasseh, lub gdyby ten już nie żył, to wprost do Jeruzalem.

Była to zapewne delikatna przymówka. Chciałby może Jankowi to zlecenie poruczyć, ale jakoś mu brakło serca wręcz to oświadczyć, wiedząc, jak niebezpieczną taką wyprawa. Ale widocznie byłby rad gdyby się chłopiec sam z tem ofiarował, gdyż trudny wybór. Zuchów wprowadzie pełno, nieomal każdy z ochotą poświęciłby swe życie, ale tu odwaga nie wystarcza; Janek zaś jakoś się zrazu nie mógł czy też nie chciał domyślić, że to o niego samego chodzi. Wzruszył więc ramionami, aby wyrazić, że to po prostu niemożliwe do spełnienia.

Dotychczas Józef szczególną darzył go łaską. Ten człowiek z żelaza, który zawsze umiał trzymać się na wodzy, teraz jednakże okazał mu swe niezadowolone,

— Po raz pierwszy rzekł — widzę w tobie brak chęci. To źle. Zapamiętaj to sobie, że wszystko możliwe, gdy człowiek szczerze pragnie i powie sobie, że musi zrobić.

To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł, zostawiając Janka zdumionego i zawstydzonego.

Ale jeszcze chłopiec nie ochłonął z przykrego wrażenia, gdy nagle znów się drzwi otwierają i wchodzi Józef, lecz już całkiem inny niż przed chwilą. Widząc Janka jeszcze na ten samem miejscu stojącego, uśmiechnął się lekko, i łaskawie położywszy mu rękę na ramieniu, rzecze ze zwykłą słodyczą w głosie:

— Co powiedziałem, nie cofam. Nie raz się jeszcze przekonasz o prawdzie słów moich, bo istotnie człowiek wiele może gdy chce. Ale nie mniej przyznaję, że to zadanie, jeżeli wogóle możliwe, to zawsze bardzo trudne i niebezpieczne.

— Ja je wykonam — odzywa się Janek z zapalem, widocznie podrażniony w swej miłości własnej.

— O nie, nie — przerywa mu wódz. — Wprawdzie myślałem i o tobie, aleś ty mi tu potrzebniejszy. Lepiej wynaleź innego. Lecz musi to być ktoś równie odważny i przebiegły — dodał z uśmiechem i wyszedł.

Janka mile to połechtano; ale jeszcze bardziej zdumiony tak nagłą zmianą. Przecież to wyraźnie, jakby go przeproszał. Inny na miejscu Janka, możeby to wprost przypisywał wyrachowaniu. Zręczny człowiek, (powiedziałby sobie), spostrzegł się w porę, że w takim zwłaszcza położeniu, zawsze



lepiej ludzi ujmować niż zrażać — ot, i cała parada. Ale Janek zbyt młody i prostoduszny, aby kogoś podejrzewać i gorzej sobie cudze postępowanie tłumaczyć, więc jeszcze go więcej pokochał. Coraz też bardziej zaczyna mu się uśmiechać myśl tej karkołomnej wycieczki, bo możeby się przytem dało też odwiedzić i swoich. Ale jak? którędy wydostać się z tej pułapki? jak przejść obóz rzymski niespostrzeżenie tam i z powrotem? Zgoła nie ma o tem pojęcia. A przedewszystkiem najtrudniej z tej przekłętej skały. Nigdy mu to ani przez myśl nie przeszło, bo uważał wprost za wykluczone. Ale kiedy trzeba to trzeba. Musi się przecie znaleźć jakiś sposób.

I tak bijąc się z myślami, wolno wraca do domu. W tem nadchodzi kilku wyrostków. Możeby się warto z nimi rozgadać?

— Czyście tutejsi? — zaczepia pierwszego z brzegu.

— Wszyscy — odpowiadają jednogłośnie.

— Skoro tak — mówi — to musicie dobrze znać rodzinne kąty. Powiedzcież mi tedy, czy nie ma tu jakiegoś przejścia, jakiej rozpadliny, którąby można się ztąd na dolinę wydostać.

Chłopcy milczą, widocznie zakłopotani. A jeden na drugiego tak jakoś spogląda jakby mówił: To chyba waryat, on bredzi, uciekajmy.

— Nie obawiajcie się — upewnia ich. — Jestem z przybocznej straży wodza.

— My przecie znamy pana — z przechwałką odpowiada najmniejszy — ale nie wiemy, nie.

— Czekaj — wysuwa się drugi — wiesz ktoby chyba wiedział? Jeżeli nie on, to już nikt.

— A, prawda — przypomina sobie tamten. — Tu jest, proszę pana, jeden, który kozy pasał; i tam gdzie koza wlezie, to i on się też potrafi wskrabać,

jeszcze nawet lepiej niż koza. Raz nawet wybrał młode orlęta...

— Gdzie on? gdzie on? — dopytuje niecierpliwie Janek

— Teraz go jakoś nie widać. Może zabity.

— Co to za jeden?

— Wołają na niego Janasz.

— Janasz? Chuderlawy, blady?...

— E, to taka biedota.

— Nie ma już matki?

— A tak, bodaj nie ma.

— Dziękuję wam, dziękuję — prędko zawołał Janek i prawie pędem pobiegł.

— Tak, to on, z pewnością on, — myśli. — Dziwny traf. Teraz pojmuje z kądem wodę bierze. Widocznie gdzieś wśród urwiska odkrył jakieś nikomu dotąd nieznanne źródło. On mi niezawodnie będzie mógł wskazać drogę.

I tak tego pewny, że już nietracąc czasu, wprost do Józefa zawraca.

— Już mam potrzebne mi wskazówki — oznajmia z pospiechem. — Teraz ja sam mogę pismo zanieść. Jestem pewny, że mi się uda. Więc proszę...

Ale prośba była zbyt uczynna, bo Józef, jakby tylko czekał na to, przerywa mu:

— Dobrze — mówi — dostaniesz pismo, a resztę na słowa.

I zaraz przyniósłszy owo pismo, dodaje z uśmiechem.

— Teraz mogę ci już powierzyć, skoro sam uwierzyłeś w możliwość powodzenia. Bo wiesz, że człowiek bez takiej wiary, nawet palcem kiwnąć niezdolny; i jeżeli wątpi o skutku, niech lepiej nie zaczyna. Ty wątpiłeś, więc i ja zwańpiłem aby ci się udało. Teraz wierzysz, więc i ja wierzę iż do-

pniez celu. Bo wiele rzeczy na pozór niewykonalnych, nawet łatwo wykonać, ale tylko wtedy, gdy się do dzieła z wiarą przystępuje. Zresztą im większe trudności, tem większa zasługa z ich pokonaniu. A obiecałem ci dać sposobność zasługi, i oto ją masz. Pamiętaj, że możesz się stać zbawcą Izraela. Ciężko nas Pan doświadcza, aleśmy przecie jeszcze Jego ludem wybranym, więc jeżeli gniew swój już od nas odwrócił, to on cię bezpiecznie przeprowadzi, bo od tego pisma zależy ocalenie nasze. Więc idź w imię Boga.

Otrzymawszy tedy list i różne zlecenia ustne, Janek wyszedł jak oszołomiony. Wciąż brzmiało mu w uszach: Zbawca Izraela! On zbawcą Izraela!...

— Janasz! Janasz! — woła już od proga — Janasz! chodźże tu!

— Janasz! Janasz! — pomaga mu wystraszony Ruben.

A kiedy się nareszcie chłopiec zjawił, zaraz do niego Janek:

— Słuchaj — mówi — teraz już wiem zkąd wodę bierzesz, wiem! Musisz mi więc natychmiast wskazać drogę, którądy można zejść na dolinę.

Janasz zrobił wielkie oczy a Ruben aż osłupiał.

— Tylko się znów nie próbuj wykręcać — przestrzega Janek — bo to się teraz na nic nie zda. Ja muszę wiedzieć, dziś, zaraz...

Chłopak milczy.

— No, słyszysz, o co pytam? Mówię ci, że musisz, musisz mi wskazać. Tu o śmierć lub życie chodzi! o ciebie, o mnie, o wszystkich. Mów! chłopcze! — dodał po chwili, niemogąc się doczekać żadnej odpowiedzi — nie ucz mnie cierpliwości, bo mogę być i złym. Powtarzam, tu chodzi o życie nas wszystkich?



Ale nic, ani prośby ani groźby nie pomagają; chłopak wciąż milczy jak zaklęty.

— No co? czy ty powiesz nareszcie?! — zniecierpliwiony już krzyknął. — Mam ci sam język rozwiązać. — Mów! — dodał, gwałtownie potrząsając nim za ramię. — Mów! — powtórzył z naciskiem — nie doprowadzaj mnie do ostateczności! Nie igraj ze mną, bo tu nie ma żartów.

Ruben nigdy go jeszcze tak wzburzonym nie widział. A spostrzegłszy, że już nawet i za miecz chwyta, zerwał się aby przeszkodzić nieszczęściu. Ale Janek już się tymczasem pohamował.

— Jeszcze raz pytam, ostatni raz — mówi nieco spokojniej ale stanowczo. — Mów: którądy?

— Panie, zabij — odpowiada Janasz drżący — zabij mnie, ja nic nie powiem.

Janek za głowę się porwał, i chodząc po izbie wyrzeka.

— Co ja pocznę! co ja teraz pocznę!... Już powiedziałem, już się podjąłem... Wstyd... Ja nie przeżyję..

— Panie, ja cię tak kocham — łasi się chłopiec.

Janek się dziko zaśmiał.

— Precz z takim kochaniem!

— Na co ci to? — pyta wreszcie Ruben.

Janek rzucił pismo na stół.

— Muszę to odnieść, choćby nas dwa razy tyle pogan otaczało. Od tego zależy nasze zbawienie.

Ruben aż się cofnął przerażony.

— Chcesz iść na śmierć oczywistą. Ależ to waryactwo.

— Bóg mnie przeprowadzi.

— Bóg nas opuścił.

— Panie — wtrąca Janasz — jak słońce na niebie, oniby cię zabili. A jak to odbiorą, co wtedy? Jeszcze większe nieszczęście. Nie, ja ci nie powiem, bo choćbyś ztąd wyjść zdołał, to tam zguba niechybna. Więc zabij mnie, ja nic nie powiem, bo cię kocham. Ale daj mi to, ja sam poniosę, i przysięgam, że oddam komu należy. Ja to zrobię albo nikt.

I z pochyloną głową, z rękoma na piersiach zkrzyżowanemi stał, jakby gotowy pod miecz.

Z tej strony Janek ani przypuszczał zawodu. Już marzył, już się nieomal uważał w duchu za zbawcę Izraela, a tu od razu wszystko niweczy upór tego chłopca. Złamany więc, zrozpaczony, szerokimi krokami mierzy izbę od kąta do kąta.

— Co ja teraz pocznę? — myśli — co ja mu powiem? Zamiast zasługi i chwały, wstyd.

A tymczasem Ruben tłumaczy.

— Jabyłm też sądził, że jeżeli kto, to on to wykona.

Janek się zaśmiał.

— Palcem go lada dzieciak przewróci.

— Nie tak bardzo — broni go Ruben. —

A zresztą tam siła na nic się nie przyda. Owszem dlatego właśnie że taki marny, może się łatwiej precisnąć. Przytem zwinny jak małpa, na lada gałęzi się przyczai, a ty, tybyś się nie przedał..

— Czy tam, czy tu ginąć, to jedno — odparł Janek zniechęcony.

— Tak, ale chodzi o skutek poselstwa.

Nagle Janek przystanął i zwraca się do chłopca.

— A więc nie wskażesz mi drogi?

— Nie, bo ja pana kocham.

— Dobrze. Ale sam się tego podejmiesz?

— Podejmę.

— Zważ że to niełatwe.

Chłopiec lekceważąco machnął ręką.

— Jakoś dam sobie radę — zapewnia. — Zobaczysz pan, wkrótce będę z powrotem.

— Niech i tak będzie. Masz.

Chłopiec wyciągnął rękę po pismo.

— Ale mi pan musi jedno przyrzec — mówi ze znaczącym uśmiechem.

— Coż takiego?

— Że mnie nikt nie będzie śledził, którędy ja pójdę.

Janek się zawahał, bo właśnie ten ukryty miał zamiar; ale widząc, że mu już nic nie pozostaje, skoro go chłopak przeniknął, więc ostatecznie i na to się zgadza.

Na tem też stanęło. A kiedy Janek otwarcie przyczyny wyjaśnił i za Janasza poręczył, Józef był zupełnie z takiego obrotu zadowolony.

Tymczasem też przyszły jeszcze cięższe chwile na oblężonych. Wespazyan widząc bezskuteczność szturmów, aby nadal uniknąć zbyt wielkich a daremnych ofiar, postanowił znów po dawnemu oblężenie prowadzić, tylko z większą niż poprzednio, zapalczywością. Lekkie tedy wojska do obozu cofnął a natomiast wysunął ciężkie, i te z maszynami zbliżały się ku murom, które jednocześnie zasypywał grad strzał i pocisków procarzy oraz olbrzymich głazów wyrzucanych przez katapulty, tj. maszyny w rodzaju wielkiego łuku ze stali.

Żydzi nie mogąc się wcale pokazać na murach, musieli beczynnienie za nimi siedzieć, czując, że one już drżą w posadach pod uderzeniami taranów. I byłby już może niezadługo wyłom zrobiony, gdyby Józef nie zapobiegł temu przez spuszczenie wiązek słomy na linach. To na chwilę powstrzymało pracę rzymian, bo musieli wpierw mieczem na długim drągu osadzonym, poprzecinać liny, co nie było tak



łatwem do wykonania, gdyż się uginały. Ale niebawem znów dzieło zniszczenia prowadzą dalej i to ze zdwojoną siłą, jak gdyby chcieli czas stracony powetować.

Józef już przypuszczał, że widocznie posłańca schwytano; a dowiedziawszy się z pisma o rozpaczliwym położeniu obleżonych, chcą korzystać z niego, i ztąd te wysiłki.

W końcu niebezpieczeństwo zaczęło być tak groźnem, że trzeba było za jaką bądź cenę przeszkodzić ich robocie. Do rozpachy już przywieźdzeni, żydzi nagle wypadają z mieczem w jednym a pochodnią w drugim ręku, i z taką gwałtownością uderzają na oblegających, że ci zmuszeni na chwilę cofnąć się nieco, a tymczasem już ich groźne maszyny i palisady stoją w płomieniach.

Tak więc cała praca wielu dni poszła w niwecz. Szczególniej ucierpiała w tem starciu 5 i 10 legia, straciwszy nieomal wszystek owoc swych dotychczasowych działań. A mogło być jeszcze gorzej, gdyby nie posiłki, wobec których żydzi, ulegając przemocy, musieli się po za mury cofnąć.

Ale chociaż niewątpliwie był to ciężki cios dla rzymian, to jednakże niczem niezrażony Wespazyan, zaraz bez straty czasu, zarządził odpowiednie roboty, tak, iż w kilka dni potem, już znów inne maszyny stały na miejscu spalonych.

A zatem cały zysk żydów z tego ich niby zwycięstwa, to te kilka dni opóźnienia, ale przez to w ich położeniu zgoła nic się nie zmieniło. Tak samo jeszcze, jak przed tem, wciąż grozi im niechybna zagłada. Jedyne jakaś pomoc z zewnątrz, mogłaby ich może ocalić, ale o tem głucho. Posłaniec jakoś nie wraca, widocznie wpadł w ręce wroga, bo inaczej jużby powinna być odpowiedź. Józef, choć słabą ma nadzieję, jednak się jeszcze rad

ludzi i wciąż jego powrotu niecierpliwie wygląda; a tymczasem dzień za dniem mija, Janasza zaś jak niema tak niema.

Janek nie może sobie darować, że uległ. Nie-raz nawet robi wyrzuty Rubenowi, że go namawiał. Trzeba było chłopaka zmusić do wyznania, choćby nawet tortur przyszło użyć. Bo gdzie chodzi o taką sprawę, tam przed niczem cofać się nie można; wszelkie ustępstwa są wtedy naganną słabością.

Ruben się broni, że każdego byłby taki sam los spotkał; ale Janek przekonany, że on byłby się sprawił lepiej, i dziś wszystko byłoby inaczej. Czując też swą winę, nie śmie się na oczy Józefowi pokazać; unika go jak może. A widząc coraz bliższym smutny koniec, z każdym dniem bardziej rozpacza i siebie obwinia, że to on, zamiast być zbawcą, stał się przyczyną zguby tylu tysięcy ludu. I nietylko na jawie, ale i we śnie dręczą go przeróżne widziadła. Często przez sen mówi takie rzeczy, że się aż Ruben zrywa przestraszony, i nieraz aż do rana przy nim przesiedzi w obawie, aby mu się co złego nie stało.

A kiedy tak pewnej nocy czuwa u łoża przyjaciela, zda mu się, jakoby drzwi skrzypnęły i że wyraźnie w brzasku dnia widzi jakiś cień.

— Kto tam? — woła.

— Cicho — cień odpowiada — to ja, Janasz...

Ruben jakby sam sobie nie dowierzał, myśląc, że to tylko senna mara, wytrzeszcza oczy jak szeroko, a w tem znów, jakby wyraźnie słyszał głos tej mary.

— Czy pan Janek śpi?

Teraz już się Ruben na równe nogi zerwał.

— A więc to ty, ty Janaszu? ty naprawdę? — woła uradowany.

— Ja, ja, — upewnia pożądaný gość — a wyście tu już pewno mieli mnie za straconego.

Ruben już się w żadne nie wdaje gawędy, lecz zaraz budzi Janka.

— Janku! Janku! — woła, gwałtownie szarpiąc go za ramię. — Wstawaj! wstawaj!

Janek się natychmiast porwał z łóżka i za miecz chwyta.

— Już koniec? — pyta — Zdobyli?

— Nie, nie, to Janasz jest, tu, czeka.

Janek w pierwszej chwili, aż oniemiał, ale zaraz oprzytomniawszy, rzuca się na szyję chłopcu.

— Jesteś? więc jesteś nareszcie, ty zbawco? — woła prawie ze łzami. — W samą porę!

Ale już o nic go nie pyta, tylko zaraz, porwawszy suknie, prowadzi chłopca do wodza. A tak pędzi, że znużony i wycieńczony Janasz, dobywa się ostatka, aby mu kroku dotrzymać.





## ROZDZIAŁ VII.

### Promyk nadziei.

Jaki skutek wyprawy Janasza, niewiadomo, bo Józef milczy, jakby odpowiedzi wcale nie dostał; a chłopiec też nic o tem nie chce mówić, zapewniając, że zgoła nie wie, co w piśmie było. Może jeden Janek czegoś się dowiedział, ale i ten zamknięty w sobie, i bardzo posmutniał, chociaż mu Janasz przyniósł dość pomyślne wieści z domu. Nie mógł wprawdzie, mimo najszczerzej chęci, być tam osobiście, bo już czasu na to nie starczyło, ale to i owo zasłyszał od ludzi. Głównie zaś to, że się matka dała w końcu namówić do wyjazdu w góry razem z Maryą, Miriam i paru innymi kobietami.

Biedny Janasz nie może się ciekawym opędzić; gdzie się obróci, wszędzie się do niego cisną, a dom od rana prawie obłożony. Tłumy zbywa zapewnieniem, że wszystko dobrze, a czasem nawet opowiada im o wielkich klęskach rzymian. Słowem same tylko wesołe rzeczy, bo tak mu widać nakazano. Ale gdy się biedny lud raduje, on tymczasem swoim blizkim zgoła co innego mówi; mówi prawdę, nagą, straszną, przerażającą prawdę. Wszędzie tylko krew i pożoga. Cały kraj w gruzach, ludność tyjącami ginie. Prócz wielu innych, taki los spotkał

sąsiednie nadmorskie miasto Joppa, które idąc za przykładem Jotapaty, także zamknęło swe bramy przed Trajanem, posłanym przez Wespazyana z 2000 piechoty i 1000 konnicy. Miasto silnie obwarowane podwójnym murem, nie czekając natarcia, samo pierwsze wysłało oddział przeciw napastnikom. Lecz zbyt lekko uzbrojeni i niedość wyćwiczeni żydzi, pierzchli przed rzymianami, którzy wraz z nimi wpadli przez bramę zewnętrznego muru. Wystraszona załoga, w obawie, aby się do miasta nie wdarli, zamyka wewnętrzne bramy, zostawiając tamtych na pastwę rzymian. Jako też odcięci, wszyscy co do jednego zginęli.

Teraz Trajan, wzmocniony jeszcze przez Tytusa, z którym przybyło 1500 wojska, uderza na miasto. Opór był słaby; mury łatwo przyszło opanować, ale dopiero na ulicach zawrzała rozpaczliwa walka. Zażarcie broniono każdej ulicy, każdego domu. Kiedy mężczyźni rzucali się z mieczem w rękę, kobiety a nawet dzieci, dopomagały im jak mogły. Z okien, z dachów rzucano kamienie, albo wylewano ukrop i wrzące oleje. Przez 6 godzin bronili się tak do ostatka bez żadnej nadziei zwycięstwa. Ogółem zginęło tam z górą 15000 a w niewolę poszło 2130 kobiet.

Podobny los spotkał samarytanów, chociaż otwarcie nie przyłączyli się do buntu, lecz tylko znaczna ich liczba zebrała się na górze Gerizim. Wespazyan wysłał przeciw nim Cerealisa z 3000 piechoty i 600 konnicy. Otoczył on szczelnie ową górę, a kiedy obleżonym zabrakło już wody i zaczęli umierać z pragnienia, wtedy wezwał ich do złożenia broni; a gdy odmówili, wyciął w pień z górą 12000 ludu.

Janasz mógłby bez końca opowiadać o podobnych okropnościach, ale już mu poprostu tchu

w piersi brakło. Niewyspany, zgłodzony, czuł się do reszty wyczerpanym. Zresztą już blisko południe a on jeszcze ojca nie powitał. Zabrawszy więc trochę lepszego jedzenia, poniósł mu na mury.

Ale już zdala widzi, że się tam coś niezwykłego dzieje. Słysząc też głuche uderzenia tarana i złowrogi szmer odpadających kawałków muru. Przyspiesza więc kroku, ile tylko sił mu jeszcze starczy.

Istotnie stało się tam w tej chwili coś nadzwyczajnego.

Oto Józef, widząc, że się już mur prawie chwiać zaczyna, zwrócił się do swych zuchów.

— Chłopcy — mówi — wszak sami widzicie, co się tu święci. Mur wkrótce runie, jeśli zawczasu nie ukręcimy twardego łba tej bestyi. A tu chodzi o wasze żony, wasze matki, dzieci i siostry. Kto się poświęci za nich, kto się odważy spuścić tam po linie? Wszak i tak śmierć wszystkich czeka. Więc któż?

Aż kilku wystąpiło na ochotnika. Z tych wybrał jednego tylko.

— Ty spróbujesz pierwszy — rzecze. — Niech Pan będzie z tobą.

Choć go tam prawie niechybna śmierć czekała, dzielny ten człowiek, dumny z wyboru, ochoczo pochwycił tarczę i topór i w oka mgnieniu znika za murem.

Wszyscy oddech zaparli w piersiach. Straszna chwila oczekiwania. Cicho. Słysząc tylko przeraźliwy świst strzał, przerywany jedynie uderzeniami tarana. Nareszcie głuchy jęk doleciał uszu w trwodze wyczekujących obrońców; żałobne echo odpowiedziało mu w ich sercu; i niebawem złożono u stóp wodza, martwe już ciało bohatera.



— Widzicie — rzekł Józef z pozornym spokojem — taki los czeka innych. Ale to konieczne dla ocalenia reszty. Kto jeszcze ma odwagę spróbować?

Znów kilku występuje, i znów wybrał z nich jednego, a ten tak samo bez trwogi idzie na śmierć prawie pewną. Tak samo znów świszczą strzały, ale ten już nie wraca tak prędko.

Straszna teraz męka niepewności.

Rozlega się wreszcie zgrzyt uderzenia żelaza o żelazo. Z bijącym sercem każdy nasłuchuje. Jeszcze chwila i wszystko umilkło. Już taran muru nie bodzie, już mur nie drży i nie pęka, tylko jeszcze strzały groźnie świszczą, a potem głuszy wszystko jeden, wielki przeciągły okrzyk zdumienia i podziwu. To hołd rzymski dla nieustraszonego bohatera. Nawet i sam przeciwnik uczcił takie poświęcenie i męstwo.

Teraz znów z kolei grzmią wybuchy radości, z jaką żydzi witają swego zbawcę. A zbawca grotaami pokłóty, lecz pełen chwalebnej dumy i szczęścia, ukazuje się z groźnym łbem tarana w ręku.

— Chwała ci, Boże wielki — zawołał uroczyście Józef, i podaje rękę zwycięzcy.

Zwycięzca dłoń wodza uściska, i zwała się obok poprzednika.

W tejsze chwili przypadł Janasz.

— Ojczel! ojczel! — krzyknął zboląły, i rzuca się ku umierającemu.

— Dobrze, dziecko, dobrze się spisałeś. Niech cię Pan...

I nie dokończył. Śmierć zawarła mu usta.

— Boże mój, Boże — jęczy sierota — przychodzę go powitać a on mnie żegna.

— Wstań, dziecko, — rzecze Józef przyjaźnie

— nie rozpaczaj, bądź raczej dumny żeś synem takiego ojca.

— A, panie — ze łzami wyrzeka chłopiec — on taki dobry, taki był dobry. Nieraz sam nie dojadł a mnie oddał. Gdyby nie on, z głodubym chyba zmarł.

— Ale teraz głodu nie doznasz — pociesza go wódz. I zwróciwszy się ku wszystkim, dodał: — Wart ojciec syna a syn ojca. Obaj w jednym dniu wielkie położyli zasługi. Gdybyśmy tak zawsze umieli żyć, jak umierać, pewnoby teraz pogańska stopa nie kalala tej świętej ziemi Izraela.

Janasz pogroził pięścią w stronę obozu.

— Przysięgam! drogo mi zapłacą.

Słyszac tę groźbę, ten i ów się uśmiechnął. Bo też istotnie śmieszną się mogła wydać w ustach malca. Takie to przecie marne, takie nikłe, że ani miecza nie poradzi, ani łuku nie naciągnie, a grozi. Ale zresztą, kto go tam odgadnie, co zamysła i do czego zdolny. Często przecie w marnem ciele wielka dusza. A dusza u człowieka wszystkim, moc ciała prawie niczem, boć słabszy od niejednego zwierzęcia, a jednak najpotężniejsze zwycięża rozumem i wolą. Zobaczymy więc jaka to będzie owa zapowiedziana zemsta sieroty.

Ale tymczasem jeszcze rzymianie groźni. Poświęcenie bohaterskie nie na wiele się zdało. Zysk ztąd osiągnięty tak mały, iż może nawet nie wart był ofiary życia dwóch dzielnych ludzi. Prawda, że w takim położeniu, życie ich niewielką miało cenę; prawda również, że często od kilku chwil zyskanych, wszystko zależy: ale w tym wypadku było to tylko przedłużeniem konania; bo znikąd nadziei pomocy, a rzymianie w końcu muszą postawić na swoim.

Jako też w parę godzin potem już znów ich niszczące maszyny po dawnemu pracowały.

Położenie obłączonych z każdym dniem, z każdą nieomal godziną, stawało się gorszem, wprost rozpaczliwem. Ulice dawniej tak ludne, dziś puste, głuche, bo wiele już osób, a szczególnie kobiet i dzieci, umarło z pragnienia lub przestachu; z mężczyzn zaś mało który nie ranny, a każdy pracą i bezsennością tak wyczerpany, że prawie upada ze znużenia. Wszyscy już tak zobojętnieli na swą dolę, że niejeden nawet poprostu pragnął, aby się już raz nareszcie wszystko skończyło. Dopiero kiedy naprawdę koniec zdawał się blizkim, znów pragnienie życia wzięło górę. Kobiety straszny podniosły lament. Taki był płacz i krzyk, że istna Sodomia i Gomora. Józef kazał je pozamykać, aby tem nie odbierały ducha obrońcom. Sam jednakże widząc, że się już ostatnia godzina zbliża, wezwał, do siebie Janasza.

— Słuchaj — zaczyna jakoś tajemniczo — to co ci powiem, jest wielkiej wagi, i dlatego nie wolno ci ani pary z ust wypuścić do nikogo. Rozumiesz? Mogłoby to popłoch wywołać niepotrzebnie. Jesteś odważnym i zręcznym, a mam nadzieję, że się równie okażesz godnym mego zaufania. Daję ci znów sposobność do położenia wielkiej zasługi. Ale pamiętaj, ani pisać. Tu chodzi o ocalenie miasta, a ty się do tego możesz przyczynić. Otóż w piśmie, które mi przyniosłeś, wzywają mnie, abym tam natychmiast stanął sam na czele wojska, które ma was oswobodzić. Potrzeba więc, abym jak najprędzej tam podążył, i ty mnie musisz ztąd wyprowadzić, zazaz, dziś w nocy.

Janasz zdumiał.

— A więc przygotuj się do drogi — zaleca mu wódz dalej — ale sza, nikomu ani słówka



o tem. Milcz jak głaz. A gdy szczęśliwie się uda, nagroda cię pewno nie ominie. Bądź spokojny.

Janasz wyszedł oburzony, aż drzy cały. I wprost do Janka pędzi.

— A więc to tak? — myśli przez drogę — Ucieczka. Żal mu życia. Nie chce się razem umierać. Zostawiać wszystko na pastwę. A to pięknie. Wojsko sobie wymyślił. Pewno mu kto uwierzy. Bo akurat teraz dopiero czas zbierać wojsko. O, żebym tak zdrów był, wszystkim rozpowiem. Niech wiedzą jaki zdrajca.

Janek również oburzony, ale zaleca milczenie. Sam się tylko porozumiał z kilku starszymi i ci poszli wodza prosić, aby poniechał swego zamiaru; a w najgorszym razie mieli go nawet siłą zatrzymać.

Ale obyło się bez tego; bo Józef widząc, że zdradzony, ani zaprzeczał, ani się też upierał. Owszem, przyjął ich ze zwykłą mu słodyczą i na wszystko się zgodził. Z początku wprowadził usiłował przekonywać, że to właśnie dla ich ocalenia konieczne; ale skoro sądzą inaczej, chętnie zostanie i nawet umrze z nimi razem.

Oni mu jednak już nie dowierzali, i odtąd wciąż go miano na oku. Ale to było zbyteczne, gdyż on zupełnie myśl ucieczki już porzucił; raz dla tego, że bez pomocy Janasza, nie mógł jej przedsiębrać, a powtóre, czuł, że go śledzą. Ale mniejsza o powód, dość, że od tej pory nadzwyczaj był czynnym. Nie dojadł, nie dospał, wszędzie osobiście wszystkiego pilnował, wszędzie do walki zagrzewał, sam świecił przykładem wytrwałości i odwagi. A kiedy potem raz spotkał Janasza, to się tylko dobrodusznie uśmiechnął, po ramieniu go nawet przyjaźnie poklepał i rzekł:

— Może to i lepiej się stało. Ale na przyszłość

pamiętaj, że trzeba słuchać starszych, a przede wszystkim nie zdradzać, bo to bardzo brzydko.

Możeby jeszcze dłużej tak prawił, ale teraz jego chwile policzone, bo rzymianie dniem i nocą bez przerwy pracują; a niechby im się udało wyłom zrobić, zarazby do szturmu uderzyli.

Każdy się tego spodziewał; ale Janaszek nawet z pewną niecierpliwością oczekuje tej chwili, obiecując wykonać swą zemstę, do której już odpowiednie poczynił przygotowania.

— Panie — mówi do Janka — ja za słabym aby walczyć, ale ci pomogę, a we dwóch nabijemy tych pogan co niemiara. Będą padać jak muchy. Zobaczy pan. Już ja im zapłacę za ojca.

Jakoż niedługo mu przyszło czekać na tę gratkę.

Był to już 47 dzień. Wespazyan sądził, że mu kilka godzin wystarczy, aby zająć i zburzyć to gniazdo buntu, a tu już tyle czasu trzyma na uwięzi blisko 100 tysięczne wojsko i nic!

Ale nakoniec już blizki celu, bo już nareszcie runął kawał muru z basztą.

Józef był jednak przygotowany na to. Zawczasu już kazał zgromadzić zapas kamieni, aby je na wszelki wypadek mieć pod ręką. Zaraz więc otwór zawalono.

Mimo to Wespazyan, teraz już pewny swego, bezzwłocznie całe miasto, a raczej całą skałę, szczelnie opasał konnicą, aby mu ani żywa dusza z tej matni już nie uszła, a sam osobiście poprowadził swe ciężkie wojska do szturmu. Szedł zaś jak na gody, żołnierze śpiewali a on z miną gęstą, uśmiechnięty, wesół. Zdawało mu się, że dość już tylko rękę wyciągnąć po owoc tak długich trudów i usiłowañ. Zgoła ani przypuszczał, że wycieńczeni,

zgnębieni, będą jeszcze zdolni stawiać mu silniejszy opór. Zapomniał jednak, co rozpacz może.

Obleżeni wprawdzie upadli na zdrowiu, na siłach, ale nie na duchu. Więc tak go jeszcze powitali, że zdumiony i wściekły zarazem, szturm za szturmem przypuszczał, uwziąwszy się widać, aby już raz nareszcie, za jakąbądź cenę, skończyć z ich uporem, który go tyle czasu i sił kosztuje. Sam też nawet, własną ręką paru cofających się, mieczem płałnął przez głowę, ale i to nic nie pomogło. Już, już prawie są na murach, już zda się zwycięży, i znów odparci, znów wracać muszą, a zawsze z wielką stratą. Bo żołnierz rzymski miał tylko pierś okrytą, w przypuszczeniu, że się nigdy cofać nie będzie, a tem samem pleców osłaniać nie potrzebuje. Ile więc razy odparci, musieli się odwrócić, zawsze ich wielu od strzał i włóczni albo wrzątku ginęło. Janasz im przecie zapowiedział, że będą padać jak muchy, i padali.

A i on sam się też niemało do tego przyczynił swoją maszyną własnego pomysłu.

Był to rodzaj kowalskiego miecha, coś niby pompa, ale nie wodna, tylko powietrzna. Chłopcy ją bezustanku nagniatają; a kiedy jeden jej koniec zanurzony w worku z miałkim popiołem, to drugim Janasz tak z poza muru kieruje, aby strumień popiołowy zasypywał oczy nacierającym. Tak oślepieni, zawracają, a wtedy jeden się potknie lub poślizgnie na skale ociekłej tłuszczem i spada, inny zaś ginie od strzały albo rohatyny, tj. małej włóczni, służącej jako ręczny pocisk

A skoro tylko który oczy sobie zasłoni i zawróci, już zaraz Janasz uradowany woła:

— Panie, panie! Ten, o, ten! Dalej go!  
Mocno!



A tyle tego tam było, że Janek ledwo nadążył łuk naciągać, choć mu kobiety i dzieci groty podawały.

A niechno tylko z pod murów odstąpią na chwilę, to już mój Janaszek zaraz chyc! na mur i nuż wyskakiwać a kłaniać się nisko albo marchewkę im skrobać.

Takie blaznowanie swoim dodaje otuchy, ale rzymian bardzo drażni. Szczerze radziby go sprzątnąć. Gęsto więc sypią strzały, ale za daleko, wszystkie padają przed murem. Janasz jeszcze bardziej drwi z tych daremnych zakusów i udaje, jakoby chciał strzały w powietrzu chwycić. Ale taki z niego zuch, dopóki rzymianie jeszcze dość daleko; lecz nie głupi czekać na nich. Niech tylko ruszą naprzód, on już smyk znów za mur. Z tych żartów jednak omal nie przyszło na prawdę, bo jedna go przecież dosięgła, ale skończyło się tylko na lekkim skaleczeniu w łydkę. Ano, będzie miał pamiętne, jeżeli przy życiu zostanie.

Tymczasem rzymianie już po raz piąty do szturmują idą.

Żydzi z zapartym w piersi oddechem oczekują natarcia. A w tem Janasz trąca Janka.

— Panie, panie — rzecze, jakby się bał spłoszyć kogo — widzi pan, o, tego tam, na boku... To bodaj sam Wespazyan. Niechno pan spróbuje. Może strzała doleci. Tylko mocno, z całych sił.

Ruben to posłyszawszy, także łuk naciąga. I jednocześnie dwa groty świsnęły w powietrzu, na wyścigi lecąc obok siebie. Ale jeden z nich słabnie w biegu, co raz niżej, niżej, i pada wreszcie tuż u stóp ofiary, dla której był przeznaczony; za to drugi silniejszy, ugodził ją w nogę.

— Jest! jest! — woła uradowany Janasz. — A widzisz! Masz teraz poganie za moją łydkę! Masz teraz, masz! Panie! panie! — raptem wrzasnął — to on! to pewno on! bo jak to biegną do niego! On! on! Hurra! — wrzeszczy na całe gardło — hurra! Wespazyan zabity! Wespazyan nie żyje! Już niema tyrana!

Zrazu wszyscy osłupieli, przez chwilę głucho panowało milczenie, tylko jeden Janasz, skacząc i tańcząc jak oszalały, wciąż woła:

— Zabity! zabity! To my! to myśmy go sprzątnęli! Niema już tyrana!

Ale w końcu ten i ów widzi, że istotnie coś się stać musiało, bo rzymianie raptem jakoś stanęli i do szturmu już nie idą, a w ich szeregach widoczne zamieszanie. Więc nagle zawtórował Janaszowi jeden wielki, przeciągły okrzyk: Hurra!

— Wespazyan zabity! — szło z ust do ust.

Wkrótce całe miasto brzmiało wybuchami radości. Bo nareszcie Pan ulitował się nad ludem Izraela! On to swą potężną ręką powalił jego wrogów. On to nareszcie po tylu łzach i bólach, daje mu znów nadzieję, która, już się zdawało, całkiem dlań zagasła.

I z nadmiaru szczęścia skakano, śpiewano, całowano się wzajemnie.

Istotnie Wespazyan ranny, ale tylko lekko. Że jednak już noc zapadała, więc niebawem zabrzmiał sygnał do odwrotu, przy żydach zostawiając chwałę dnia.

A ciężko na nią zapracowali. Ale choć może bardziej niż kiedykolwiek uznojeni, oddawna już jednak nie zasypiali z tak lekkim sercem jak dziś, w tym dniu nadziei.

Janek wyczerpany trudem i radością, ledwo dowlókł się do domu, zaraz padł na łóżko jak nieżywy.

Była to noc ciemna, ale pogodna i cicha.

Wkrótce całe miasto w śnie już pogrążone; głucho zaległo milczenie. Ztąd i owąd tylko, jakby nieprzebrzmiałe jeszcze echa powszechnej radości, dolatywały czasem smętne tony piosenki, albo żalosne dźwięki harfy lub piszczałki.

Nagle jakby grom z pogodnego nieba, od strony muru zagrział przeraźliwy głos Janasza.

— Poganie w mieście! poganie w mieście!

Jakby wszystkie struny harfy raptem popękały, milknie teraz przerwana pieśń nadziei a huczy tylko straszne, grobowe:

— Poganie w mieście!

Janasz, jak prawdziwy zwiastun śmierci, pędem biegnie a krzyczy z całych sił.

Kiedy domu dopadł, Janek i Ruben byli już na nogach.

— Dalej! za mną, panie! — woła — dalej, Ruben! Za mną! prędko! Nie ma już ani chwili do stracenia!

Wybiegają wszyscy na ulicę. Już całe miasto zaczyna się ruszać. Coraz częściej dolatują krzyki i jęki mordowanych. Wszczytna się ogólny lament i płacz, bieganina i popłoch. Jedni z podniesionym w górę mieczem pędzą ku murom, inni w różnych kierunkach uciekają. Kobiety łamią ręce, włosy rwą lub padają omdlałe. Tu mąż własną ręką miecz w piersi swej żony topi, tam znów matka sama swe dzieci ze skały strąca i za nimi także w przepaść spada.

A Janasz, przepychając się wśród tłumu nie-



szczęsnych skazańców, wciąż tylko woła: Za mną!  
za mną!

Zanim też w milczeniu podążają przyjaciele, ślepo mu posłuszni, jakby sami już nie wiedzieli, co czynią.

Ujrzeni się wreszcie za miastem, tuż nad brzegiem przepaści.

— Tędy, tędy, — objaśnia przewodnik. — Tylko wolno, ostrożnie, jeden za drugim — wciąż ich przestrzega, szepcząc. — A teraz tu poczekajcie. Ale się trzymać za ręce, a cicho, sza...

I znikł w ciemnościach.

Nad nimi tymczasem wrzawa rośnie i coraz bardziej huczy jak wzburzone, rozszalałe morze, ale morze jednej, wielkiej, bezdennej boleści ludzkiej. A z tego morza krwi i łez, jak piorun z pośród chmur, co chwila się wydiera straszny, rozdzierający krzyk rozpaczy. A potem jeszcze, jakby błyskawice, coraz częściej, coraz jaśniej zaczynają w górę strzelać słupy ognia, wyrzucając snopy iskier i kłęby dymu. Nakoniec całe już miasto w płomieniach, żywo oświeca w okół dolinę i góry.

I pomyśleć, że wszystko stało się tak raptem, tak niespodziewanie! Ledwo przed chwilą zasypiali z nadzieją w sercu, a tu już budzi ich ze snu jak piorun nagła i jak piorun pełna grozy rzeczywistość.

Tak zniecierpliwiony, Janek wprost głowę stracił. Śmierci się nie lęka, boć jej już nieraz śmiało zaglądał w oczy; ale ten straszny obraz mordu i pożogi, do głębi wstrząsnął jego młodą duszą. Jeszcze wciąż oszołomiony, jakby zaniemówił, milczy, i drżąc na całym ciele, kurczowo ściska rękę Rubena. A Ruben podobnież wylę-

kniony tuli się do niego. I tak obaj, niby skamieniali w braterskim uścisku, nieporuszeni czekają, gdzie im Janasz kazał.

Nareszcie też z po za złomu skały, jak mara, jak senne jakieś zjawisko, wychyla się purpurą oblana postać zbawcy, i już, już wyciąga do nich rękę ocalenia a w tem świsnęła strzała, potem druga, trzecia i jawnisko znikło w rozpadlinie.



## ROZDZIAŁ VIII.

### Przebudzenie.

Rzymianie rozjątrzeni tak długim i zaciętym oporem, bez żadnej litości mordowali wszystkich. Kogo nie pochłonęły płomienie, ten — młody czy stary — ginął od miecza. Nikogo nie oszczędzano, z wyjątkiem trochy kobiet, i to przeważnie kobiet młodych, bo te zawsze można drogo handlarzom sprzedać. A wszyscy tak głowy potracili, że się nikt nawet nie bronił; zaledwie przeto kilku tylko rzymian zginęło lub odniosło rany. Z ofiar natomiast żadna nie uszła śmierci. Chociaż się kto przyczaił w zawczasu przygotowanej kryjówce, to i to mu nie pomogło, bo albo ginął gruzami przywalony, albo go też wynaleziono. Zwycięzcy bowiem starannie przetrząsali wszystkie kąty, przede wszystkim szukając Józefa.

A Józef tymczasem siedział sobie razem z kilkunastu starszozny w jamie starannie ukrytej pod stosem kamieni i drzewa. Ale jak sam w swej historii zapewnia, schroniska tego nie przygotował sobie zawczasu, lecz znalazł je dopiero w ostatniej chwili, i to tylko przypadkiem. A zresztą czy tak czy owak, na nic mu się nie przydało, bo je rzymianie również odnaleźli.



Zaraz tedy dwaj trybuni, t. j. dowódcy oddziałów, jakiś Paulinus i Gallicanus, wzywają go do poddania się; ale on na razie nie chce na to przystać. Zgodził się dopiero później, posłyszawszy z ust swego przyjaciela Nicanora potwierdzenie obietnicy w imieniu samego Wespazjana. Towarzysze jednak stanowczo się temu oparli, wprost zdradą nazywając takie postępowanie. Darmo im Józef tłumaczy, że mu sam Bóg we śnie nakazał tak uczynić właśnie dla zbawienia Jego ludu, oni wciąż obstają przy swoim, nie i nie. Oświadczyli nawet, że stokroć wolą sami sobie własną ręką śmierć zadać, niz w pokorze błagać o życie. Wtedy Józef, niby chcąc oszczędzić im grzechu samobójstwa, radzi ciągnąć losy: który którego wpierw ma zabić. A kiedy ogólnie tę radę przyjęto, wszyscy się nawzajem wymordowali, jeden tylko doradzca losu nie wyciągnął i ocalał.

Stawiony następnie przed Wespazjanem przepowiedział mu, że najpierw on sam, a po nim jego syn Tytus, włożą na swe skronie przepaskę cesarów.

Wespazjan zrazu lekko sobie tę przepowiednię ważył, ale skoro się przekonał, że także upadek Jotapaty a nawet samej Jerozolimy przepowiedział, mile to jego miłość własną pogłaskało, i nie tylko że darował jeńcowi życie, ale nawet przyjaźnią go swoją zaszczycił, równie jak i Tytus.

Tak przynajmniej sam Józef rzecz tę przedstawia; a któż jego twierdzeniom zaprzeczyć może, skoro wszyscy naoczni świadkowie zginęli. Głos powszechny jednak potępił go, historia uważa wprost za zdrajcę i renegata, czyli odstępcę a żydzi dotychczas imię jego w najwyższej mają pogardzie.

Trudno wprawdzie przesądzać, jakie byłoby zeznanie owych świadków, gdyby tak jak nasz Piotrowina, mogli z grobu powstać, ale tak jak rzeczy stoją, to bodaj że wyrok historyi słuszny.

Józef od samego początku nie był za powstaniem; a dopiero wtedy i on za broń chwycił, gdy już tak daleko rzeczy zaszły, że niepodobna było inaczej, bez ściągnięcia na się zarzutu zdrady. Od czasu bytności w Rzymie, łączyły go węzły przyjaźni z wielu wybitnymi tam osobami, a przy tem miał sposobność naocznie się przekonać o jego potędze. Nic przeto dziwnego, że niechętnie łączył się z buntem a przytem bez wiary w powodzenie. Prawda więc, którą wypowiedział Jankowi, odnosi się również i do niego samego. Bez wiary działając, nie działał prawie nic a przynajmniej nie tyle ile można było działać. Zamknął się w twierdzy, jak gdyby sam dążył do tego co się stało, bo taki koniec był do przewidzenia. Zdaje się również, że szukał potem sposobności, aby się oddać w ręce rzymianom. Prawdopodobnie zamyślona ucieczka nic innego nie miała na celu. A, w ostatniej chwili przedstawia się jako nędzny kuglarz, który podstępem i pochlebstwem stara się wyjednać sobie i życie i łaski u nieprzyjaciół kraju. Słowem ten wielki człowiek, okazał się bardzo lichym i pospolitym. Może z gruntu dobry, ale wobec śmierci ztchórzył, żal mu się zrobiło życia, wolał dostojęstwa z ręki wroga niż razem z braćmi cichy lecz zaszczytny grób gdzieś wśród odludnych, niedostępnych gór. Jakikolwiek przeto były jego cnoty i zasługi dawniej, wszystko niweczy haniebny koniec — i dziś słusznie jest potępiony. Nic go nie tłumaczy.

Zresztą niewarto się nim dłużej zajmować, wróćmy lepiej do naszych młodszych bohaterów.

— Na szczęście Janek i Ruben siedząc w cieniu za wysokim skały, nie mogli być widziani; strzały więc tylko do Janasza były skierowane, bo on się właśnie w całym świetle ukazał. Dość wcześniej jednak spostrzegłszy niebezpieczeństwo, zdążył się jeszcze w samą porę cofnąć, tak, że mu tylko nad głową świsnęły. Ale przy tej sposobności omal w inny sposób życia nie utracił, bo mu się noga osunęła i mało już brakowało, a byłby się stoczył na dno przepaści. Szczęściem jednak nie wypuścił z ręki liny już do skały przywiązanej; i to nietylko jego samego ale i tamtych uratowało, bo jakążby sami dali sobie radę.

Skoro się nakoniec upewnił, że już zwycięzców niema, sprowadził po kolei Janka i Rubena do grotty przez naturę w ścianie tak wyżłobionej, że ani z góry ani też z dołu nie mogła być widziana. Dla dwóch byłoby tam dosyć miejsca, ale od biedy mogło się i trzech pomieścić, a nawet i czterech, gdyby nie źródło, które ztamtąd wytryskiwało, aby znów zniknąć w rozpadlinie.

Przezorny Janasz zawczasu tam nietylko żywności ale nawet i sporo mchu nagromadził tak że było wszystkim stosunkowo dość wygodnie, chociaż stać nie mogli, musieli tylko wciąż leżeć i to skurczeni, bo inaczej nogi by im na zewnątrz wystawały.

Kiedy się Janek poczuł nareszcie bezpiecznym, w milczeniu uściskał Janasza, który za wszystkich był dziwnie rozmownym.

— Widzi pan, to tak — mówi — najpierw myślałem, że tu ojca przyprowadzę, no i macochę, gdyby była dla mnie lepszą, ale niech ją tam. A kiedy pan mnie do siebie przygarnął, to już i bez niej było nas dwóch. Po śmierci ojca znów myślałem o Józefie, dopóki nie objawił zamiaru ucieczki,



ale skoro taki zdrajca, a mnie zdrajcą nazwał, to niechże sobie tam ginie. I tak lepiej się może stało, że poczciwy Ruben z nami.

Tu Janek znów go uściskał za siebie i za Rubena, bo ten już chrapał, pomimo że wciąż dolatywały go przeraźliwe krzyki i jęki.

— Ale dlaczegożeś mi pierwej o tem nie chciał nic powiedzieć? — pyta.

— Bo pan za dobry — odpowiada Janasz. — Zaraz byś chciał, myślę sobie, wszystkim to źródło wskazać; a gdyby tu każdy zaczął po wodę chodzić, to w końcu rzymianie by spostrzegli, iż ktoby się pokazał, zarazby strzelali, więc nikomuby z tego nic nie przyszło. A choćby nawet i nie zauważyli, to dziś tyluby się tu tłoczyło, że jeden drugiego by spychał, a dla nas samych jużby miejsca nie stało. Ot co, dla czego nie chciałem powiedzieć.

— Ale ja mógłbym cię zabić, taki już byłem wtedy zły — rzecze Janek. — Przebacz, bo teraz dopiero widzę jakiebym głupstwo był palnął. Ale bo widzisz wstyd mnie było. Zresztą nie mówmy już o tem. Długo tu nam tak przyjdzie czekać w tej norze? Chyba z tydzień potrwa ta pohulanka.

— Może i ze dwa — dorzuca Janasz — kto to wie. Ale żywności nam wystarczy i na dłużej.

Co do tego jednakże Janasz się trochę mylił, niewiedząc jeszcze, że myszy znacznie zapasy uszczupliły. A kiedy przy tem jeszcze przyszło odrzucić ziarno spleśniałe w skutek zbyt blizkiego sąsiedztwa ze źródłem, przekonali się ze smutkiem, że nawet przy wielkiej oszczędności zaledwie na 10 dni im wystarczy.

— A co teraz będzie — zauważył Ruben — jeżeli dłużej się tu ci poganie zatrzymają.

— Będziemy czekać o głodzie — odparł Janek. Lepszy przecie głód niż śmierć.

— To prawda — potwierdza Janek. — Ale tak źle nie będzie. Bo najpierw, co oni by tu tak długo robili. Może pozostawią wartę. Gdyby zaś nam zabrakło, to się cichaczem w nocy wysunę a zawsze się coś znajdzie wśród gruzów.

— Na to bym nie pozwolił — oświadcza Janek. — Za wielkie ryzyko. Lepiej parę dni głodu przycierpieć niż się narażać.

Jako też po tygodniu cisza zapanowała; słychać było tylko krakanie kruków i szum ich skrzydeł gdy stadem przelatywały. Od czasu do czasu jeszcze w nocy zabłysła luna, jakby z popiołów raptem ogień wystrzelił i zgasł. Czasem znów rozległ się i łoskot, jakby spadającej belki, a potem już i to ustało. Powietrze tylko było nieznośne, bo przepełnione dymem i wyziewami gnijących już trupów. To właśnie bardziej dokuczało niż głód.

Janaszowi też bardzo było pilno. W końcu więc Janek, ulegając jego żądaniom, dziewiątego dnia pozwolił mu nareszcie wyjść.

Ale nie była to łatwa sprawa, bo po tak długim leżeniu Janasz ledwo nogi mógł stawiać i była wielka obawa czy nie spadnie, ale jakoś mu się udało wyjść i wrócić szczęśliwie, a nawet i z trochę jedzenia.

— No — mówi, drżąc z przerażenia — już ani żywej duszy. Głucho jak w grobie, ale też i straszno jak w grobie. Możemy się bezpiecznie już oddalić.

Zabierają tedy resztkę zboża i w drogę.

Chyłkiem wśród ciemności nocnych, szczęśliwie przedostali się do lasu. Tam dopiero, poczuwszy się bezpiecznymi, postanawiają odpocząć i snem się nieco pokrzepić.

— Ale trzeba najpierw pożywić się trochę — mówi Janasz. — Mam już dosyć tej surowizny. Ty

Ruben uzbieraj gałęzi na ogień, a ja wyszukam dwa kamienie do rozgniecenia ziarna. Będziemy mieć bal. Zobaczycie jaki wam placek upiekę. O, ja to potrafię. Nieraz przecie pasąc kozy, w ten sposób ratowałem się od głodu; inaczej macocha umorzyłaby mnie na śmierć. Gdzie ona teraz? O, gdyby była dla mnie lepszą, to by w tej chwili z nami tu siedziała. Ale niech ją tam. Kiedy ojca już niema, to ona też całkiem dla mnie obca.

Janek zdawał się niesłuchać tej gadaniny rozżalonego pasierba, taki odurzony był świeżem leśnem powietrzem. Rozciągnął się jak długi i nieruchomy, w milczeniu patrzy na trzaskający ogień. Dopiero wezwanie na ucztę wyrwało go z tej zadumy.

A łatwo sobie wyobrazić jak zgłodniałym smakował podpłomyk, podobniejszy do bryły wysuszonej gliny niż do placka. W domu z pewnością ani Janek ani nawet Ruben do ust by nie wziął takiego specyału, a teraz wszyscy palce oblizywali jakby to była najlepsza szabasowa kukła. Nienasycony Ruben jeszczeby zjadł kawałek, ale mu Janek nie daje.

— Poczekaj — mówi — i na potem się przyda. Kto wie kiedy i gdzie znajdziemy coś do zjedzenia.

Jakoż przezorność wyszła im na dobre, bo kraj zamieniony w dziką, bezludną pustynię; dopiero po dwóch dniach męczącej drogi, znaleźli jakąś całą chatę a w niej pierwszą żywą duszę.

Tu dopiero odpoczęli i podjedli należycie, a wypytawszy o drogę, puścili się dalej wzdłuż gór Libanu.

Dalsza podróż nie była już tak uciążliwą, bo im dalej na północ, tem mniej śladów zniszczenia spotykali. Sprawilo to Jankowi niezmierną ulgę, bo



dotychczas bardzo się niepokoił o los matki i Maryi. A kiedy nareszcie rarysowały się na tle nieba szare szczyty góry Harmon, niecierpliwych chciałby tam lotem ptaka w jednej chwili stanąć.

Im zaś bliższy upragnionego celu, tem żywiej serce mu bije.

Pierwsza ich Marya spostrzegła, ale żadnego zrazu nie poznała, tak się obaj zmienili. Zresztą już byli uważani za straconych, odkąd nadeszła wiadomość o losie Jołapaty. Wszystkie trzy Janka opłakiwały, a Miriam nieutulona w żalu, jeszcze bardziej zrzędzi i narzeka, że jej nie chciano słuchać, kiedy dobrze radziła, żeby chłopca z domu nie puszcząć.

Nic przeto dziwnego, że Marya go nie poznała i nawet cofnęła się wylękniona na widok trzech obcych wędrowców. Wówczas bowiem wielu się włóczyło podejrzanych ludzi, a co chwila dochodziły wieści o mordach i rabunkach, na rachunek rzymian spełnianych.

Ale kiedy nareszcie Janek a za nim na wyścigi Ruben zaczęli mówić, upewniła się nareszcie, że to nie żadni rabusie, ale najmilsi, że wszystkich gości. Zaraz też po przywitaniu uszczęśliwiona pobiegła dać znać matce.

Teraz z kolei Janek ledwo poznał rodzoną matkę, tak się zmieniła. Włosy niedawno trochę tylko siwizną przypruszone, teraz białe jak mleko, a na wychudłej i żółtej twarzy, pełno zmarszczek i głębokich bródz.

Nie podobna wyrazić szczęścia staruszki na widok odzyskanego syna; to tylko matka odczuć i zrozumieć może. Powiemy tylko, że jakby łyzy radości głos jej całkiem odjęły, w milczeniu długo jedynaka do piersi tuliła, zanim nareszcie słowo mogła przemówić.

Niemniej też czułe było powitanie z piastunką. Ta już sama z wielkiej uciechy nie wiedziała co robi. I płakała i śmiała się na przemian.

— A co, Miriam — żartuje Marya — jakoś nie sprawdził się twój sen.

— A bo uprosiłam Boga, aby się nie sprawdził. Ale może się jeszcze sprawdzić... O, nie, nie sprawdzi — poprawia się — bo już biedaka na wojaczkę nie puścimy. Ażeby tam nie wiem co, to go już ztąd nie puszczę.

— A ja właśnie jutro znów muszę wyruszyć — przekomarza się Janek.

Miriam spogląda na pół wystraszona, na pół z niedowierzaniem.

— Jutro, jutro, na prawdę — potwierdza Marya

— Ale, jutro? — wątpi Miriam — Pewnobyś tak niemówiła ze śmiechem. Ani jutro, ani nigdy, bo go już nie puścimy. Raz oplakany, to dosyć. Ale no, no, moi ludzie, jakie też to czasem bajdy plotą. Przecie mówili, że tylko jeden Józef przy życiu został.

Janowi już na drodze o tem mówiono, wiadomość więc o ocaleniu Józefa nie była dla niego nowiną.

— Jak widzicie — mówi z uśmiechem — przecie to nie żadne duchy, ale żywi przed wami tu stoją; — a muszę powiedzieć, że zawdzięczamy to temu oto zuchowi. Gdyby nie on i nas by z pewnością spotkało to co innych...

— Oho, już zaraz spostrzegłam — zapewnia Miriam — że temu kawalerowi dobrze z oczu patrzy.

I uściskała go serdecznie.

Odtąd Janasz był ulubieńcem wszystkich, ale Miriam szczególnie darzyła go łaskami, a tem niewielu się mogło pochwalić. Pierwszy Ruben

nie wielkim się u niej cieszył miem. Ale Janasz ze swej strony musiał za to niemały opłacać haracz bo go codziennie mordowała pytaniami o szczegóły ocalenia, choć już nie raz i nie dziesięć wszystko jej opowiadał. Zresztą onby teraz dla Miriam wszystko uczynił za ten jej pocałunek. Sierota przecie, nigdy nie zaznał miłości matczynej, więc taki snać tego spragniony, że za lada odrobinę serca, gotów zaraz choćby całym sercem płacić. Do Miriam zatem duszą i ciałem przylgnął jakby do rodzonej matki, i dla niej gotówby nawet choć i na jednej nodze stać, gdyby tego zażądała. Ale nie mniej też i Martę i Maryę polubił, bo także dla niego dobre; lecz już nie to co Miriam, boć go żadna tak nie pocałowała, a on ten pocałunek wciąż na czole czuje. Nic przeto dziwnego, że mu się nie przykrzy wciąż jedno w kółko powtarzać; przyczem skromnie siebie ile możności pomija, jakby to nie on, ale Janek wszystko zdziałał.

Janek, naturalnie, też musiał opowiadać. Słowem przez parę dni nic, tylko Jotapata na stole. A teraz znów przybyło jeszcze jedno ważne pytanie. Marta bowiem zaraz umyślnego pchnęła do Szymona posłańca z uwiadomieniem o powrocie Janka Nowy przeto kłopot, czy posłaniec dotarł szczęśliwie czy zastał w domu, a wreszcie czy Szymon przyjedzie i kiedy. Pełno ztąd domysłów, rozmaitych przypuszczeń i niepokoju. Często wszyscy chodzą na górę zkąd można daleko widzieć, ale jak oko zasięgnie, jeszcze nikogo ani śladu. Nawet Miriam zaczyna się bardzo niepokoić. Nigdy jeszcze z takim upragnieniem przyjazdu nie wyczekiwała. Musi być jakiś wyjątkowy do tego powód. A już nawet Janek zauważył, że kobiety jakąś widać mają tajemnicę, bo wciąż po kątach szeptu i narady:



ale nie mógł się domyślić o co to chodzi. Dopiero Janasz oczy mu otworzył.

— Panie — mówi tajemniczo, oglądając się w około — a nie zdradzi mnie pan, to coś ciekawego powiem. Bo pan pewno jeszcze nie wie, co się tu kluje?

Zaciekawiony Janek, przyrzeka zachować wszystko w sekrecie.

— No widzi pan — ciągnie Janasz — tu chodzi o to, aby już pana nie puścić.

— O tem i bez ciebie wiedziałem.

— Ba, ale pewno pan nie wie, jaki na to sposób wynalazły.

— A tego to nie wiem.

— A widzi pan.

— Więc jakież to sposób?

— Trochę mi poczciwa Miriam napomknęła, choć niby ogródkiem, ale już łatwo się wszystkiego domyśliłem. Zresztą wypadkiem udało mi się podsłuchać całą ich rozmowę.

— Więc cóż tedy? — dopytuje niecierpliwy Janek.

— E, ja taki papla, może niepotrzebnie mówię, ale mnie język świerzbi. Zresztą gdyby to co złego, to bym może nie powiedział, ale to by przecie było bardzo dobre, bo ona taka poczciwa...

— Co za ona? Mówże jaśniej.

— Jakto? Nic się pan jeszcze nie domyśla? Janek ruszył ramionami.

— Dzieciak z ciebie. Powiedz wyraźnie. Może chcesz się z Miriam ożenić? — dodał żartem.

— Jak pan może tak mówić. Miriam odpowiednia dla mojego dziadka, a nie dla mnie. Ale tu o kogoś innego chodzi. A to pana chcą ożenić — szepnął mu do ucha,

Janek z uśmiechem ręką machnął.

— Jako? niechciałby pan?

— Teraz nie pora na to. Ale sposób dobrze obmyślony. Tylko nie wiedziały, że i ja znam zakon, który nowożeńcowi zabrania w ciągu roku wydaleć się od żony, A czyż ja mógłbym w domu siedzieć, gdy może nawet i świątynia będzie zagrożoną.

— Ech, tam i bez pana dosyć ludzi.

— Widzę, że cię Miriam już całkiem na swoją stronę przeciągnęła.

— Ja i sam myślę, że byłoby lepiej zostać. Bo co komu z tego przyjdzie, że jednego żyda więcej zarzną znów w jakim mieście.

— Ja też bynajmniej wcale nie mam zamiaru bronić miasta. Mam już dosyć jednego oblężenia. Myślę inaczej zrobić. Ale w domu nie zostanę, bo każdy dobry żyd powinien swego kraju bronić. Zawsze jednak dziękuję ci, żeś mi wyjawiał o co im chodzi. Będę mógł zawczasu pomyśleć jaką dać odpowiedź.

---

## ROZDZIAŁ IX.

### Pierwsza pobudka.

Miasto Tiberias chociaż położone z drugiej strony Jordanu a raczej morza Galilejskiego, należało jednak do posiadłości Agryppy; a nawet, jako w siedlisku rządu, był tam bogaty pałac królewski, w którym Agryppa często przehywał; każdy zaś taki jego pobyt, stanowił niemałe źródło dochodów dla stolicy. Ztąd jej mieszkańcy czuli się więcej rzymianami, a mała tylko garstka była za powstaniem.

Po zburzeniu Jotapaty, Weśpazyan pociągnął do Caesarea Philipi a następnie do Scythopolis, a tam dał wojsku dłuższy wypoczynek. Tam połączywszy się z Tytusem, ruszył wreszcie dalej, aby opanować miasta nad jeziorem leżące.

A tak był pewny, że Tiberias żadnego nie stawi mu oporu, że wysłał tam mały tylko oddziałek konnicy. Tymczasem powstańcy pod wodzą Jezusa syna Saphata, podstępem konie zabrali tak, że dowódzca nawet pieszo musiał uciekać.

Już się oburzony Weśpazyan gotował do krwawej zemsty, gdy pojawili się wysłannicy od senatu miasta z przeproszeniem i wyjaśnieniem całego zajścia, a zarazem i zapewnieniem, że miasto wierne



Rzymowi, z radością powita zwycięzców, gdyż wszyscy buntownicy już wypędzeni, uszli do Tarichea.

Tarichea była silnie przez Józefa obwarowaną, tam też mnóstwo ludu ściągnęło z okolicy. Ale mimo takiego dostatku rąk do obrony, zaraz po pierwszym oporze, przerażeni mieszkańcy, zaczęli z Tytusem układy o poddanie. Temu się jednak obcy sprzeciwili, a ztąd przyszło do sporu. Tytus zaś korzystając z zamieszania wśród murów miasta, łatwo je opanował. A nikt się nie bronił, ufając poręczonemu bezpieczeństwu osób. Jeden tylko Jezus próbował się ze swymi zwolennikami przerznąć, ale prawie wszyscy razem z nim padli. Za tymi zaś, którzy na wodę uciekli, wysłał Tytus w pogoń; i tych również w pień wycięto. Byli to przeważnie rybacy z pobliskich osad.

Na krótko przed tymi wypadkami, ważyły się losy Janka. Matka usilnie nalegała, aby ślub się odbył zaraz; ale nadspodziewanie Szymon stanął po stronie jedynaka.

— Niewiadomo co jeszcze wypadnie — mówi. — A może, czy chce, czy nie, będzie musiał walczyć. A jeżeli zginie? To jakież wtedy jej położenie. Gdy zaś pozostanie panną, łatwiej znajdziemy dla niej innego. Lepiej więc poczekać aż burza przeminie. Przecież nic pilnego, jeszcze młodzi: on dopiero 17 a ona zaledwie 14 rok kończy — po cóż się tak spieszyć.

Słowem obaj tyle przytaczali powodów zwłoki, że w końcu plan ożenku na razie upadł. A natomiast stanęło na tem, że ponieważ taką gromadą niepodobna komuś na karku siedzieć, więc Janek, Ruben i Janasz, pojedą z Szymonem do Godes, bo teraz zresztą bardzo się ich pomoc w gospodarstwie

przyda. A niebezpieczeństwo ztąd żadne im nie grozi, albowiem już w całej okolicy spokój.

Szymon nic jeszcze wtedy nie wiedział, co zaśzło w Tiberias: a nazajutrz po powrocie sam naocznym był świadkiem bitwy albo raczej rzezi rybaków na jeziorze. Wszyscy z brzegu przypatrywali się straszному widowisku. A wkrótce potem nadeszła wiadomość o smutnym losie, jaki Tytus zgotował zgromadzonemu w Tarichei ludowi. Rozkazawszy aby wszyscy obcy miasto opuścili, potem ich otoczył, i 1200 starców oraz matek wymordował a z pozostałych 4000 posłał Neronowi do robót przy kopaniu kanału Korynckiego, 30,400 zaprzędano w niewolę, a reszta podarowana Agrippie także została sprzedaną.

Tego okrucieństwa Tytus dopuścił się pod pozorem, że są to włóczęgi i rabusie, których dla bezpieczeństwa reszty mieszkańców należało usunąć. Bądź co bądź, takie złamanie słowa, więcej plami jego pamięć, niż rzezie w szturmem zdobytych miastach.

Smutny los ofiar Tarichei, rzucił postrach na całą Galileę. Wszystkie miasta na gwałt wysyłały posłów z zapewnieniem wierności i posłuszeństwa Rzymowi. Tylko jeszcze trzy najsilniej obwarowane, śmiały stawić opór. tj. Gamala, Giszala i Itabyrium, na górze Tabor zbudowane.

Janek teraz, po tem wszystkiem co mówią i czego sam naocznym był świadkiem na jeziorze, do żywego oburzony, idzie do ojca.

— Przyrzekłem wam — mówi — że wtedy tylko pójdę, gdy i świątynia nasza będzie zagrożoną ale widzisz sam co się dzieje. Czyż można bezczynnie na to wszystko patrzeć? Proszę więc, zwolnij mnie ojciec z danego słowa.

— Zupełnie podzielam twe oburzenie — rzekł Szymon wzruszony — bo i we mnie się wszystko aż gotuje. A tem chętniej cię zwalnię, że obowiązek względem kraju ważniejszy nawet niż względem rodziców. Może cię Bóg cudownie od śmierci wybawi dlatego, żeś przeznaczony do spełnienia Jego woli w większych rzeczach. A zresztą, nie widzę i tu bezpieczeństwa dla ciebie. W prawdzie nasi rybacy nie wzięli udziału w wypadkach tarychejskich, ale czyż mimo to można być bezpiecznym, czyż można ufać takim wrogom? Lada hałas, lada szmer, już mnie przestrasza, bo myślę, że przychodzą mordować. Tam może bezpieczniej teraz niż tu. Gamala silniej obwarowana niż nawet Jotapata.

— Gdyby nawet najsilniej, to w końcu i ją musi taki sam los spotkać — wtrąca Janek. — Nikomu też nie radzę tam uciekać, bo każdego szkoda; w inny sposób może być użyteczniejszym.. Zresztą tam ręk do obrony aż nadto, pocóż zwiększać liczbę ofiar.

— A więc wprost do Jerozolimy iść zamierzasz? — pyta Szymon.

— I to nie. Jeszcze nie czas. Dopiero wtedy tam pójdę, gdy i świątynia będzie zagrożoną. A dziś — po co? czy po to, aby beczynie czekać, albo, co gorzej, aby stanąwszy po jednej lub po drugiej stronie, wziąć udział w bratobójczej walce, jaką tam wciąż między sobą różne stronnictwa toczą. Nie, ja mam inne zamiary.

I tu Janek szczegółowo wyjaśnił ojcu swój plan działania.

Szymon z początku jakoś kręcił głową; później jednak dał się przekonać, że to jedynie możliwy sposób prowadzenia walki z rzymianami.



— A więc dziej się wola Boga — rzekł uroczyście. — Idź mój synu i działaj w imię Jego. Ja ci z serca błogosławię na tę ciernistą i krwawą drogę.

Tu Janek przyklęknął, a on, położywszy ręce na jego pochylonej głowie, mówił drżącym od wzruszenia głosem:

— Oby Pan Zastępów nie wypuszczał cię ze swej wszechmocnej opieki. Boże Abrahamów, wysłuchaj prośby starca, który Ci teraz jedyne swe dziecko daje na ofiarę. A ty, mój synu, nigdy nie zapominaj, że masz walczyć za Jego lud wybrany, za jego świątynię, za kraj, ogniem i mieczem pogan niszczoney, za braci uciśnionych, za nasze kobiety hańbione i w niewoli jęczące. Niech miecz twój będzie groźnym dla wroga, ale niech nigdy nie broczy we krwi niewinnej; niech nie mnoży łez i jęków, ale szczęście i chwałę Izraela, a Bóg ci błogosławić będzie tak, jak ja ci z serca życzę.

Tu go przycisnął do piersi, i pocałowałwszy w czoło, dodał, wręczając woreczek.

— Schowaj to sobie, bo w takim przedsięwzięciu, różnie może się przytrafić; zawsze dobrze, mieć trochę grosza na wszelki wypadek. Prawda, że pozostali obowiązani zaopatrywać potrzeby walczących, ale zważ, że pozostali prawie sami starzy, kalecy i kobiety z dziećmi; lepiej więc za wszystko płacić, niż brać gwałtem, bo nie chcę, aby za tobą szło przekleństwo wdów lub sierót, gdybyś im może ostatni kęs od ust zabrał. Nie czyn tego nigdy, chyba ostatecznością zmuszony. Zachowaj w sercu te słowa starego ojca, i niech cię Pan prowadzi. Idź poczynić konieczne przygotowania do drogi.

Janek nareszcie ujrzał się teraz u szczytu swych pragnień. To o czem od dawna marzył, widzi już prawie ziszczone. A przytem ani przypuszczał, że

ojciec tak łatwo zwolni go ze słowa. Skoro więc i ta najważniejsza przeszkoda już usunięta, pełen dobrej myśli, rażno, bez straty czasu, zabrał się do dzieła, jakby w obawie, że ojciec się rozmyśli i cofnie dane zezwolenie. A nie byłoby to nic dziwnego, bo żniwa za pasem, rąk zaś do pracy wielki brak. Ale Szymon bynajmniej o tem nie myślał. Owszem, przeciwnie; gdyż drząc z obawy najścia rzymian, wołał syna jaknajprędzej wyprawić w przekonaniu, że nawet na polu walki mniejsze mu niebezpieczeństwo grozi, niż pod ojcowskim dachem, z którego może lada chwila i śladu nawet nie pozostanie. Janek więc bez przeszkody, mógł zająć się swą wyprawą.

Zaczął od wyjaśnienia swych zamiarów Janaszowi i Rubenowi.

— A teraz — mówił — wiedząc o co chodzi, dobrze się najpierw zastanówcie, i z siłami swemi obliczcie, a potem niech każdy powie, czy chce mi towarzyszyć. Tylko jeszcze raz powtarzam, niech się wam nie zdaje, że to zabawka. Często nam przyjdzie i karku nadstawić i niedojeść i niedospać. Chociaż, co do mnie, tysiąc razy wolę to, niż znów z dnia na dzień wyczekiwać niechybnej śmierci za murami Gamali albo innego miasta. A wy? Jakże? Zgadzacie się?

— Gdzie pan tam i ja — odpowiada Janasz.

— I ja również — dorzuca Ruben.

— To dobrze, moi towarzysze. Ale ty Janaszu, jesteś niepoprawny. Jużem ci tyle razy mówił, abyś mi dał nareszcie pokój ze swoim panowaniem, a ty wciąż z tem wyjeżdżasz. Jaki ja pan? Tyś mi brat, droższy niż brat, bo tobieniem winien życie. Więc proszę cię, porzuć te ceregiele i mów mi poprostu: ty.

— Kiedy to tak jakoś trudno — tłumaczy się Janasz. — Jużem się tak przyzwyczaiał.

— No, to się musisz odzwyczaić, mój drogi. Zresztą ja na to niepozwalam i koniec. A więc zrób początek. Dalej, powtórz za mną: Mój Janku.

— Mój Janku.

— O tak, widzisz. Czy to nie lepiej. A teraz daj mi rękę, bracie.

Tu uściskali się serdecznie.

— Ale do rzeczy — zawraca Janek. — Jestem najmocniej przekonany o waszych dobrych chęciach; wiem również że żaden słów na wiatr nie rzuca, i co raz powie, na tem można polegać. Nie wątpię też, że każdy z was, zanim powiedział, że pójdzie, dobrze sobie rozważył co robi. Ale to nie dosyć. Wszystko musi być zrobione tak, jak być powinno, po wojskowemu. Bo gdzie służba, tam nie ma ani przyjaciela, ani nawet brata. Dla tego nie weźcie mi za złe, moi drodzy, że nawet od was żądam przysięgi, którą ja sam również wobecności waszej składam.

Tu podniósłszy rękę w górę, zaczął uroczystym głosem wymawiać zwolna i wyraźnie:

— Ja, Jan, syn Szymona z Gadesu, w obliczu Boga Izraela, przyrzekam walczyć do ostatniej kropli krwi mojej, w obronie jego ludu i świątyni. A jeśli dla ocalenia mego życia, albo dla innych osobistych korzyści, braci moich zdradzę, niech wtedy imię moje będzie przeklęte aż do ostatniego pokolenia na wieki. Amen.

A teraz wy, bracia, w górę rękę i powtarzajcie za mną: Ja, Ruben, syn Izaaka...

— Ja, Ruben, syn Izaaka...

— Ja, Janasz, syn Joaba...



— Uroczyście w obliczu Boga Izraela...

— Uroczyście w obliczu Boga Izraela...

— Przymykamy do ostatniej kropli krwi...

— Przymykamy do ostatniej kropli krwi...

— Walczyć w obronie jego ludu i świątyni...

— Walczyć w obronie jego ludu i świątyni...

— Przymykamy zupełne posłuszeństwo rozkazom wodza...

— Przymykamy zupełne posłuszeństwo rozkazom wodza...

— Choćby to utratą życia, zdrowia, albo niewolą nam groziło...

— Choćby to utratą życia, zdrowia, albo niewolą nam groziło...

— A jeśli braci moich zdradzę w jakikolwiek bądź sposób...

— A jeśli braci moich zdradzę w jakikolwiek bądź sposób...

— Niech imię moje przeklęciem będzie aż do ostatniego pokolenia na wieki...

— Niech imię moje przeklęciem będzie aż do ostatniego pokolenia na wieki...

— Amen...

— Amen...

— A teraz do pracy, moi towarzysze. Nie wątpię że znajdzie się więcej takich zuchów. Trzeba nam tylko pójść między rybaków. Oni z pewnością teraz, po rzezi na jeziorze, chętnie połączą się z nami, aby pomścić swych ojców i braci. Ale nie powinni to być ani ludzie żonaci, ani starsi od nas; bo tacy chcieliby tylko rej wodzić, a tu tymczasem musi być tylko jedna głowa. A choćby ta głowa czasem zbladziła, to jeszcze mniejsza z tąd szkoda, niż gdyby każdy chciał rozkazywać. Tylko przy ślepem posłuszeństwie, możemy cudów waleczności dokazać. Ale nie chcę więcej niż 20. To dosyć

na początek. Inaczej byłaby trudność z wyżywieniem. W górach, co prawda, pełno stad bez właściciela, więc mięsa i mleka będzie w bród, ale zkład chleba. Nie zawsze da się kupić. A więc zo aż nadto. Do moich planów chwilowo wystarczy. Taka garść zuchów stanie za gromadę niedołęgów.

— Gedeon pójdzie — wtrącił Ruben.

— Dobry! Takich więcej jak Gedeon. Idźcie, Niech tylko każdy po kilku zaprzysięże.. A, otóż właśnie nadchodzi gromadka. W samą porę..

Od powrotu Janka, co chwila ktoś z sąsiadów zaglądał, aby na własne oczy zobaczyć tak cudownie ocalonego i z własnych jego ust usłyszeć szczegóły obrony i upadku Jotapaty.

I tym razem byli to również tacy Ciekawscy, a między innymi także ów wspomniany Gedeon, rówiennik i przyjaciel Janka.

— O wilku właśnie mowa, a wilk tuż — rzecze gospodarz, podchodząc ku gościom, — Dobrze że przychodzicie, boście nam tu teraz bardzo potrzebni. Zaraz się sprawa od ręki ubije.

Naturalnie, że gdy im wyjaśnił o co to chodzi, wszyscy zgodzili się od razu. Zaraz też i od nich Janek odebrał przysięgę.

— A teraz — rzecze — skoro nas tu już 8, możemy przystąpić do najważniejszej rzeczy, t. j. do wyboru wodza. Nie chcę bowiem, abyście przypuszczali, że ja pragnę nim zostać. Owszem, jeżeli się inny znajdzie, będę mu posłusznym, jak każdy z was. Proszę więc, naradzcie się między sobą, a gdy wrócę, powiecie mi na kogo wasz wybór padł.

To rzekłszy, powstał, aby się oddalić. Ale za ledwie kilka kroków uszedł, już go wszyscy wołają.

Krótką była ich narada. Żaden bowiem nie miał pojęcia o wojsku, a Janka otaczał urok niemały, raz jako należącego do przybocznej straży sławnego Józefa, a powtóre, jako obrońcę Jotopaty, i tak cudownie ocalonego. Od razu się przeto wszyscy na niego zgodzili.

— Dobrze, moi drodzy, przyjmuję wasz wybór, i będę chciał dowieść czynem, żem godzien tego zaszczytu. Ale to sobie zapamiętajcie, że tu niema ani brata ani przyjaciela — wszyscy muszą być ślepo mi posłuszni, bo inaczej surowo będę karał. Na dany znak, każdy musi spełnić, czego się dobrowolnie podjął. Przedewszystkiem też, należy dobrze zapamiętać, co znaczą te znaki. I tak, jeżeli n. p. zatrąbię w ten sposób...

Tu młody wódz przyłożył róg do ust.

Ale jeszcze echo nie zdążyło powtórzyć żałośliwych tonów pobudki, gdy Ruben raptem zwrócił uwagę.

— Ojciec tu pędzi. Coś się stało.

Istotnie stary Izaak już zdala dawał im rękoma jakieś rozpaczliwe znaki.

Zerwali się wszyscy na równe nogi.

Stary, blady, przerażony, ledwo zdołał wymówić:

— Rzy... rzy... mianie!

— Janek zrozumiał całą grozę położenia. Ta trąbka, może być przyczyną wielkiego nieszczęścia. Ale nietracąc przytomności, zwraca się do Janasza.

— Zostaniesz tu i niby dla zabawy będziesz sobie trąbił dalej, udając głuptaska. A my do winnicy. Za mną!

---



## ROZDZIAŁ X.

### Nocny napad.

Nieopodal od Terachei, leży miasto Gamala. Nazwę swą wzięło od wzgórza podobnego do garbu wielbłąda. Wzgórze to, stanowiące ramię pasma gór, jakby językiem wrzyna się w widły dwóch ramion rzeki Hieromax. Sam garb dość wyniosły i stromy, ale u podstawy łagodnie spada ku wodzie.

Miasto dziwny przedstawia widok; bo domy, niby jaskółcze gniazda, do ściany garbu poprzyklepiane, robią wrażenie jakby jedne na drugich wisały. Nad nimi zaś, jak orlę, panuje cytadela, zbudowana aż na samym wierzchołku skały.

Gamala więc z trzech stron oblana wodą, a od strony gór, odcięta głębokim przekopem, była prawie nie do zdobycia. Darmo też król Agrippa kusił się o to; miasto przez siedm miesięcy, urągało jego potędze. Aż wreszcie przyszli rzymianie. Załoga już wtedy znacznie uszczuplona i znużona, a zapasy żywności prawie wyczerpane były; mimo to jeszcze nikt o poddaniu nie myślał. A kiedy sam Agrippa osobiście zbliżył się do murów, aby obleżonym odradzić daremny opór, i wezwać ich do otworzenia bram miasta, zarzucono go kamieniami. Oburzeni taką zniewagą posła, rzymianie, z całym zapalem

przystąpili do robót oblężniczych. O zupełnem oblężeniu, właściwie ani mowy być nie mogło, bo na to warunki nie pozwalały; ale Wespazyan czynił wszystko możliwe, aby bądź co bądź, celu swego dopiąć. Ale mimo wszelkie wysiłki, nie łatwo i nieprędko by mu się to udało, gdyby obroną kierował człowiek odpowiedni. Lecz, niestety, żaden z dwóch wodzów, ani Cheres ani Józef, choć obaj mężni, nie dorównywali talentem obrońcy Jotapaty. Poznał to Wespazyan, i umiał korzystać ze słabych stron przeciwnika. Rozbiwszy obóz na stokach przyległych gór, przystąpił do robót ziemnych, i gromadzenia faszyn, w celu zarzucenia przekopu. Wiedząc zaś, że żydzi żadnych wojsk nie mają, spokojny więc o swe tyły, nie przestrzegał zbyt wielkich ostrożności. Żołnierze w nieładzie, nawet bez broni. luźnymi bandami szli do lasu spuszczać potrzebne drzewo i ciąć faszynę.

Tymczasem, nagle, doleciał gdzieś z gór, odgłos trąbki.

W obozie nadstawiono uszy.

— Co to jest? Co to może znaczyć — każdy pyta.

Była to dla wszystkich prawdziwa niespodzianka. A nikt sobie na razie tej zagadki, nie umiał wyjaśnić. Zagadka stała się tem większa, gdy po chwili, w różnych stronach, więcej takich sygnałów zabrzmiało, jakby góry echo tamtego odbijały.

Teraz w całym obozie powstał ruch nadzwyczajny. Wszędzie słycać rozkazy, wszędzie bieganina, bo każdy spieszy pod swoje znaki. Niebawem wszystkie wojska stanęły w szyku bojowym.

A w mieście ztąd radość niezmierna. Aż ziemia drży od okrzyków i pieśni. Oblężeni bowiem, najpewniejsi, że to nareszcie odsiecz im przybywa.

Mają zresztą podstawę do takich nadziei, bo właśnie nadeszły wiadomości o wypadkach w Itabyrium i Giszali.

Oba te miasta upadły wprawdzie, ale w dość korzystnych warunkach. Pierwsze wziął podstępem Placidus; ale że był za słabym, więc znaczna część załogi, zdołała się wymknąć. W drugim, jak wiadomo, rej wodził głośny w owym czasie Jan, najzawziętszy przeciwnik Józefa. Kiedy go Tytus wezwał do poddania miasta, Jan odpowiedział, iż gotów uczynić żądaniu zadosyć; ale że to sabat, więc dopiero nazajutrz może być o tem mowa. Tytus pewny już swego, zgodziwszy się na żadaną zwłokę, odszedł do poblizkiego miasteczka; a tymczasem Jan, widząc niepodobieństwo utrzymania się w mieście, nocą, cichaczem uszedł z całym swym wojskiem. Tytus nie posiadał się z gniewu, że go tak wyprowadzono w pole; ale widać już i jemu było krwi za dużo, bo nie mścił się na mieszkańcach, którzy go pokornie, jak zbawcę witali, dziękując, że ich nareszcie z rąk tyrana wybawił.

Tak więc, oblężeni w Gamali, wiedząc już o ucieczce Jana, mogli przypuszczać, że to on połączywszy się z ocaloną załogą Itabyrium, spieszy im na odsiecz. Tak też i Wespazyan sądził.

Ale wróćmy do Janka i jego towarzyszy.

Izaak miał słusność; istotnie ukazali się rzymianie; ale był to tylko mały oddział z kilkunastu koni złożony. A byliby może całkiem Gades pominęli, ale dowodzący oficer, posłyszawszy ów przerwany sygnał, niedługo się namyślając, popędził cwałem. Gdyby więc nie Izaak, który wypadkiem, w porę tych nieproszonych gości spostrzegł, byliby młodzi już nie zdążyli w winnicy się ukryć.

Szczyściem Janasz wybornie odegrał swą rolę głuptaska. A wielce mu do tego pomogła jego



powierzchność. Szczupły i blady, choć miał już blisko 17 lat, niktby jednak nie powiedział, że starszy nad 12. A kto tam na takiego dzieciaka uważa. Może by mu się jednak tym razem coś więcej oberwało — bo oficer bardzo był rozgniewany — ale Szymon zaraz wystawił dużo i dobrego wina, wszystko się więc skończyło na paru szturchańcach i naderwaniu ucha. A do tak łagodnej kary, nie mało się też przyczyniła pewno i ta okoliczność, że żaden rybak z Gadesu, jak wiemy, nie należał do owej smutnej wyprawy, zakończonej pamiętną rzezią na jeziorze; a ztąd zwycięzcy nie mieli pozorów do okrucieństw. Ale możeby nawet i wino nie pomogło, gdyby oficer na gorącym uczynku całą tę bandę młodych przydybał, zwłaszcza też w chwili nauki sygnałów. Szczęściem jednak, mieli oni co najmniej tyle biegłości w nogach ile zapału w głowach; a że bardzo przytem pojętni, o tem trudno wątpić, skoro, nawet pomimo nieskończonej nauki, od razu zrozumieli pierwszą komendę swego wodza. Ledwo wymówił „za mną!“ już zaraz wszyscy, jak jeden mąż, za nim pędzili, jakby im nagle skrzydła wyrosły. Żaden w tym wypadku nie zapomniał ani o nogach, ani o przysiędze na ślepe posłuszeństwo.

Dzięki więc takiej ich sprawności, albo raczej niedomyślności rzymskiego oficera, nikomu ani włos z głowy nie spadł. Janasz wprawdzie był trochę poszkodowany, ale za swe ucho, sowitą otrzymał nagrodę, bo go nazajutrz Janek wobec wszystkich towarzyszy, pochwalił za odwagę i wielką przytomność umysłu.

Co zaś do partyi, to ta rosła bardzo szybko; w parę dni znalazło się więcej niż potrzeba. 26 zuchów — z których najstarszy nie liczył lat 20 —

przybyło na wyznaczony punkt zborny w górach, nieopodal Gamali.

Wódz tych zastępów, marzył o wielkich rzeczach. Głównym jego celem było, ni mniej ni więcej, tylko cichaczem, jak wąż, wślizgnąć się nocą do namiotu samego Wespazyana i albo porwać albo przynajmniej zamordować tego prześladowcę ludu Izraela.

Ale chociaż mu się uśmiechała sława Judyty, rozumiał to jednak, że z tak surowym żołnierzem nie podobna się jeszcze puszczać na tak zuchwałe przedsięwzięcia. Należało go pierwaj do boju zaprawić i z niebezpieczeństwem oswoić, a przede wszystkim przekonać, że nawet z tak małemi siłami można niejedno zrobić.

Wszystko tu zależało od dobrego początku. Bo jak pierwsza klęska zabija ducha młodego żołnierza, tak znów zwycięstwo na wstępie, rozbudza w nim odwagę i wiarę w siebie.

Dla tego też Janek przystępował do rzeczy bardzo oględnie, myśląc wciąż, jakby tu zacząć. Tymczasem wszyscy na górze w krzakach, lub za złomami skał ukryci, mając przed sobą jak na dłoni obóz nieprzyjacielski, po całych dniach spokojnie przyglądali się tylko, aby dobrze poznać położenie okolicy i obyczaje rzymian — jedno i drugie bardzo ważne.

Jako też Janek zauważył owe bandy drwali, i na ich skórze postanowił szczęścia spróbować. Wstyd go było trochę na bezbronnych napadać, ale te skrpuły wkrótce uciszył, raz koniecznością, a powtóre uwagą, żeć mają topory, nie są przecież zupełnie bez broni.

Najpierw tedy paru w różne strony rozesał, aby trąbiąc, rozerwali uwagę rzymian; sam zaś z po-

została garstką, ostrożnie podczołgał się jak najbliżej drwali, i to jednocześnie z trzech stron.

Wszystko poszło gładko, bo rzymianie zgoła nie spodziewali się napadu. a odgłos uderzeń toporów i trzask walącego się drzewa, zagłuszał wszelkie inne szmery. Nie wszyscy nawet zauważyli sygnał Janka; a ten i ów, dopiero wtedy niebezpieczeństwo spostrzegł, gdy obok zaczęli jak muchy padać towarzysze. Nikt się też na razie nie mógł połapać, co to wszystko znaczy; po chwili dopiero kilku przytomniejszych, rzuciło się do ucieczki. Nie wszyscy wprawdzie uszli cało, ci jednak, którym się to szczęśliwie udało, zaraz o wypadku powiadomili najbliższe straże. Zanim jednak oddział zbrojnych z pomocą nadbiegł, już kilkadziesiąt trupa leżało na placu, a napastników ani śladu. Zresztą rzymianie zasłabi, nieznając sił przeciwnika, i bojąc się za nim w las zapuszczać, poprzestali na zabranii rannych i ochronie zdrowych.

A pewno niktby zdrowym nie został; ale Jankowi o rzeź nie chodziło, a dopiąwszy zamierzonego celu, nieczekając na guza, wolał dać znak do odwrotu. Trochę mu to nawet za złe wzięli rozbestwieni tak łatwym powodzeniem towarzysze.

— Trzeba było do końca zostać — mówią — bylibyśmy wszystkich wystrzelali.

Janek się uśmiechnął.

— Dziękujcie Bogu i za to — rzecze. — Czy jeszcze wam mało? Żadnemu ani włos z głowy nie spadł, a tamtych pewno z pół setki leży. Alboż nie dosyć na pierwszy raz? A gdybyśmy się dłużej zabawili, to kto wie coby było. Tam już w tej chwili z jakie 1000 arabów lasy przetrząsa. A z nimi trudniejsza sprawa, bo lekki arab wszędzie, tak jak i my, potrafi się dostać. Lepiej więc zachowajmy swe życie na coś większego, chociaż i dzisiejszy



plon naszej pracy znaczny. Już mniejsza o tych kilkudziesięciu drwali, ale patrzcie, cały obóz pod bronią, i roboty wstrzymane, a dzień zwłoki czasem wiele stanowi. Najważniejsza zaś to, że w oblężonych nowy duch wstąpił. Czy słyszycie ich okrzyki? I to wszystko waszem jest dziełem. Możecie być dumni z niego. Widzicie więc, że z taką garstką można coś zdziałać; owszem, stokroć więcej, niż broniąc się całą gromadą za murami miast lub w polu. Tam nas tylko klęski czekają, a w ten sposób, przeciwnie, moglibyśmy tak nieprzyjaciela dręczyć, że wprost nie byłby w możności wojny dalej prowadzić, bo trudna to walka z przeciwnikiem niewidzialnym, którego zawsze i wszędzie trzeba się obawiać a osiągnąć nie sposób. My sami jedni, rzecz prosta, rzymian nie pokonamy; ale możemy im się tyle napsocić, że im wojna obmierźnie i będą skłonniejsi do zawarcia korzystniejszego pokoju. Ale to tylko zapamiętajcie sobie, że nawzajem, nie mieliby żadnej litości, gdyby im który z nas w ręce wpadł. Więc sto razy lepiej życie samemu sobie odebrać, niż iść na tortury. A przypominam wam tę naszą umowę dla tego, iż za dni parę, zamierzam przystąpić do wykonania ważniejszego dzieła, które nawet w razie powodzenia, łatwo może być powodem, że ten i ów w ręce im wpadnie. Plany moje wyjaśnię wam później. Tymczasem starajcie się jeszcze lepiej poznać okolicę tak, abyście nieomal każdą skałę, każde drzewko i kamień dobrze sobie zapamiętali, bo od tego może wasze życie zależeć. Bądźcie tylko cierpliwi. Musimy teraz czekać aż się uspokoją i znów mniej czujni będą.

To przemówienie zrobiło bardzo korzystne wrażenie na młodych bohaterach. Każdy teraz polegał na wodzu, wierząc, że ich znów do zwycięstw poprowadzi.

Janek dobrze wszystko przewidział. Istotnie przez dni kilka rzymianie przetrząsali okoliczne lasy; ale w końcu wszystko wróciło do dawnego trybu, z tą tylko różnicą, że drwale już nie chodzili bez osłony zbrojnych oddziałów, a strażę pomnożono.

Utrudniało to wielce położenie, ale Janek już dłużej nie zwlekał z wykonaniem swych śmiałych, wprost zuchwałych planów. Pewnego dnia znów zebrawszy w około siebie towarzyszy, znów do nich przemówił gorąco, oświadczając, że nadeszła wreszcie tak upragniona przez nich chwila czynu. Nie tań jednak bynajmniej, że to z wielkiem połączone niebezpieczeństwem; wprost nieomal grozi niechybną śmiercią. Dlatego, mimo ich przysięgi, gotów jeszcze każdego uwolnić, gdyby się który zawahał życie poświęcić.

Gdy jednak żaden nie stchórzył, lecz przeciwnie, wszyscy z wielkim zapalem przyjęli te słowa, wtedy Janek uradowany, nie tając już dłużej swego zamiaru, oświadczył wręcz, że chce napaść i spalić obóz rzymski.

Ktoś starszy i doświadczony, byłby mu się może w oczy roześmiał, poczytując to za jakieś dziecinne, nedorzeczne marzenia; ale młodzi jego towarzysze, równie głowy zapalone, mierzyli swe siły na zamiary, więc wszystko im się zdało możliwem. Żaden nie zastanowił się nad tem, żaden nie rozważył; bo zresztą już przywykli każde słowo Janka uważać za dobre. Nikt się przeto nie odezwał z przeciwną uwagą, nie wyraził żadnej wątpliwości, ani obawy co do powodzenia tego przedsięwzięcia. Owszem, wszyscy wierzyli, jak amen w pacierzu, że ich wyprawa musi się udać.

Teraz już o niczem tylko o tem mowa. Już w swej młodzieńczej wyobraźni każdy z nich widział całą nieprzyjacielski obóz w popiołach, a nawet

samego Wespazyana albo jeńcem albo przynajmniej na węgiel żywcem upieczonego.

Istotnie, z początku i sam Janek o tem marzył, aby z nienacka wpaść do namiotu wodza i uprowadzić go z sobą, a w najgorszym razie, choć zamordować, jak niegdyś Judyta zamordowała Holofernesa. Widząc jednak zbyt gęste i czujne straże dał już w końcu z Wepazyanem za wygraną, ograniczając się tylko na skromnym zamiarze zapalenia obozu.

Pod wieczór tedy, zalecił swej drużynie, pozostawić tarcze i miecze, jako zbyteczne; a natomiast zaopatrzyć się w noże i dobre krzesiwo; chociaż zapewne będzie niepotrzebne, bo tam w nocy znajdują dosyć ognisk, ale na wszelki przypadek, zawsze i to niezawadzi mieć przy sobie. Miecze zaś i tarcze, dla tego kazał zostawić, bo nie szli przecież do walki, a do ich obecnego celu, potrzebniejsze raczej dobre nogi; broń by im tylko zawadzała. Wystarczy długi, ostry nóż, niezbędny zresztą do przecinania lin u namiotów, a w razie potrzeby, może też i do obrony służyć.

Wszystkim teraz czas powoli płynął; każdemu się niezmiernie dłużyło, pomimo ożywionej gawędki o przyszłych powodzeniach i o tem jak się ich ojcowie ucieszą, jak będą dumni z takiego dzieła swych bohaterskich synów

Nareszcie zaczynało już zmierzchać. Janek dał znak i cała drużyna ruszyła w pochód. Doszedłszy do upatrzonej a wszystkim dobrze znanej skały, Janek stanął, aby wydać ostatnie rozporządzenia. Tu też postanowił zaczekać, aż się dobrze zciemni, gdyż za dnia, byłoby niebezpiecznie nadto się pod obóz podsuwać; straże mogłyby ich spostrzedz i wszystkie szyki popsuć, tyle nadziei w niwecz obrócić.







Kiedy się nareszcie ukazała, z takim upragnieniem przez niecierpliwych zapaleńców wyczekiwana gwiazda, Janek się zerwał i po raz ostatni jeszcze przemówił.

— No, chłopcy — rzece — teraz do roboty! Wiatr się obrócił i dmie coraz silniej. Czyż nie widzicie, że to wyraźny palec Boży? Ten, który już tyle razy gromił zastępy naszych wrogów, i dziś nie opuści swego ludu. On z nami, On znów da nam zwycięstwo. Tylko idźcie śmiało, odważnie, bo bez Jego woli nikomu ani włos z głowy nie spadnie. W imię Boga!

— W imię Boga! — powtórzyli chórem.

— Tu się rozłączymy — ciągnął dalej. — Niech każdy pojedynczo działa na własną rękę. Starajmy się cichaczem, po nad rzeką, jak najbliżej podczołgać ku namiotom; a gdy dam znak, wtedy do roboty. Jeżeli który nie będzie mógł pochwycić główni z jakiego ogniska, niech skrzeseść iskrę i podpala — a zawsze od strony wiatru. Pamiętajcie. Skoro zaś który zrobi już swoje, niech zaraz tą samą drogą umyka, bo tu się znów wszyscy zbierzemy. A Bóg da, że żadnego z nas nie zabraknie.

— Czyście zrozumieli? — dodał — Ruben, powtórz, com zalecił?

Ruben słowo w słowo powtórzył.

— Dobrze — mówi Janek. — Ja idę pierwszy, a wy czekajcie, dopóki nie gwizdnę. Wtedy niech rusza Janasz; a gdy ujdzie 200 kroków, niech także gwiznie, aby za nim szedł Gedeon. Tak samo inni; każdy uszedłszy 200 kroków, niech daje znak następnemu. A ty Ruben pójdziesz ostatni. I tak wszyscy, jeden za drugim, posuwać się będziemy po nad rzeką a gdy znów gwizdnę, wtedy skręcać na lewo, ku namiotom. W imię Boga! Dalej!

I pierwszy znikł w ciemności.



Zostawimy na chwilę tych zapaleńców, aby zobaczyć co się tymczasem w Gadesie dzieje.

Po rzezi na jeziorze, po upadku Jotopaty i kilku innych miast, wszystko powoli wracało już do dawnego trybu. Ludność się znów zaczynała zajmować zwykłą pracą, zwłaszcza ludność wiejska, bo już czas było żniwa rozpoczynać. I Szymon więc sądził, że już bezpiecznie można kobiety do domu sprowadzić. Zresztą potrzebne mu były bardzo, gdyż wielce uczuwać się dawał brak robotnika. A przytem chodziło mu i to, że tam, gnieźdząc się w ciasnym domku krewniaka, nie mogły mieć żadnych zgola wygód. Wysłał tedy starego Izaaka z kilku osłami, aby je czemprędzej do domu sprowadził. Izaak jednak surowo miał zalecone, nic o nieobecności i wyprawie Janka nie wspominać. Szymon bowiem jeszcze im o tem nie doniósł, a wolał sam wszystko opowiedzieć i powody wyjaśnić. Ale co do tego, Izaak nie szczególnie się wywiązał; bo kiedy go ciekawe i niespokojne kobiety, wzięły na spytki, to się tak biedak plątał, że z tych jego różnych wykrętów, mogły jeszcze coś gorszego wnioskować; było też śmutku i łez niemało. Próbował je w drodze pocieszać, upewniając, że nic się złego nie stało; ale żadna mu już nie wierzyła. Wiedziały przecież, że nie zwykł kłamać, więc tem bardziej jego opowieści budziły podejrzenie. Szczególniej Miriam bezustanku biadała, przeklinając i rzymian i wszystkich razem, ktokolwiek był tej wojny powodem. A naturalnie, znów oberwało się przy tem i Szymonowi i Marcie, za to, że chłopca w domu nie przytrzymał. W dodatku już wyobrażała sobie najstraszniejsze rzeczy. Podług niej, Izaak dla tego taił prawdę, że Janek już na sztuki półciartowany, zginął w męczarniach i t. p.

Choć Marta niby w to uwierzyć nie chciała, jednak mimowoli lęk ją wielki ogarniał. Izaak wprawdzie zapewniał, że Miriam baje jak na mężkach, ale słaba to była pociecha, zawsze zostawały jakieś wątpliwości; a serce matczyne skore do trwogi.

Również i Marya, widocznie zaniepokojona, chociaż nic nie mówi, ani tak, ani nie, Marty nie pociesza, ale też i wnioskom Miriam wcale nie przeczy. Cały jednak niepokój w sobie zamknęła i milczy, żadnego prawie nie biorąc udziału w tej przykrej rozmowie, jakby zgoła nic ją to nie obchodziło. Pograżona w zadumie, błędnem okiem w dal patrzy, niby oczarowana pięknymi widokami górskiej okolicy, przez którą przejeżdżali, ale zdaje się, że nic w okół siebie teraz nie widziała. Nagle wyrwał ją z tego zamyślenia, ostry, przenikliwy, głos jej osiołka. Drgnęła, i machinalnie prawie rzuciła okiem w stronę, w którą osiołek szyję wyciągał, kwicząc. A coś tam śnać dostrzegła, bo ręką przysłoniwszy oczy, pilnie zaczyna się przypatrywać.

— Patrz, Izaaku — rzecze po chwili — tam jakaś gromada ludzi. Czy to nie rzymianie? Zdaje się, że broń w słońcu połyskuje?

Na te słowa, jakby uciął, rozmowa raptem się urwała. Wszyscy teraz wyteżyli wzrok w kierunku wskazanym.

Izaak zbladł, osiołki zatrzymał i milczy, rozważając zapewne: co począć?

— Rzymianie — pierwsza w przerażeniu wymówiła Marta.

— Uciekajmy! — woła Miriam.

Izaak właśnie nad tem się zastanawiał.

— Tak, — rzecze — trzeba spróbować. Może nas jeszcze nie dostrzegli. Uciekajmy.

I skierował osiołki w lewo.

Zaledwie jednak parę set kroków ujechali, gdy zdala dał się widzieć tuman kurzu — kilku jeźdźców cwałem pędziło wprost ku nim.

Izaak widząc teraz, że o ucieczce lub obronie, ani mowy być nie może, stanął i bezradny czeka.

A może to nie rzymianie?





## ROZDZIAŁ XI.

### Jan z Gamali, tajemniczy bohater.

Łatwiej powiedzieć niż wykonać. Przystęp do obozu okazał się prawie niepodobnym. Wokoło bowiem, mniejwięcej co 100 kroków, stał żołnierz na straży. Janek żadnego wśród ciemności widzieć nie mógł, ale wyraźnie słyszał ich kroki i szcęk zbroi; chociaż głużył je w części, dolatujący zdala hałas, jaki czynili pracujący przy robotach oblężniczych, które Wespazyan rozkazał dniem i nocą bez przerwy prowadzić. Z tego powodu część obozu była pusta. A zdaje się, że dopiero przed chwilą żołnierze na robotę wyszli, bo jeszcze tu i ówdzie tliły niedopalone ogniska.

Janek to zauważył i już sobie plan działania obmyślił; cała tylko trudność: jak się przedrzeć niepostrzeżonym przez linię straży. Przyszło jeszcze czekać na sposobną chwilę. Przyczajony w trawie, lekko gwizdnął, aby się upewnić, czy już wszyscy na swych stanowiskach. Zaraz mu najbliższy sąsiad odpowiedział. I tak w jednej chwili na całej linii, wszyscy kolejno powtórzyli ten znak gotowości.

Janek tedy, pewny już, że jego rozkazy należyście zostały wykonane, zaczął się ostrożnie posu-

wać naprzód; a wreszcie przekonawszy się, że po obu stronach strażnicy są dość daleko, przekroczył linię, a za chwilę był już wśród namiotów.

Teraz już nie wątpił, że się zawsze któremuś uda dokonać dzieła, a wiatr robi resztę. Może wyprawę przyjdzie okupić wielkimi ofiarami, ale bądź co bądź, cel zostanie osiągnięty. Będzie to nie-mały cios dla wroga.

Janek pełen otuchy, żwawo teraz skoczył do ogniska, i porwawszy z niego głównię, zapalił jeden, drugi, potem trzeci namiot. Przeciął linki, namioty opadły. A teraz, nie czekając aż płomień buchnie i rozświeciwszy drogę, uniemożliwi odwrót, rzucił się do ucieczki. Było już jednak zapóźno. Suche płótno zajęło się w mgnieniu oka, a wiatr zaraz przeniósł ogień na sąsiednie namioty. Nieopodal również płomień jasno w górę wystrzelił. Janek przeto widząc, że niechybnie by go teraz spostrzeżono, rzucił się między szeregi jeszcze niepłonących namiotów.

Tymczasem znów w kilku innych miejscach płomiene w górę wystrzeliły. Janek zadał w swój rózek. Natychmiast odezwały się rogi innych towarzyszów.

Wszystko więc dobrze poszło; dotychczas nikt jeszcze nie wpadł w ręce wroga. Ale jak się teraz wydostać z tej pułapki? Całą nadzieję Janek pokładał w popłochu.

Jakoż w samej rzeczy, strażnicy, na widok ognia, podnieśli krzyk wielki; a ten i ów nawet opuścił swe stanowisko, aby pobiedz na ratunek. Gdy się jednak w różnych punktach obozu rogi odezwały, wszyscy w pierwszej chwili, głowy potracili.

Wespazyan już szedł na spoczynek, kiedy mu dano znać o tem, co zaszło. Wypadł jak stał; a wi-

dząc pożar i słysząc obcą sygnalę w obozie, był przekonany, że nieprzyjaciel wdarł się cichaczem i plądruje. Natychmiast więc rozkazał trąbić: „Do broni!”

Obóz był zbudowany bardzo regularnie. Namioty stały jeden za drugim w prostych szeregach. Wzdłuż i w poprzek wyciągnięto szerokie ulice.

Wespazyan tedy zalecił, aby główny korpus szedł środkiem, a dwa inne oddziały, postępując na skrzydłach, miały szczelnie zamknąć obóz tak, aby z niego żywa noga nie uszła.

Wielki przeto był czas pomyśleć o ucieczce; za chwilę może być zapóźno.

Janek to rozumiał dobrze; musiał się jednak zatrzymać i ukryć za namiotem, bo jakiś żołnierz właśnie w tę stronę spieszył; zapewne po swą broń i tarczę.

Janek nie rzucił się na bezbronnego; pozolił mu wejść do namiotu, lecz czekał na niego przyuczajony. Dopiero kiedy wyszedł i minął go, wtedy zanim skoczył i zadał mu śmiertelny cios w plecy.

Żołnierz runął jak długi, nie wydawszy nawet żadnego głosu. Janek porwał czempredzej jego hełm, miecz i tarczę, i tak za rzymianina przebrany rzuca się do ucieczki.

Zanim jednakże wydostał się po za obóz, już oddział okrążający nadchodził, tak, że go oficer dowodzący spostrzegł, ale biorąc za swego, krzyknął tylko: Do szeregu! Jutro otrzymasz zasłużoną karę! Jak się nazywasz?

Janek odwrócony twarzą od pożaru, wiedząc, że go nie poznają, szedł spiesźnie, nic nie odpowiadając. A kiedy już blizkim był rzeki, wtedy cisnąwszy miecz i hełm, a tarczę zarzuciwszy na plecy, zaczął z całych sił uciekać. Zaraz kilka strzał uderzyło w tarczę z taką siłą, że omal się nie przewrócił,



mnóstwo innych zawarczało mu tuż koło głowy. Jednocześnie posłyszał liczne za sobą głosy:

— Stój! stój! nie ujdiesz.

I byłby pewno nie uszedł; ale szczęściem dla niego, w pogoń rzucili się ciężko uzbrojeni żołnierze. A przytem w miarę oddalania się od światła, strzały coraz mniej były celne. Wreszcie dopadł rzeki i skoczywszy w dolinę, po nad brzegiem pędził na umówione miejsce schadzki, gdzie już nań oczekiwało kilkunastu towarzyszy.

Przyjęto go okrzykiem radości. I on również niezmiernie się ucieszył, widząc, że z tak małą stratą dokonali tak wielkiego dzieła. Wprawdzie żał mu było kilku dzielnych chłopców, ale cóż to jest w porównaniu z tem, co dokonali. Zresztą może się jeszcze ten i ów znajdzie.

Jako też istotnie co chwila jeszcze ktoś powracał, tak, że w końcu tylko jednego nie mogli się doliczyć.

Ale ponieważ wszyscy niezmiernie byli utrudzeni, więc Janek postanowił jeszcze tam chwilę wypocząć, a dopiero w dalszą puścić się drogę.

Ze skały tej roztaczał się szeroki widok na cały obóz. Z rozkoszą się przeto przypatrując pożarowi, wesoło opowiadali sobie wzajemnie o swych przygodach, łudząc się przytem nadzieją powrotu brakującego jeszcze towarzysza, dzielnego Gedeona. Gdy jednak kilka już godzin upłynęło, a on się nie zjawił, ostrożny Janek, wiedząc, że lada chwila rzymianie zaczną przetrząsać pobliską okolicę, dał znak do pochodu.

Tydzień już upłynął a Gedeona jeszcze nie było. Janek więc, upewniony już o jego śmierci, postanowił przez Janasza dać znać o nieszczęściu jego biednym rodzicom, a zazem i Starego Szymona uwiadomić o szczęśliwym przebiegu wypadków.

Janasz, ku wielkiej radości, zastał Gedeona w domu, wprawdzie ze złamaną ręką, ale przy życiu. Okazało się, że skacząc ze stromego brzegu rzeki, padł, i tak zemdlony, kilka godzin tam przeleżał; a odzyskawszy przytomność, niewiedząc czy jeszcze ich na umówionem miejscu schadzki zastanie, ruszył wprost ku domowi; bo zresztą, jako niezdolny już do walki, byłby im tylko zawadą.

Co zaś do uwiadomienia o wypadkach, to było także zbytecznem, bo i Szymon i wszyscy, już o pożarze obozu wiedzieli. Wieść o tem szeroko się po kraju, lotem błyskawicy, rozniosła; wszędzie z uwielbieniem powtarzano imię jakiegoś tajemniczego bohatera, którego powszechnie nazywano Janem z Gamali. Nikt o nim dawniej nigdy nie słyszał, nikt go nigdy na oczy nie widział; ale teraz cuda sobie o jego waleczności rozpowiadano. Imię Jana z Gamali od razu stało się w całym kraju głośne, a każdy wymawiał je z najwyższym szacunkiem. Różne mu przytem przypisywano czyny nadludzkie, tak, że wkrótce stał się jakąś legendową, prawie bajeczną postacią.

Janasz psotnik, wcale temu nie zaprzeczał, lecz owszem, przeciwnie, jeszcze sam ciekawym, przy każdej sposobności, duby smalone rozpowiadał.

Stary Szymon nie posiadał się z radości. Dumny z takiego syna, chętnie by się nim przed ludźmi pochwalił; ale przezorność nakazywała zatrzymać w tajemnicy, nawet sąsiadom nic nie mówiąc, że ów mniemany, a tak głośny już Jan z Gamali, to nie kto inny, tylko jego rodzony syn, Janek. Gdyby się bowiem rzymianie o tem dowiedzieli, z pewnością zemsta ich spadłaby na cały Gades, a przedewszystkiem na krewnych.

Ale zmuszony do tajemnicy, z tem większą nie-

cierpliwością wyczekiwał powrotu swych kobiet, aby się przynajmniej choć z nimi o tem nagadać.

A podług jego wyliczenia, już dawno powinny być w domu. Wszak Izaak miał zalecone, aby długo niewypoczywając, i w drodze nie marudząc, zaraz powracał. Szymon więc godziny już liczył, a tu nawet dnie upływają, kobiet zaś jak niema, tak niema. Co chwila wychodzi na wzgórek, godzinami tam na kamieniu wysiaduje i patrzy, ale darmo, nikogo nie widać. Już więc zaczyna się coraz bardziej niepokoić; a wreszcie zniecierpliwiony, sam wyruszył w drogę.

Tymczasem Janek, powodzeniem zachęcony, znów układał plany nowej jakiejś psoty, kiedy Janasz, oprócz dobrej nowiny o życiu Gedeona, przynosi mu wiadomości, że wracając, spotkał partyą jeńców, którą handlarz pędzi z pomocą kilkunastu tylko żołnierzy.

— To tak było — mówi — ja sobie idę przez las, a tu raptem widzę tuman kurzu, więc nie czekając, w nogi... Ale potem, myślę sobie, warto się przekonać: co to. Ukryłem się tedy za skałą, tuż przy drodze, i czekam. A tu, patrząc, najpierw przejeżdża sobie kilku żołnierzy, a za nimi tłum ludu, przeważnie młodych kobiet. Może tego było, żebym nie skłamał, więcej niż 100. A każdy biedak w powrozach. Na ostatku jechał sam kupiec i także kilku żołnierzy. Ale niech też kto zgadnie, kogom ja tam wśród jeńców widział. No, Ruben, zgadnij, kiedyś taki mądry. Kogo?

Ruben ruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Może samego Józefa.

— Ho, ho, Józef teraz w wielkiej przyjaźni z samym Tytusem. Jego by handlarz w powrozach nie pędził. Kogoś innego widziałem.

— Więc kogóż? — pyta Janek.



— A to moją kochaną macochę. Czy wiecie, zem się w pierwszej chwili ucieszył. No, ale mi się po tem żal zrobiło, i choćby przez pamięć na ojca, radbym ją uwolnić, gdyby to tylko było w mojej mocy. Zresztą, żal mi i tych innych. Tyle ludu! A jedna w drugą, same najpiękniejsze dziewczęta. Więc pomyślałem sobie: Przecież dalibyśmy radę tym kilkunastu ciurom, gdyby ich tak znieacka przycisnąć. Przyspieszam tedy kroku, bo rozliczyłem sobie, że gdybyśmy tak zaraz, bez straty czasu ruszyli, toby się ich może jeszcze dopędziło.

Janek, nie namyślając się długo, dał rozkaz do pochodu, a tymczasem Janasza wypytywał o inne szczegóły.

Po chwili cała drużyna była już w drodze. Jakoż w parę godzin, gdy już prawie mrok zapadł, Janasz dostrzegł w oddaleniu żołnierza na czatach, a za nim obozowisko.

Trzeba się jednak było upewnić: Kto to? czy oni, czy też może jaki inny oddział wojska. Wziął to na siebie Janasz, ma się rozumieć, gdyż on jeden ich widział, a więc tylko on mógł poznać, czy to ci sami czy inni, i czy też czasem nie przybyło im zbrojnych; boć i to przecie możliwe, a w takim razie, łatwoby samemu wpaść w pułapkę.

Janasz i tym razem wywiązał się z zadania dzielnie. Przynajmniej dotarł tak blisko, że mógł stwierdzić, iż to ta sama partya; nie udało mu się jednak dostatecznie upewnić, co do ilości zbrojnych jej stróżów. Widział ich tylko kilku; ilu zaś mogło się znajdować w namiotach, które już sobie rozbili, tego niepodobna odgadnąć. Ale że namiotów niewiele, więc też i ludzi nie mogło być wiele.

Bądź co bądź, Janek postanowił spróbować, czy mu się nie uda tylu nieszczęśliwych z więzów uwolnić. Przyszło jednak parę godzin jeszcze za-

czekać, aż się dobrze zciemni, zwłaszcza, że przy blasku ognisk, łatwiej będzie o liczbie ich lepiej się przekonać.

Janek sam wyruszył, aby dokładnie okolice poznać i stosownie do tego, plan napadu obmyślić.

Tymczasem rzymianie, utraciwszy w płomieniach więcej niż połowę obozu i znaczną część bagażu, nie posiadali się ze złości, tembardziej, że nie udało im się żadnego z tajemniczych sprawców pochwycić. Cios to istotnie dobrze był wymierzony i nader dotkliwy, bo godził w ich dumę. Widocznem przecie było, że to musiała być tylko garstka zuchwalców, i to właśnie najboleśniejsze, że im się udało do obozu wtargnąć i ujść bezkarnie.

Wypadek ten jednak ani na chwilę nie powstrzymał robót oblężniczych. Owszem, tem raźniej pracowano, aby prędzej nowem zwycięstwem zatrzeć wrazenie klęski, która do pewnego stopnia mogła tembardziej ożywić ducha upornych obrońców miasta i wogóle ludności całego kraju wówczas, gdy ta już zaczynała wątpić o skuteczności oporu przeciw potędze rzymskiej.

Nazajutrz Wespazyan aż 4000, w małych oddziałach, rozesłał po okolicy na poszukiwania; sam przytem śledztwo prowadził. Ale się wszystko skończyło na przykładowem ukaraniu żołnierzy straż wtedy trzymających.

W parę dni później, udało im się nareszcie zrobić wyłom w murach. Wojsko pałające żądzą zemsty za swój wstyd, poszło do szturmowania jak wściekłe. Żydzi, nie mogąc wytrzymać natarcia, cofnąwszy się w górę, tam dopiero, w wązkich i stromych uliczkach, stawili zacięty opór. Teraz z kolei rzymianie zmuszeni do odwrotu, a z dołu parci przez tłoczące się masy swoich, szukali schronienia w opuszczonych domach. Ale domy słabo zbudowane

wane, nie mogły wytrzymać takiego ciężaru. Najpierw tedy runął najwyżej położony, a walące się mury, spadając na dach niższego, zgmiotły go także. W ten sposób walił się jeden za drugim, grzebiąc w gruzach mnóstwo napastników. W dodatku taki ztąd powstał kurz, że oślepieni, sami siebie zabijali. Widząc to żydzi, wpadają na nich z taką zjadłością, że ledwo część tylko zdołała ujsć z życiem. Sam Wespazyan omal nie zginął.

Zwycięzcy, ten wypadek poczytali sobie za szczególną łaskę Boga, który im w tak rozpaczliwej już chwili, dał niespodziewaną pomoc. Wielce to podniosło ducha prawie już wyczerpanej załogi.

Ale chociaż wyłom w murach zaraz naprawiono, i znów wszystko powróciło do dawnego stanu, to jednak nikt z trzeźwiej patrzących, nie łudził się, wiedząc, że niezadługo przyjdzie uleść przemocy, albo się poddać dla braku żywności. Zgromadzono wprawdzie znaczne zapasy, ale te już bliskie były zupełnego wyczerpania.

Rzymianie ze swej strony czynili przygotowania do ponownego szturm, chcąc czempędzej zatrzeć pamięć pierwszego niepowodzenia.

Tymczasem nadeszły też przygnębiające wieści o upadku Itabyrium, które wziął podstępem Placidus, mając pod sobą tylko coś 600 konnicy. Część jednak obrońców zdołała ujsć do Jerozolimy, ale mnóstwo zginęło; reszta zaś poddała się pod warunkiem darowania życia.

Gorszy los czekał Gamalę; bo rzymianie, rozdrażnieni tak zacięą obroną i własnem niepowodzeniem. pewno w razie zdobycia szturmem, nikomu życia nie darują. Wielu też obleżonych próbowało ucieczki, co z jednej strony było dobrem, gdyż ułatwiało wyżywienie, ale z drugiej, zmniejszało zastęp obrońców. Mimo to, rzymianie jeszcze kilkokrotnie



ze stratą zostali odparci. Dopiero w nocy 22 sierpnia, 2 żołnierzom z 15 legii, udało się cichaczem podsunąć i jedną z wież podkopać tak, że runęła razem ze znajdującą się na niej strażą. Wtedy rzymianie wpadli na nieprzygotowanych. W popłochu jaki ztąd powstał, jednym z pierwszych zaraz padł Józef, a drugi wódz Chares, złożony chorobą, umarł ze wzruszenia, na wieść o nieszczęściu. W ten sposób żydzi obu pozbawieni wodzów, stracili głowy. Nikt teraz nie wiedział co robić. Wszyscy uciekali, a lament kobiet napełniał powietrze.

Ale rzymianie, nauczeni poprzednim wypadkiem, działali teraz ostrożniej, bez pośpiechu. Nikt przeto nie pogonił za uciekającymi. Dopiero po południu sam Tytus na czele 200 konnicy i oddziału piechoty, wkroczył do bezbronnego już miasta. Garść tylko stawiała jeszcze opór zwycięzcy; ale odparci, cofnęli się w górę i tam dopiero walka zawrzała. Nikt ani prosił ani też nie dawał pardonu. Żydzi rozpaczliwie bronili każdej piędzi ziemi, dopóki ostatni z nich nie padł pod mieczem zwycięzców.

Pozostawała jeszcze sama cytadela, na którą ruszył teraz Wespazyan. Nie było to wcale łatwe zadanie, ale na nieszczęście dla żydów, wszystko się widać na ich zgubę przysięgło, i sam Bóg przeciw wybranemu ludowi swemu. Powstała bowiem tak straszna burza, że nikt na murach nie mógł ustać, podczas gdy rzymianie, skałą od strony wichru zasłonięci, mogli swobodnie działać.

I tak twierdza, będąca prawie nie do zdobycia, wpadła im w ręce, rzecz można, bez żadnych ofiar.

Wielu nieszczęśliwych, wraz z żonami i dziećmi, rzuciło się w przepaść, inni ginęli pod mieczem. Razem do 10,000 padło. Ze wszystkich ocalały

tylko z kobiety, siostry Philipa, jednego z wodzów Agryppy.

Tak więc już wszystkie miasta Galilei uległy; jeszcze się tylko jedna Giszala trzymała. Lud tam zgromadzony, przeważnie rolnicy, jużby się także gotów upokorzyć, ale głośny Jan, będąc ze swą bandą nieograniczonym panem miasta, ani o tem słuchał, chociaż Giszala nie była twierdzą tak silną jak inne.

Wkrótce pod jej murami zjawia się Tytus z 1000 konnicy. Ale chociaż pewny swego, mając jednak dosyć już krwi i pożogi, wolał popróbować układów.

Jan mu odpowiedział, iż gotówby przyjąć jego wspianiałomyślnie warunki, ale z przyczyny sabatu, dopiero nazajutrz może być o tem mowa.

Tytus chętnie zgodziwszy się na żadaną zwłokę, pociągnął do sąsiedniego miasta. Tymczasem w nocy Jan z całym swym wojskiem uszedł, wystawiając miasto na zemstę oszukanego Tytusa.

Kiedy rano zwycięzca przybył, mieszkańcy natchmiast otworzywszy mu bramy, na klęczkach witali go jako wybawiciela z rąk tyrana Jana.

Tytus, poprzestając na takim upokorzeniu, nikogo nie karał; tylko wojsko, wysłane w pogoń za Janem, położywszy trupem 6000 ciągnącego z nim ludu, resztę około 3000 kobiet i dzieci, przywiodło z powrotem do Giszali; sam Jan zaś ze swą bandą, pociągnął ku Jerozolimie.

## ROZDZIAŁ XII

### Kłopoty Szymona.

Szymon, dowiedziawszy się na miejscu że kobiety już dawno ztamtąd wyruszyły, zatrwożony niezmiernie, natychmiast, bez straty czasu, puścił się w pogoń.

Ale w owym czasie okolica to była prawie bezludna, trudno więc było na jakikolwiek ślad trafić. Po tygodniu też daremnej włości, z niczem powrócił do domu; gdzie już od paru dni były Marta i Miriam, ale zmizerowane i chore, a w dodatku smutkiem przygnębione. Ledwo się od nich zdołał dowiedzieć: co zaszło. Szczególniej Marta, blizką była prawie utraty rozumu.

W końcu z jej bezładnych półsłówek i wykrzykników, oraz niemniej poplątanych opowiadań Miriam, Szymon tyle tylko wymiarkował, że Izaak z rozplataną głową leży gdzieś w chacie wieśniaka, a Marya w niewolę uprowadzona; i że obie opuszczone, przez kilka dni błądziły po górach i lasach.

Biedny Szymon nie mógł sobie darować, że zawczasie po nie posłał. Z własnej więc winy od razu teraz na jego siwą głowę, tyle ciosów spadło.

Bolał nad dolą pocziwego sługi, który tam gdzieś u obcych może już dogorywa; pękało mu również serce na myśl; co się tam z biednem



dzieckiem stanie; drżał o życie swej ukochanej towarzyszki, która leżała w gorączce. Radby Izaaka sprowadzić, ale gdzie go teraz szukać, kogo zresztą posłać? Chciałby pędzić na ratunek Maryi, ale przy kim chorą Martę zostawi, kiedy już i Miriam także w łóżku? Przytem i roboty na polu co niemiara. Któż to wszystko zrobi? kto temu podoła? Tyle ciosów! tyle ciosów! A, to oszaleć! Ale co tam pole, co tam żniwo! Niech wszystko przepadnie, niech nic nie ma, byleby jego ukochana Marta wyzdrowiała, byleby ukochane dziecko wyrwać z rąk oprawców. Ale jak, jak? Co pocznie bezsilny? Chybaby okup... Możeby wzięli... Tak, wzięliby; oni przecie tego tylko chcą... A on gotów za nią wszystko oddać. Ale gdzie ona teraz? Kto ją znajdzie? A zresztą czyż może chorą zostawić?

Co począć, co tu teraz począć?

I nieszczęściem przygnębiony Szymon, prawie już od rozumu odchodził, nie wiedząc jaką sobie z tem wszystkim dać radę, co począć? u kogo ratunku szukać? Zawiele tego na jednego, zawiele na jedną biedną z kolataną głowę opuszczonego starca. Jeszczeby teraz tego tylko potrzeba, aby i o Janku przyszły złe wieści. Czyż to niemożliwe? Przecie jak się zacznie walić, to się czasem wszystko na człowieka wali.

Biedny więc Szymon, już i to zaczął przypuszczać, a nawet tak sobie tem głowę nabił, że w ciągłej trwodze, chodzi jak błędny. Zresztą męczarnią mu była sama myśl o nieszczęściu, jakie na głowę syna zwali wieść o porwaniu Maryi. On tego, biedak, nie przeżyje. Gdyby nie to, zarazby go o wypadku uwiadomił.

Chwilami jednak zdawało mu się, że go właśnie natychmiast powinien uwiadomić. Chłopiec ma przecie środki, niebo i ziemię poruszy, aby ra-

tować narzeczoną. Ale z drugiej znów strony bał się, że w rozpaczy gotów jaki szalony krok zrobić, a wtedy i tamtej nie ocali i sam zginie.

Może więc najlepiej wprost Wespazyanowi posłać okup a on ją wynajdzie. Przecież on chyba wie gdzie i u kogo się biedaczka znajduje.

Poszedł więc do winnicy, a upewniwszy się, że nikt nie patrzy, odgrzebał ziemię, dobył garnki ze złotem i srebrem, przeliczył, okrągłą sumkę do worka wsypał, resztę znów zakopał, i medytuje: przez kogoby to posłać? kto mu tak życzliwy, a przytem uczciwy i sprytny, że możnaby na nim polegać. Złoto przecie rzecz łakoma, nie jeden mógłby się skusić. Przebiegał więc w myśli, wszystkich sąsiadów, ale trudno się było na wybór zdobyć. Jeden zdał się nie dość pewnym, drugi znów choć uczciwy ale zchorowany i słaby, trzeci niedołęga. Słowem, każdy miał jakieś ale.

Nie było więc innej rady, jak kogoś przy chorzej zostawić a samemu pospieszyć z ratunkiem narzeczonej syna; opuścić jej przecież nie można. Zresztą jej zguba, byłaby również zgubą jedynaka. Marta mu więc przebaczy, że ją na chwilę chorą pozostawi, aby ukochane dzieci ratować. Owszem, nigdyby mu nie przebaczyła, gdyby ich z jej powodu nie ratował. Wszak ona dla nich tylko żyje; ich zguba, byłaby też i jej zgubą.

Tak; nie podobna Maryi bez pomocy zostawić; trzeba ją ratować, trzeba, gdyby to nawet miało nie wiem co kosztować. Pojedzie więc, choćby do samego Wespazyana, będzie go na klęczkach błagał, odda mu nawet i wszystko, byleby tylko ukochane dziewczę ocalić.

A innego sposobu niema. Zresztą na nikim polegać nie można. Zawsze najlepiej samemu. Bo zresztą któżby inny zechciał pójść i błagać wroga







15

za kimś obcym. Nie, on sam to musi uczynić, sam, osobiście, nikt go w tem nie zastąpi.

I ten nieszczęściem tak przygnębiony człowiek, który się przed chwilą jeszcze zdawał do niczego nie zdolnym, teraz, jakby weń nowy duch wstąpił, pełen mocy, zerwał się rażno aby pospieszyć do sąsiada dla narady: komu nad chorą i domem opiekę powierzyć.

I wybiegł z takim pospiechem, jakby każda chwila stracona, całemu światu zgubą groziła. A tak zatopiony w myślach, iż nie słyszał nawet, że ktoś na niego woła zdała, ode drogi. Dopiero kiedy ten ktoś dogonił go i za rękę pochwycił, Szymon, jakby ze snu raptem przebudzony, patrzy a zdaje się niewidzieć czy też niepoznawać przybysza. Dopiero po chwili zastanowienia, krzyknął:

— Janasz! Więc ty tu?

— Tak — odpowiada pożądaný gość — przychodzę...

— Czy aby żyje? — przerwał mu z trwogą.

— Żyje, żyje i zdrów. Wszystko dobrze. Nowe zwycięstwo...

Szymon się gorzko uśmiechnął.

— Biedne dziecko! — rzecze z ciężkiem westchnieniem. — On się tam zwycięstwem cięższy, sławą okrywa, a nie wie jaki tu nań cios ma spaść.

— Domyślam się o co wam chodzi — szybko wtrąca Janasz. — Właśnie po to przychodzę, aby was uspokoić. Marya ocalona, jest w naszym ręku. Odbiliśmy wielu jeńców, wpośród których i ona też była.

Szymon słuchał tego jakby powieści z tysiąca i jednej nocy. Wzruszony, nie mógł zrazu ni słowa przemówić. W końcu dwie łzy mu na powiekach zawisły — ale były to łzy radości.

— Dzięki ci, Panie — wyrzekł uroczyście, wznosząc ręce w górę. — Niech będzie imię twoje pochwalone.

— Amen — dodał Janek.

— Z nieba przychodzisz. Sam Bóg cię chyba tu przysłał, chłopcze kochany. Niech on ci kiedyś w życiu nagrodi tę wielką radość, jaką mi teraz przyniosłeś.

Z temi słowy Szymon przycisnął Janasza do piersi, jakby rodzonego.

— Pójdź — rzecze — posil się i odpocznij z drogi.

— Długo odpoczywać nie mogą, bo tam Janek z niecierpliwością czeka na wiadomość: co się dzieje z matką i Miriam. Czy są już w domu?

Szymon pokiwał głową.

— Są, są — rzecze — ale obie chore, a szczególnie moja ukochana Marta już od paru dni prawie bezprzytomna leży, walcząc ze śmiercią. W Bogu tylko nadzieja, że mi oszczędzi tak strasznego ciosu. Ten, który mnie w jednym tak niespodziewanie pocieszył, może się jeszcze ulituje . .

— Biedny Janek — przerwał mu Janasz. — Będzie to dla niego wielki smutek. Lepiej może nic nie powiem, a tymczasem, da Bóg, polepszy się.

— Da Bóg, da Bóg! On miłosierny — powtórzył Szymon, wyciągając obie ręce ku niebu. — Ale nie śmiem sarkać na Jego wolę — dodał. — Bo czyż mało jeszcze z jego ręki łask odbieram. Wszak to Jego, Jego tylko łaska, że mi dziś tyle szczęścia przynosisz. Ale opowiedz mi wszystko: jak to było?

— Dobrze, panie — odpowiada Janasz — opowiem wszystko, bo to naprawdę istny cud. Ale pozwól mi najpierw oznajmić, że przyprowadziłem tu z sobą moją macochę, także wśród jeńców zna-



leżoną. Młoda jeszcze, może pracować, więc pewno się przyda.

Teraz dopiero Szymon spostrzegł nieopodal stojącą obcą kobietę.

— A dobrze, bardzo dobrze — mówi. — Tak, tak, przyda się, zwłaszcza teraz. Właśnie szedłem aby kogoś sprowadzić do opieki nad chorą.

— Szkoda że Maryi nie przywiózł — wtrąca Janasz. — A chciałem, ale Janek bał się nowej jakiej przygody. Wkrótce ją tu sam, pod osłoną całej partyi, przywiezie. Tymczasem wśród niedostępnych gór, bezpieczna w domu pewnej staruszki.

Tu wspomniawszy najpierw o upadku Gamali i Giszali, oraz i o tem, że słyhać jakoby już Wespazyan zamierzał odejść na zimowe leże do Scytopolis albo Caesarei — zaczął potem szczegółowo opisywać całą przygodę z owym handlarzem niewolników, który za swą chciwość, dynda sobie teraz na gałęzi, a znalezione przy nim pieniądze, rozdzielone zostały między oswobodzonych jego niewolników.

— Ach, żebyście widzieli, panie — mówi — jaka to była radość tych nieszczęśliwych! jak nam dziękowali, jak się za nas modlili! To, powiadam, nie żal karku nadstawić, nie żal i umierać, aby mieć w życiu choć jedną taką chwilę. A, to płakać się chciało razem z nimi, ale z wielkiego szczęścia. Lecz to jeszcze wszystko nic. Dopiero kiedy Janek ujrzał tam i swoją Maryę, to powiadam, nie mógł zrazu ani słowa wymówić. Stał jak wryty, czy ze zdziwienia, czy też z wielkiej uciechy. A potem oboje dziękowali Bogu za tak wielką łaskę. Bo widocznie to był cud boski, cud i nic więcej.

— Zapewne, zapewne, cud — przywtarza Szymon. — Ale jakże się to stało? jakżeście się dowiedzieli? — dopytuje ciekawie.

— A tak, przypadkiem, prostym prostym przypadkiem tylko — odpowiada Janasz wymijająco. Nie chciał bowiem przechwalać się, że jego w tem największa zasługa, choć istotnie przypadkowi zawdzięcza, że mu się tak szczęśliwie udało wykryć i na trop handlarza, Janka naprowadzić.

Ale wróćmy teraz na chwilę do obozu młodych zwycięzców.

Dotychczas głucho tylko obiegały wieści, że Wespazyan już całą pokonawszy Galileę, zamierza teraz zimowy rozbić obóz. Obecnie zaś Janek dostał języka, że nietylko zamierza, ale już z całym wojskiem ruszył ku Scytopolis.

Wobec tego, uznając już swe zadanie chwilowo za spełnione, postanowił przemówić do swych towarzyszy; tembardziej, że do jego uszu doszło, jakoby radzi wyruszyć do Jerozolimy, co uważał za zgoła nie na czasie.

— Moi kochani — rzekł — jak wiecie, Wespazyan już wyruszył na zimowe leże. Tam go już nie dosięgniemy. A słyszę, radzibyście pociągnąć do Judei. Ależ wiecie chyba co się tam teraz dzieje. Cały ten biedny kraj w gruzach, jęczy pod ciosami wojny domowej. Nieład i zamieszanie. Niesforne rozbójnicze bandy napadają wsie i miasteczka, i pod pozorem kary jakoby za sprzyjanie rzymianom, rabują i mordują spokojnych mieszkańców. A w samej Jerozolimie podobno jeszcze gorzej. To pewna, że ci, którzy sobie przywłaszczają zwierzchniczą władzę, nic zgoła nie uczynili, aby dopomódz galilejczykom w walce ze wspólnym wrogiem naszym. Ani jednego żołnierza nam tu nie przysłano. Ale nie dość na tem. Wodze zajęci wzajemną walką, wcale nie pomyśleli jeszcze o jakichkolwiek przygotowaniach do obrony, marnując cały czas i siły w wewnętrznych zatargach.

Więc pocóżby tam teraz chodzić? Cóżbyśmy przez to uczynili dobrego dla kraju? Przyszło by po jednej lub po drugiej stronie stanąć. Czyż po to pójdziemy, aby miecz przeznaczony na obronę świątyni, zmazać krwią bratnią? po to, aby darmo zjadać zapasy, zgromadzone na wypadek oblężenia? Nie wybiła jeszcze dla nas godzina. Dziś kraj już uspokojony. Prawda, że tysiące ludu padło, ale pozostali przy życiu, mogą już powrócić do swoich zwykłych zajęć. Gdybyśmy zaś tu chcieli niepokoić rzymian, dałoby to im powód do zemsty. I cóżbyśmy dobrego zrobili, przyczyniając krwi i łez, których już i tak aż nadto popłynęło.

Czekajmy więc w domu spokojnie, a gdy zajdzie potrzeba, wtedy znów pójdziemy na pole walki za świętą sprawę naszego ludu. Ja was uwiadomię, a kto zechce, może znów pójść razem albo wreszcie pojedynczo, aby bronić świątyni.

Ale w żadnym razie nie radziłbym chodzić pojedynczo. Wiecie bowiem, że gromadą, można zdobyć szacunek obu partyi, pojedynczo zaś, trzeba się do jednej lub do drugiej przyłączyć, bo inaczej obie będą prześladować. Ale to wam do waszej już woli pozostawiam. Tymczasem wrócimy do naszych domów, bo tam rąk naszych bardzo teraz potrzeba.

— Wracajmy, wracajmy! — zawołano chórem.

— Tak, wracajmy — przywótrzył Janek. — Zabierzemy tylko moją narzeczoną. A jeżeli po drodze znów uda się nam jeszcze rozkuć więzy nieszczęśliwym, będzie to nowym dowodem łaski boskiej. Ale i tak czasu nie straciliśmy daremnie, wiele ust współbraci błogosławi naszej pracy, wiele ust głosi chwałę jej plonu. Dziękujemy więc Bogu, że nam pozwolił coś zdziałać; i prosimy go zarazem, aby nam w przyszłości równie dopomagał. Za to,



że dziś nie wracamy z próżnemi rękoma, Jemu niech będą dzięki i cześć.

Jak wiecie, posłałem Judę, aby się przekonał, czy rzymianie istotnie odeszli. Często bowiem rzeczy podawane za pewne, okazują się potem nieprawdą; więc lepiej na wieściach nie polegać zbyt. Ale skoro się tym razem nie okażą bajką, to i my zaraz jutro ztąd wyruszemy.

Trzeba więc poczekać na powrót Judy, a także i Janasza, aby się z nim w drodze nie rozminąć przypadkiem. Ale w żadnym razie, powtarzam, nie radzę wam teraz do Jerozolimy. Najlepiej wracać do domu, jak powiedziałem, a z wiosną — zobaczymy.

Wszyscy, nawet najniecierpliwsi, przyznali mu słuszność. Jednomyślnie postanowiono pójść za jego radą.

Janek więc zadowolony, że ich tak łatwo przekonał, skoczył teraz do Maryi, aby i ją także, o prawdopodobnej jutrzejszej podróży uprzedzić.

Marya, spodziewając się jego przybycia, niecierpliwa, wyszła na spotkanie. Zburczał ją za taką nieroztropność, boć łatwo się w górach mogła przytrafić jakaś przygoda. Uznając błąd swój, dziewczę z pokorą przyrzekło mu, nigdy już nie zasłużyć na taką wymówkę.

Razem teraz wracając do chaty, rozmawiali o wszystkim, tylko nie o domu, jakby w obawie usłyszenia czegoś złego.

Marya wielką była wielbicielką sławnego Jana z Gamali, o którym wiele jej naopowiadano. Bo zresztą któż o nim teraz nie mówił. Wśród powodzi klęsk, ludzie chętnie mówią o najmniejszym byle pomyślnem zdarzeniu. A był to wówczas istotnie jedyny człowiek, któremu się udało odnieść jakie takie korzyści — szybko więc wyrósł na bohatera.

Ale Marya nic zgoła jeszcze nie wiedziała, że tym tak głośnym już bohaterem, był właśnie jej ukochany Janek. On jej bowiem nic jeszcze o swych czynach nie wspominał, a nikt, prócz tajemniczonych, nie wiedział o tem; nikt też Jana z Gamali na oczy nie widział; a choć i widział, to któżby mógł przypuścić, że ten gołowąsy młodzik, jest właśnie owym okrzyczanym owym powszechnie wielbionym mężem.

Marya, jako żarliwa patryotka, nie miała dość słów na pochwałę dla niego. W jej oczach był on czemś więcej nawet niż wielkim, czemś jakby prorokiem, wysłańcem Boga, jeżeli nie półbogiem.

Janka niezmiernie to bawiło. Słuchał też z tajemniczym uśmiechem, a choć w gruncie zadowolony, to jednak zaprzeczał, albo raczej obniżał wartość zasługi owego Jana; może właśnie dlatego, że wtedy Marya zwykle w tem większy wpadała zapamiętała, bo wprost oburzała ją takie rozmyślnie obniżanie, które w duchu przypisywała poprostu zazdrości tylko.

A Janek, jakby na przekorę, tem silniej obstawał przy swoim.

— Eh — mówi — wszyscy przesadzacie. Niedługo będzie to w waszych oczach jakiś cudotwórca. A w gruncie rzeczy, cóż on tak wielkiego zrobił. Że mu się udało przypadkiem tylko, spalić część rzymskiego obozu — no to i cóż? Przecież jeszcze przez to kraju, ani nawet Gamali, nie ocalił. Głupstwo, wszystko głupstwo. Każdyby to samo na jego miejscu zrobił.

Tu Marya przerwała mu z wymówką.

— A, wiesz Janku, tegom się po tobie nie spodziewała. Przeciwnie, myślałam, że ty będziesz największym jego wielbicielem, boć on przecie właśnie podług twoich planów działał... Wszak mi tyle

razy mówiłeś, że tylko na tej drodze można osiągnąć jakieś korzyści. A dziś mu sam odmawiasz...

— Ja mu niczego nie odmawiam — przerwał Janek wesoło — ale pocóż ta przesada?

— Nie, nie, tu niema żadnej przesady — broniła Marya. — Owszem, zupełnie słusznie cieszy się tak powszechnem uznaniem. I ja wciąż dziękuję Bogu, że nam zesłał nareszcie takiego człowieka, przeznaczając go zapewne na zbawcę swego ludu.

Janek w głos się roześmiał. Maryę to do żywego dotknęło.

— A wiesz, — mówi ze smutkiem — że mnie to bardzo martwi, bo przypuszczam. .

Tu zawahała się.

— Co przypuszczasz? — dopytuje Janek.

— Przypuszczam... zazdrość tylko — odpowiada Marya.

Janek znów parsknął śmiechem.

— Nie śmiej się, bo to \*mi bardzo przykro. Jabym cię rada widzieć bez najmniejszej skazy. A skoro u ciebie tak mało jego czyny ważą, to czemużes ty nic podobnego nie zrobił. Zresztą, nie mówmy już o tem. Mnie to doprawdy przykro.

— Masz słuszność, najlepiej nie mówić o takich dzieciństwach. Lepiej... Ale patrz! Czy to nie Janasz biegnie ku nam?

— Tak, to Janasz — potwierdziła Marya, przypzyspieszając kroku. — Co też się tam dzieje — dodała z westchnieniem.

---



## ROZDZIAŁ XIII.

### W domu.

Sam widok Janka i Maryi, skuteczniej oddział na zdrowie Marty, niż wszystkie leki, któremi ją pasły siąsiadki. Szybko teraz do sił wracała. I znów po dawnemu błogi spokój zapanował w domu Szymona. Gdyby nie smutne wieści z kraju, wszyscy byłiby prawie szczęśliwi.

Dotychczas jednak Szymon nic jeszcze nie wspominał Marcie o chwale jedynaka, choć go bardzo koczyło; ale milczał w obawie, że chorej mogłoby zbyt wzruszenie zaszkodzić. Raz jednak, w czasie nieobecności Janka, kiedy siedział z Maryą przy jej łożu, mimowoli jakoś wyrwało mu się słówko; a że go język strasznie świerbiał, więc też nareszcie i kobiety dowiedziały się o wszystkim.

Janek, wróciwszy z pola spostrzegł, że Marya bardzo jakoś smutna czy zakłopotana. Kilkakrotnie ją zapytywał o przyczynę tego, ale zawsze go zbywała półsłówkiem, nieśmiejąc mu nawet spojrzeć w oczy. Wyraźnie go unikała patrząc nań tylko ukradkiem, gdy on zdawał się nie widzieć. A kiedy ją parę razy na tem przyłapał, to się aż zarumieniła, i nie odpowiedziawszy, uciekła.

Nareszcie po obiedzie, spotkali się w ogródku. Janek tym razem już nie pozwolił się zbyć wymija-

jącą odpowiedzią. Musiała mu wyznać prawdziwą przyczynę smutku.

— Przebacz mi — rzecze Marya — ale któż mógł się spodziewać, kto mógł się spodziewać, kto mógł się spodziewać... I ja ciebie, ciebie, takiego męża, posądzałam o zwyczajną zazdrość. A, to okropne... .

— Tak, tak, to istotnie okropne — żartował Janek. — I to tylko taka przyczyna twego smutku? O, to doprawdy, warto się smucić. Jabym na twojem miejscu utopił się z rozpaczyny... .

— Nie żartuj, Janku. Ja dziś sama nie wiem co się ze mną dzieje. Teraz już nie jesteś dla mnie owym dawnym Jankiem, którego uważałem za różnego sobie. — Ja teraz już nie śmiem przemawiać do ciebie jak przedtem... O ja nieszczęśliwa... .

— Dziecko, dziecko! — wesoło przerwał Janek. — Cóż ty sobie wyobrażasz? że jestem inny? że mnie ta odrobina sławy innym człowiekiem zrobiła? Nie, moja droga Maryo, ja dla ciebie zawsze ten sam, zawsze jak dawniej, twój narzeczony i basta. Porzuć te dzieciństwa.

Tu Janek porwał ją za obie ręce, i trzymając je w swych dłoniach, ciągnął dalej z coraz większym zapałem.

— Nie myśl o tem, Maryo. Było to z twej strony bardzo naturalne przypuszczenie. Ja to raczej zawiniłem, ja to raczej muszę cię teraz prosić o przebaczenie, że cię dotychczas trzymałem w niewiadomości. A przecież wobec narzeczonej, nie powinno się mieć żadnych tajemnic. Ale bo widzisz, chciałem ci później zrobić niespodziankę. Zresztą, nie mówmy już o tem. Ja zawszem dla ciebie, wierz mi, ten sam Janek. A jeżeli zdobyłem trochę sławy, no, to ją razem ze mną kiedyś dzielić będziesz.

— Ale ja boję się — rzekła Marya — żem ciebie i takiego szczęścia niewarta.

— Niewarta? — zawołał Janek z niekłamanem oburzeniem. — Tyś mnie niewarta? Nie mów tego, bo mnie to boli. Jestem szczęśliwy. Niech mi cały świat zazdrości takiej towarzyski, jaką mnie Bóg w swej łasce obdarzył. Ja mu codziennie za to gorąco dziękuję. Nie mógłbym znaleźć lepszej żony nad ciebie.

Marya za całą odpowiedź złożyła swą główkę na jego piersi.

Odtąd, chociaż odzyskała już swobodę, to jednak między nimi nie był to już ten sam co dawniej stosunek. Już nie było to dwoje dzieci jak niegdyś, ale mężczyzna i kobieta, narzeczony z narzeczoną. On pewny siebie, ona pełna dla niego miłości i szacunku; a powolna na każde jego skienienie, ale nie jak niewolnica, lecz wierna i oddana mu przyjaciółka, a zarazem istota słaba, potrzebująca opieki silnego ramienia i miłości gorącego serca.

Zresztą, uległość żony w obec męża, była nie tylko prawem Mojżesza nakazaną, ale płynęła z ówczesnych obyczajów. Uległość jednak Maryi w stosunku do jej przyszłego małżonka, pochodziła nie tyle z jakiegoś prawa lub obyczaju, ale wprost z serca, jako jeden z dowodów uznania wyższości i szacunku dla Janka; pomimo że ten, wcale tego nie żądał, lecz owszem, przeciwnie, zawsze jej o zupełnej równości praw.

Odtąd też przypuszczoną była do wszystkich jego tajemnic, żadnego kroku nie zrobił bez jej wiedzy.

A nigdy go już nie powstrzymywała, jak dawniej, na drodze obowiązku. Przeciwnie, często nawet zachęcała do czynu, choć Janek zachęty żadnej nie potrzebował.



Nie tracił czasu napróżno. Przez całą zimę wszystkie wolne od gospodarstwa chwile, poświęcał na przygotowania do wiosennej wyprawy, którą zamierzał w większych rozmiarach urządzić.

Codziennie też, wśród niedostępnych gór, po parę godzin, odbywały się ćwiczenia w obrotach wojennych. A ochotników mu teraz nie brakło; zewsząd ciągnęła młodzież, gotowa życie poświęcić w obronie świątyni. Nawet stary Izaak, chcąc pomścić cięgi, jakie mu rzymianie sprawili, gwałtem się także dopraszał. A Miriam, widocznie przeczuwając, że się coś święci, wciąż Martę i Szymona buntowała, aby już nie pozwolili jedynakowi życia narażać. Była ztąd biedaczka przedmiotem ogólnych żartów, ale to jej wcale nie odstraszało, ani się też na nikogo za to nie obrażała. Toć to już dla niej chleb powszedni. Janek się też z innymi śmiał, a swoje, ma się rozumieć, robił.

A miał już wtedy z górą 200 zuchów. Zatrzymawszy dla siebie tylko główne dowództwo, podzielił ich na 20 małych oddziałów. Każdy z nich sam sobie wybrał wodza, który mając zupełną swobodę działania, miał tem samem szerokie pole do okazania swych zdolności.

Takie urządzenie tembardziej się wszystkim podobalo, że dowódcy z pośród siebie mieli później wybrać zastępcę Janka, na wypadek jego śmierci.

Dochodziły też jednocześnie słuchy, że i w innych stronach kraju także się tworzą podobne oddziały. A nawet, pod koniec zimy, kilka z nich przysłało do Janka z prośbą, aby i nad nimi również objął dowództwo.

Janek, po naradzie z ojcem i Maryą, chętnie się na to zgodził, pod warunkiem jednak, że zgodzą się na taki sam porządek, jaki on w swoim już zapro-

wadził. Rozumie się, że zostawiono mu swobodę działania.

W ten sposób Janek ujrzał się niebawem na czele dość poważnej siły, która odpowiednio użyta, mogła już w danej chwili niemało zaważyć na szali losów całego nawet kraju.

Tak rzeczy stały, kiedy pewnego poranku zjawia się jakiś starzec na osiołku.

Nikt w pierwszej chwili nie poznał rabiego Ben Menasseh. Zaledwie rok dopiero od jego ostatniej bytności upłynął, a co się to z tym człowiekiem porobiło. Broda mu do reszty pobieliała, oczy zapadły, wychudł, wynędzniał, zdawało się, że go lada wietrzyk przewróci. Gdyby mu Janek nie podskoczył na pomoc, nie byłby może nawet zdolny o własnej mocy zesiąść.

Kiedy zaś przy stole Szymon go zapytał: co słyhać? starzec pokiwał tylko głową

— Spojrz na mnie — rzekł — a masz gotową odpowiedź. Jadę z Jerozolimy. Żle tam, źle. Oczywiście wyplakałem nad jej smutnym losem.

— Mówcież rabi, mówcie — prosi Szymon. — I do naszych uszu dochodzą tu okropne posłuchy, ale się wierzyć nie chce, aby to mogła być prawda.

— Jeżeliście coś najgorszego słyszeli — odpowiada rabi — toście jeszcze nic nie słyszeli. Bo słów zamało na opisanie tych wszystkich zdrożności, jakie się tam teraz dzieją. I pomyśleć tylko, że to nie dziełem żadnego wroga, ale własnym, naszym własnym jedynie. Rodzone dzieci kopią grób dla matki. Ale wybaczenie, jestem tak wyczerpany, że prawie omdleвам. Muszę przede wszystkim wypocząć, a potem wam od a do z opowiem. Chciałbym się trochę przespać, bo już trzeci dzień kości

moje nie dotknęły łożka. Trzeci dzień, tak, tak. To trochę zawiele, jak dla takiego starca.

Szymon go zaraz do sypialni odprowadził, i na wygodnem pościeliu ułożył.

Rabi spał twardo, aż do wieczora. A kiedy znów znalazł się w gronie domowników, którzy z wielką ciekawością uszu nadstawiali, już pokrępił nieco, jął rozpowiadać

— Możecie już cokolwiek zasłyszeli — mówi — ale nie mogliście słyszyć o wszystkim, ani też nagiej prawdy. Bo trzeba wam wiedzieć, że nikogo z miasta nie wypuszczają, pod pozorem, że kto je pragnie opuścić, to zapewne z zamiarem połączenia się z rzymianami. Jest to, naturalnie, tylko wybieg, nic więcej, bo w gruncie rzeczy, chodzi im oto, aby się w kraju nie dowiedziano o ich własnem postępowaniu. Ja sam, tylko dzięki przekupstwu Jana z Giszali, wydostałem się za mury. A i to by może nie pomogło, ale na szczęście, znaleźmy się z dawnych lat, kiedy go jeszcze z całych sił popierałem, bo mi się zdawało, że to będzie jeden z najdzielniejszych obrońców kraju; a któż mógł wtedy przeczuć, że stanie się jego gnębicielem, może nawet sroższym, niż najsroższy z trybunów rzymskich.

Dochodziły nas wprawdzie posłuchy o strasznych rzeziach w Galilei, ale nikt nie znał całej prawdy. A po zdradzie Józefa, Jan, jako jego przeciwnik, urósł w naszych oczach. Kiedy więc przyszedł z zapewnieniem, że przychodzi walczyć przeciw rzymianom, lud witał go okrzykami radości. W krótkce jednak srogośmy się rozczarowali. Bodaj, że zajęcie miasta przez rzymian, byłoby lepsze niż jego opieka.

A trzeba wam wiedzieć, że w owym czasie, bandy rabusiów, którzy się sami Zelotami nazywali, grasowały po kraju, paląc, rabując, mordując, niby



za karę sprzyjania rzymianom. Z tego powodu mnóstwo wieśniaków uciekało do Jerozolimy. A kiedy nie było już ani co rabować, ani też kogo zabijać, wtedy i rabusie także zaczęli pojedynczo do miasta ściągać.

A wiadomo wam chyba, że bramy zawsze, dla każdego stoją otworem. Nie broni się wstępu nawet uzbrojonym, przypuszczając, że przychodzą pomagać przeciw napaści rzymian.

Tak więc rabusie, bez przeszkody wszedłszy do miasta, zaraz się tam połączyli, aby uciemieżyć spokojnych mieszkańców. Rabowano i zabijano wprost na ulicach, i to nawet w biały boży dzień; nikt we własnym domu nie czuł się bezpiecznym, wciąż oczekując napaści.

Tak porwano kilku z rodziny królewskiej; Antipas, Lewias i Safias, osadzeni w więzieniu i zamordowani. Niemniej wielu innych dostojników, padło ofiarą ich chciwości.

Ci sami zeloci, przemocą mianowali najwyższym kapłanem jakiegoś Phanniasza, zwyczajnego kapłana z prowincyi, zgoła nieodpowiedniego na tak wysokie stanowisko. Do żywego to wszystkich oburzyło. Ananus więc, jeden z najstarszych kapłanów, mąż wielce pobożny i ogólnie szanowany, zgromadziwszy lud, wezwał go do obrony przeciw takiej tyranii; zwłaszcza, że zeloci znieważyli świątynię, która im teraz za obóz służyła.

Lud tedy za broń pochwycił; ale zanim zdołał się należycie do walki przygotować, zeloci nań pierwsi uderzyli. A jako bardziej z rzemiosłem wojennem obyci, z początku już nawet zaczęli brać górę; ale w końcu, ulegając przewadze liczebnej, musieli szukać ratunku w świątyni. Lud wdarł się nawet na jeden z jej dziedzińców. Wtedy zeloci, cofnąwszy się dalej, zamknęli bramy. Ananus

byłby ich z pewnością i ztamtąd wykurzył, ale widząc mury krwią zbryzgane, bał się gniewu Boga, i dał im pokój, zostawiwszy tylko 600 zbrojnych na straży.

Tak rzeczy stały, kiedy się pojawił Jan z Giszali. A ponieważ od razu oświadczył się za partją Ananusa, więc przypuszczony do rady, jednocześnie cichaczem znosił się z zelotami, zdradzając im wszystkie jego plany.

Chociaż go już zaczęto podejrywać, mimo to jeszcze mu uwierzono, gdy sam się ofiarował pójść i namówić zelotów do poddania.

Ale zamiast tego, owszem, przeciwnie, zastraszył ich, że skoro tylko broń złożą, zostaną w pień wycięci. Radził im nawet, aby wezwali pomocy edomitów, ludu pochodzenia arabskiego, ale od czasu klęski pod Hyrcanus, zostającego pod jednym berłem z Judeą.

Wodzowie zelotcy, Eleazar i Zacharyasz, czując że oni pierwsi w takim razie padliby o fiarą zemsty poszli za radą zdradzieckiego Jana.

Edomitom uśmiechała się nadzieja rabunku w bogatej Jerozolimie; natychmiast więc pospieszyli tam we 20 tysięcy.

Ale chociaż pojawienie się tych nowych a niepożądanych gości, było zupełną dla miasta niespodzianką, to jednak Ananus zdążył jeszcze przed nosem im zamknąć bramy i mury obsadzić.

Wtedy Jezus, towarzysz Ananusa, przemówił do nich, dając do wyboru: albo się połączą, aby wspólnymi siłami ukarać rabusiów, znieważających świątynię; albo wejdą do miasta bez broni, i działać będą jako pośrednicy; albo też wreszcie odejdą, zostawiając miasto w pokoju.

Wtedy Szymon, wódz edomitów oświadczył, że gotów stanąć po stronie prawdziwych patryotów,

a przeciw tym, którzy się zjawiają, aby lud wydać w ręce rzymian.

Wobec takiej odpowiedzi, nasi radzili: co zrobić; ale dla bezpieczeństwa, zdwojono straż, aby zapobiedz porozumieniu z zelotami.

Tymczasem zrywa się straszna burza, i edomici, wtargnąwszy do miasta, wprost uderzają na ową straż przy świątyni. Straż wzięta we dwa ognie, ulega. Zginęło tam z górą 8000 najlepszego żołnierza.

Po tak krwawem zwycięztwie, dzika tłuszcza załaza miasto. Zaczyna się rabunek i mordy. Zginął wtedy Ananus.

Niepowetowana to strata; bo był to mąż wielkiego charakteru i jedyna głowa. Stał na czele partyi pokojowej, ale mimo to, starał się miasto uczynić niezdobytym, aby tem korzystniejsze wyjednać warunki pokoju.

Przez kilka dni trwała taka pohulanka. Zginęło do 12,000; padł sam kwiat narodu. Najlepszą młodzież zeloci torturami zmuszali do wstąpienia w ich szeregi, ale żaden tego nie uczynił; każdy wolał raczej śmierć niż taką hańbę.

Prócz tego, złożyłwszy trybunał z 70 najwybitniejszych obywateli, stawili przed nim Zachariasza, syna Barucha, pod zarzutem jakoby konszachtów z rzymianami. Gdy mu jednak niczego nie dowiedziono, trybunał go od winy uwolnił.

Zeloci rozgniewani takim zuchwalstwem, sami Zachariasza zamordowali, a sędziów świątyni wyrzucili.

Tymczasem już i edomitom widać było tego zawiele, bo oświadczywszy, że ich zeloci w pole wywiedli, gdyż nie widzą ani śladu, nawet zamiaru zdrady, opuścili miasto; pierwiej jednak uwolniwszy z więzień do 2000 ludzi, którzy połączyli się z Szy-



## ROZDZIAŁ XIV.

### Walka z samym sobą.

Rozeszli się w milczeniu.

Szymon długo zasnąć nie mógł. Wciąż stawały mu na oczach krwawe sceny; wciąż brzmiało w uszach owo straszne: Nikogo!

— Czyżby ten człowiek — myśli — wcale jeszcze nie wiedział o Janie z Gamali? Czyż sława tego męża, nie przedarła się jeszcze do murów świętego miasta? Czy to podobna, żeby tam nic o nim nie słyszano? To być nie może. Przecie już cały świat o nim tylko mówi.

A więc i stary Szymon, zresztą najzacniejszy, najrozsądniejszy pod słońcem człowiek, dał się porwać i oślepić miłości ojcowskiej. Dla niego Janek był teraz największym z ludzi. Więc to mu się zgoła w głowie pomieścić nie mogło, że ktoś, że nawet taki rabi, może o tem nie wiedzieć. Bo tego już nawet ani przypuszczał, aby wiedząc, pomijał go rozmyślnie.

I dotknięty w swej dumie, mimo woli czuł do niego pewien żal. Rozumiał nawet, że niesłusznie, a jednak nie mógł się tej myśli opędzić.

Marya również prawie do rana nie spała. Doświadczywszy już na samej sobie skutków pożogi

wojennej, tem żywiej odczuła ogrom tej niedoli tylu tysięcy cierpiących kobiet i dzieci. Nie mogła o tem bez łez pomyśleć. Nieomal więc całą noc przepłakała.

Co zaś do Janka, to ten wzburzony, długo po ogrodzie chodził, wcale nawet nie czując nocnego chłodu. Siadłszy wreszcie na kamieniu przed domem, zapatrzony w gwiazdy, rozważał, co mu czyścić wypada.

Już słońce dość wysoko wypłynęło, a Marya jeszcze go tak samo zatopionym w myślach znalazła. Ocknął się z tej zadumy dopiero wtedy, gdy położywszy mu rękę na ramieniu, rzekła:

— Janku!

Drgnął, jakby za dotknięciem iskry elektrycznej.

— Ty już tu, Maryo?

— A ty jeszcze tu? Nie mogłam spać. I tobie wcale się nie dziwię. Chociaż lepiejby może nie narażać zdrowia bez potrzeby.

Machnął ręką.

— E, co tam. Nic mi nie będzie. Przywykłem.

— Więc cóż?

Janek przetarł czoło.

— Wszystko dokładnie rozważyłem — rzecze — ale nie widzę, aby to w czemkolwiek miało wpływać na zmianę moich planów i zamiarów. Rozumiem obowiązki względem rodziców i względem ciebie, i wierz mi, z ochotą bym w domu pozostał, gdyby one były w zgodzie z obowiązkiem względem kraju. Powiem ci nawet, że nieraz muszę walkę z samym sobą toczyć, tak mnie coś tu ciągnie i kusi, żeby przy was pozostać; ale czuję, że nie byłbym wtedy szczęśliwym, bo nie mógłbym nim być, niemając czystego sumienia, a nie mógłbym go

mieć, niespełniwszy swej powinności wobec mego narodu.

Ale nie sądz, abym i ja wierzył w jakieś boskie posłannictwo moje, o którym ludzie opowiadają, w przekonaniu żeś przeznaczony na zbawcę Izaela. Prawda, żeś doznał szczególnej opieki i pomocy Boga, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Same jednak takie wieści, już mi się cofnąć nie pozwalają, boby to odebrało ducha innym. Zacząłem, muszę iść dalej; cofać się już niepodobna. Zresztą, Bóg przecie miłosierny, może nas tylko za grzechy tak karze i doświadcza, ale w końcu się ulituje. Wprawdzie pozwolił na znieważenie swej świątyni, ale nie dopuści do jej zagłady.

A więc złe czyny złych ludzi, nie mogą nas uwolnić od naszych obowiązków. Każdy żyd zawsze powinien być gotów w potrzebie życie poświęcić w obronie tych drogich murów. Bo dopóki tej świątyni, dotąd jeszcze nikt nie może mówić, że Bóg się już całkiem od swego ludu odwrócił.

Dlatego też nic mnie nie powstrzyma od tego, com zamierzył. Pójdę walczyć z rzymianami i uczynię wszystko, aby nie dopuścić do zagłady.

Zdaje się jednak, że wojna przeciągnie się dłużej niż myślałem. Wespazyan bowiem, wiedząc od takich jak rabi, co się teraz w Jerozolimie dzieje, woli zapewne czekać, aż w bratobójczych walkach, wszystkie wyczerpiemy siły. Dziś jeszcze może się obawiać rozpaczliwej obrony, straszniejszej niż Jotapaty lub Gamali, zwłaszcza, że i sama twierdza bez porównania silniejsza, ale ma nadzieję, że...

— Tegom po tobie oczekiwała — przerwała Marya z zapalem — Byłam nawet nieomal pewną takiego postanowienia, boś ty zaszlachetny i zbyt mężny, abyś się miał cofać. A gdybyś się, broń Boże, cofnął teraz, to wiedz, że wtedy ja pierwsza



odwróciłabym się i niechciałabym cię już więcej na swoje oczy widzieć, choćby mi nawet serce miało pęknąć z żalu. Ja cię wielbiłam jak bożyszczce, nie wiedząc jeszcze, że to ty niem jesteś; dziś nieznoślabym, abyś w moich i cudzych oczach miał spaść z tej wysokości nisko, bardzo nisko, na zwyczajnego tchórza, który w obawie walki, cofa się z połowy obranej drogi, i tysiące innych z sobą odciąga. Wolałabym raczej całe życie płakać, niż gdyby o moim wybranym miał świat powiedzieć: oto człowiek, który miał być zbawcą ludu, a upadł. Dzięki ci przeto, żeś postanowił jak przystało bohaterowi.

— Nie, to ja raczej tobie dziękuję — zawołał rozrzewniony Janek, pochwycawszy jej ręce w obie drżące dłonie — Ja tobie, ja tobie. Nie uwierzysz jaką rozkoszą te słowa mnie napełniają, jaki balsam sączą do mej zakrwawionej duszy. Bo wiedz, że chociaż tak postanowiłem, ale nie przyszło mi to łatwo. Tyle pokus, tyle pokus ciągnęło, aby zostać. Ale teraz, skoro i ty mówisz to, co mi sumienie mówiło — rzecz skończona. Idę.

— A w Bogu nadzieja — rzekła uroczyście Marya — że znów do nas wrócisz, wrócisz większą jeszcze okryty chwałą, wrócisz jako zwycięzca, a zdrow i szczęśliwy. Wierzę, że cokolwiek się stanie, Bóg wielki zachowa cię dla mnie. Bo któż to, jak nie on, i dla kogóż, jak nie dla kraju i nie dla mnie, ocalił cię z pogromu Jotapaty? A jeżeli wtedy wysłuchał moich gorących modlitw, to ich wysłucha i teraz. Idź więc, ja się tu będę za ciebie modlić, będę pocieszać matkę.

— I ja wierzę, że on twych modlitw wysłucha; wierzę, że znów do was powrócę, chociaż bądź pewną, że życia mego oszczędzać nie będę.

Dopóki rzymianie pod mury Jerozolimy nie po-

ciągną, zapewne często będziemy się mogli widywać. Ale nawet w przeciwnym razie, zawsze i wszędzie myśli o tobie będą ze mną, i nigdy nie zapomnę, że jest na ziemi anioł, który także myśli o mnie i modli się za mnie.

— I to ci także przyrzekam, że chociaż, jak powiedziałem, nie myślę życia oszczędzać, to jednak nie będę się też bez potrzeby na niebezpieczeństwa narażał. I skoro tylko spostrzegę, że daremnym byłby dalszy opór, wtedy powrócę do ciebie, w przekonaniu, że spełnił wszystko, co było moim obowiązkiem wobec kraju i świątyni.

— Bo też nikt nie ma prawa od ciebie żądać więcej — przerwała Marya. — Co do mnie, będę cierpliwą; a byleś wrócił, to choć by kraj cały, razem ze świątynią, w gruzach leżał, powiemy jeszcze, że Bóg miłosierny, nawet wtedy, gdyby jako wygnańcom, przyszło nam schronienia szukać gdzieś wśród obcych — byle razem i z czystym sumieniem wobec Boga i ludzi.

I tak rozprawiając, długo jeszcze po ogródku chodzili razem z dłonią w dłoni.

Tymczasem i Szymon też powstał, a słysząc już kroki w izdebce rabiego, wszedł, aby mu powiedzieć dzień dobry. A dręczony ciekawością, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zaraz po zwykłych powitaniach, rzucił mu pytanie: czy słyszano też w Jerozolimie o głośnym Janie z Gamali.

— Tak, trochę, — odpowiedział rabi prawie obojętnie. — Nazwisko to nawet dość często obijało się nam o uszy, ale co właściwie ten człowiek zrobił, tegośmy dowiedzieć się nie mogli, i, co prawda, jeszcze do dziś nie wiem.

Mówiono mi wprawdzie po drodze, ale takie jakieś dziwne historye, że i powtarzać nie warto. Ot, zwyczajnie prości ludzie. Zresztą gdzie skutki

tych czynów. Gdyby rzymian wypędził, a, to rozumiem.

— Rzymian nie wypędził — przerywa mu Szymon — bo nie mógł, mając tylko garść małą; ale nie mniej to, co zrobił, nie jest znów taką bagatelką.

I tu opowiedział wszystko szczegółowo. A widząc, że rabi teraz już się inaczej na to patrzy, z tajemniczym uśmiechem zapytał:

— A czy też wiecie, czy choć domyślacie się, kto to być może ów pogromca Rzymu, zwany Janem z Gamali? Wiecie?

— Zkądżeż mam wiedzieć? Może jego imienik z Giszali wiedział, ale czyż on by nam cokolwiek powiedział?

— Ani on, ani żaden z tych opryszków, a tem mniej rzymianie. I wogóle nikt oprócz jego towarzyszów i może paru innych, a między tymi i mnie.

— Więc któż? jeśli i mnie wolno wiedzieć.

— Wam, ojczy, wolno. Czemużby nie. A nawet muszę powiedzieć, bo właśnie chciałem prosić o radę.

— Więc?

— To mój Janek.

Rabbi stanął jak wryty, nie wiedząc, czy to żart, za który gniewałby się należało, ponieważ teraz wcale nie pora na żarty; czy też Szymon rozum postradał.

A Szymon widząc jego głupią minę, serdecznie się rozweselił.

— Tak, tak — powtarza. — On to, on, ten dzieciak. Powinszuj mi, rabbi, takiego syna.

— Jak to? więc naprawdę?...

— Tak, naprawdę.



— Na prawdę to dziecko, które ja wczoraj jeszcze po ramieniu klepałem?

Szymon się zaśmiał, ogromnie ze siebie zadowolony.

— On, on — potwierdza z naciskiem. — Prawda? nigdybyście, rabbi Ben Mennasseh, tego nie przypuścili...

— Nigdy, nigdy... Taki skromny, wcale nie wygląda na bohatera... Mówisz mi, synu, więc muszę wierzyć, ale gdyby mi to ktoś inny powiedział...

— Myślelibyście, rabbi, że zwaryował? Nie prawdaż?

— Prawie — przyznaje rabbi z uśmiechem, wyciągając rękę do uszczęśliwionego ojca. — Ale skoro prawda, no, to ci mój synu serdecznie winszuję takiego szczęścia.

Rabbi, naturalnie, już inaczej teraz na Janka patrzy. Często nawet godzinami z sobą rozprawiają o tem co się stało, i co czynić należy. Szymon go bowiem nie chciał od siebie puścić, twierdząc, że musi wypocząć i nowych nabrać sił do pracy, która go jeszcze czeka.

Jakoż otwierało się do niej pole, bo doszły wiadomości, że się już rzymianie znów ze swych legowisk zaczynają ruszać. Janek też zaraz w nocy kazał na najwyższym wzgórzu przygotowany już suchy chrust podpallć.

Było to umówione hasło dla spiskowych. W tej chwili naokół zabłyśły ognie; młodzież zaczęła tłumnie zewsząd ściągać. W parę dni były już na miejscach wyznaczonych wszystkie drużyny zgromadzone, gotowe na rozkazy ulubionego wodza.

A z jego polecenia, każdy przyniósł z sobą żywności na tydzień. Bo chociaż ten, kto za kraj walczy, ma też prawo i żyć jego kosztem, ale Ja-

nek, obawiając się, aby go nie brano za podobnego do innych rozbójnika, za warunek to kładł każdemu z ochotników; biedniejszych zaś nawet sam, z własnej kieszeni, w żywność i pieniądze zaopatrywał. Nie dziw przeto, że i u ludności i u swych podkomendnych budził coraz większą miłość i szacunek.

Przekonawszy się, że jego własny oddział w zupełnym porządku, następnie inne, jeden po drugim, kolejno odwiedzał, wszędzie z zapalem witany i niemniej przez wszystkich gorąco żegnany, chociaż przedewszystkiem karność przestrzegał, co się zazwyczaj młodym niebardzo podoba.

— Karność — mówił — więcej znaczy niż liczba. Żołnierz więc powinien dla kraju poświęcić nietylko życie, ale także i swoje ja, swoją wolę, i ślepo słuchać, choćby mu się nawet rozkaz zdawał nieodpowiednim.

Jest to konieczne, zwłaszcza przy takim sposobie prowadzenia wojny. Od tego zależy nasze powodzenie. Naczelnik każe iść, trzeba iść; każe uciekać, trzeba uciekać. A niech taka ucieczka nie osłabia w was ducha, bo to nie pochodzi z tchórzostwa, ale ztąd, że na tem właśnie polega sposób walki.

My przecie musimy tylko wciąż przeciwnika szarpać, wciąż go niepokoić, niedając mu ani chwili wytchnienia; nigdy zaś nie staniemy do otwartej z nim walki. Rozproszeni więc na małe oddziały, zmusimy go także do rozdrobnienia sił. Wyjątkowo tylko może i nam wypadnie łączyć się i działać razem; głównie jednak każdy oddział ma działać na własną rękę, chociaż w porozumieniu z innymi. A trzeba uderzać tam i wtedy tylko, gdy się tego rzymianie najmniej spodziewają, myśląc żeśmy w innej okolicy; a zniknąć im z oczu, gdy będą na

nas większą siłą następować. Tylko w ten sposób możemy coś osiągnąć; inaczej trudno by im podolać.

Taki plan Janka niezmiernie się wszystkim podobał. A Janek poprostu wywołał zachwyt ogólny. Powszechnie mówiono: Oto mąż, jakiego nam potrzeba. On jeden może nas zbawić.

A nikt nie zarzucał, że zbyt młody, tyle sobie umiał nadać powagi. A zresztą wszystkim przecie znane z historii liczne podobne przykłady, jak braci Machabejczyków i tylu innych wodzów, którzy prawie dziećmi będąc, umieli wielkich rzeczy dokonać. Taki Samuel, Saul, Dawid — wszystko to byli tylko młodzieńcy. A Janka przytem otaczał urok cudownego nieomal ocalenia z pogromu Jotapaty, jak niemniej jego szczęśliwie dokonanych już wypraw. Zresztą wszyscy tam byli młodzi, bez najmniejszego pojęcia o wojnie, żaden też nie rościł sobie większych pretensyi, a nie mogąc jego miejsca zająć, nie mógł mu tem samem zazdrościć.

Wogóle też musimy powiedzieć, że inni wyżej go cenili, niż on sam o sobie sądził. Przypisywano mu wprost posłannictwo boskie, ale on, co najwyżej, uważał się tylko za słabe narzędzie woli Boga, bo zresztą każdy jest w Jego ręku narzędziem tylko.

Już i takie przypuszczenie było może nie właściwym, ale należy pamiętać, że w sercu każdego żyda, głęboko zakorzenioną jest wiara, że Bóg szczególnie opiekuje się wszystkimi ich sprawami, jako narodu wybranego i nadewszystkie umiłowanego. Ztąd też w historii, każdy wypadek przypisany tej Jego opiece.

Nic zatem dziwnego, że i Jankowi mogło się chwilami zdawać, jakoby dano mu, jeżeli nie zbawić lud, to przynajmniej coś nadzwyczajnego dokonać.



U innych zaś tem łatwiej wyrobiło się przekonanie, że działa z rozkazania bożego.

Bądź co bądź, mimo młodego wieku, Janek, zażywał wielkiej powagi, nawet i u starszych w nie-małym był zachowaniu. Zaraz pierwszy rabbi Ben Menasseh bardzo był uważny w obec niego, co mu też dużo dodawało uroku w oczach pod-władnych.

Mimo to Janek, niekorzystając z tego wpływu, i niechcąc działać samowładnie, zaczął od zwołania wszystkich dowódców na wielką radę wojenną.

Postanowiono tedy, nie zwracając uwagi rzy-mian zgromadzonych w Scytopolis, przejść Jordan i zająwszy wzgórza na granicy Samaryi, ztamtąd mieć na oku obóz Wespazjana w Caesarei.

Mieli tu na względzie także i to, że płaska oko-lica, mniej nastęrczała sposobności do różnych zasa-dzek; a przytem jazda rzymska mogłaby skuteczniej przeciw nim działać.

Stosownie więc do ułożonego planu, bez szcze-gólnych trudności, przeprawiwszy się przez Jordan, pospiesznym marszem o świcie zajęli owe wzgórza, z których już w niewielkiej odległości, widać było morze i Caesareę. Ale na nic się ten cały pierwszy trud nie przydał, bo właśnie dniem pierwszej Wespazjan już wyruszył, aby połączywszy się z legią ze Scytopolis, uderzyć na Gadarę, główne miasto pro-wincyi Perea.

Przyszło więc czempzędziej wracać, co też Ja-nek bez straty czasu rozkazał, ale już nie razem, lecz różnemi drogami, aby nie budzić czujności prze-ciwnika.

Nie zdążył jednak uprzedzić połączenia obu wojsk. Wespazjan tedy bez żadnej przeszkody z całą siłą ciągnął ku Gadarze.

Tak niespodziewanem pojawieniem się rzymian zaskoczeni zwolennicy wojny, w popłochu opuścili miasto; pozostali zaś obywatele, zaraz wysłali deputacją z oświadczeniem uległości.

Wespazyan tedy bez żadnego trudu opanowawszy ten kraj, zostawił tylko załogę, Placydusa z 500 jazdy i 3000 pieszych wysłał w pogoń za uciekającymi, sam zaś wracał do Caesarei.

Ale opłakany był to pochód. Dniem i nocą musiał się mieć na baczności, bo Janek ani chwili nie dawał mu spokoju. To na tabor napadnie, ludzi i zwierzęta pozabija a czasem nawet i wozy podpalili; to znów coś na skrzydle urwie albo inną jakąś psotę wyrządzi. Już nawet i tak bywało, że w nocy, posprzątawszy strażę, w sam środek obozu cichaczem wpadnie, śpiących namorduje, czasem nawet ogień podłoży i w nogi. A teraz szukaj zuchwalca! Tyle co szukać wiatru w polu.

A już najgorzej, ile razy droga jakimś wąwozem wypadnie. Wtedy sypią się z gór kamienie i strzały, a ręki, która je rzuca, nie widać.

W ten sposób Janek z bardzo małą stratą, ubił więcej niż półtysiaca rzymian, a koni i bydła co nie miara. Ale mimo takiego powodzenia, nie mógł odżałować, że włókł się za Wespazyanem, zamiast wsiąść na pięty Placydusowi. Byłby może zapobiegł przynajmniej nowej a dotkliwej klęsce. Ale niestety, było już za późno, kiedy wiadomość o jego pochodzie nadeszła.

Placydus tymczasem dopadł uciekających w miasteczku Bethenabris, a wciągnąwszy ich w zasadzkę, pobił na głowę. Niedobitki, szukając ratunku, rzuciły się ku Jordanowi; ale wskutek wylewu, nie mogąc się przeprawić, wpadły w pułapkę. Zginęło tam coś 15.000 a 2000 dostało się do niewoli.

Zwycięzca był teraz panem całej Perei i brzegów morza Martwego aż do Macherus.

Wespazyan również, z biedą przywłókszy się do Caezarei, opanował zaraz Antipatris, Lyddę i Thamnę, a Emmaus obległ. Ztąd posuwając się na południe, cały kraj ogniem i mieczem spustoszył aż do granic Edomu, zajmawszy przytem Betaris i Caphartobas, gdzie padło do 10,000 mieszkańców.

W Jericho nakoniec, połączywszy się z Placidusem, czynił już przygotowania do pochodu na Jerozolimę, gdy wtem nadchodzi wiadomość z Rzymu o śmierci Nerona.

Niespodziewany ten wypadek spowodował zmianę planu działania. Wespazyan bowiem, chcąc mieć wolne ręce, poniechał na teraz zamiaru oblężenia Jerozolimy.

Janek, wysławszy część swych sił do Perei, aby tam Placidusa szarpać, sam z resztą wciąż wisiał na karkach wojsk Wespazyana. Z chwilą zaś, gdy się obaj połączyli, i on swoich ściągnął, aby razem, ile można, tamować im drogę do stolicy. Wobec jednak zaszłej zmiany, i on uznał za właściwsze, rozpuścić swe drużyny z tem, aby wszyscy byli gotowi znów na każde zawołanie w pole wyruszyć.





## ROZDZIAŁ XV.

### Spotkanie.

Janek wprawdzie powrócił w domowe progi jeszcze nie jako pogromca, ale zawsze większą okryty chwałą. Nie przeszkodziło mu to jednak po dawnemu ojcu w gospodarstwie pomagać; owszem, z ochotą go we wszystkim wyręczał, o ile mu tylko obowiązki wodza pozwalały na to.

A trwało to tak coś ze dwa lata; bo że Wespazyan siedział cicho, więc też nie było po co w pole wyruszać.

Wespazyan widocznie łudząc się nadzieją spełnienia przepowiedni Józefa, wciąż jeszcze cierpliwie czekał, choć go już nieraz w tym czasie sposobność ominęła. Bo najpierw uprzedził go Galba, potem Oton, aż i tego zepchnął z tronu Witelius — ale któż przewidzi: długo to będzie tego panowania. Wespazyan śnać licząc, że i ten długo nie usiedzi, wolał chwilowo obłączenia Jerozolimy poniechać, aby na wszelki wypadek mieć zupełnie wolne ręce. Wiedział bowiem, że z Jerozolimą nie łatwa będzie sprawa, może się Bóg wie dokąd przeciągnąć, a tu mu pewno lada chwila przyjdzie do Rzymu pospieszyć. Siedział więc spokojnie w Caesarei.

Raz tylko, przez cały ten czas, jakby z nudów dla rozrywki czy dla oka może, urządził sobie w r. 69 małą wyprawę do południowej Judei a Ce-realisa posłał do Edomu.

Janek więc także swoich zaraz ściągnął i znów idzie w taniec.

A wiodło mu się niegorzej jak przedtem. Raz tylko noga mu się powinęła.

Było to w okolicy Hebron. Wespazyan wtedy obozował w Hebron a Tytus nieopodal w Carmelji.

Janek często się puszczał sam, bez nikogo, gdy mu chodziło o dokładniejsze poznanie położenia kraju. Swoim więc zwyczajem, i teraz się odciął aby zobaczyć drogę łączącą te miasta.

Droga ta wiła się wężem wśród gór, przez doliny i urwiste wąwozy. Aby ją zobaczyć po za jednym z licznych zakrętów, trzeba było przejść na drugą stronę.

Janek więc zręcznie i szybko jak koza spuszcza się po skałach. Ale zaledwie, że na dole stanął, a tu słyhać, za złomem, tuż nieopodal, parsknięcie konia.

Nie było już czasu do stracenia. Cofać się zapóźno. Zdażył jednak stanąć za skałą i patrzy. A tu jakiś jeździec. Po koniu i bogatej zbroi znać, że to mąż znakomitego rodu.

Na ten widok Jankowi aż oczy zaświeciły; wystąpił z po za skały.

Rzymianin, zatrzymawszy konia, rzucił okiem na góry, a widząc, że ma tylko z jednym, i to w stal nie zakutym, do czynienia, uśmiechnął się lekceważąco, i jakby dla zabawki, wcale się nie spiesząc, wymierzył rohatyną.

Janek uskoczył w bok, a pocisk skruszył się na głazie.

Z kolei teraz Janek rzucił swoją. Ale i jego rohatyna zadzwoniła tylko o stal bez żadnej dla przeciwnika szkody.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Dobrze mierzysz, żydzie — z uśmiechem zauważył rzymianin, i znów rzuca.

Tym razem nie było już czasu w bok odskoczyć; ale Janek nadstawił tarczę w ten sposób, że rohatyna po niej się ześlizgnęła.

Natomiast Janek teraz, bez straty czasu, podskoczył bliżej i rzuca powtórnie. Drugi ten cios był skuteczniejszym. Ugodziwszy konia w miejsce nieosłonięte, zwalił go od razu z nóg.

Jeździec upadł także. Ale zanim szczęśliwszy przeciwnik nadbiegł, zdążył już powstać i miecza dobyć.

Teraz dopiero zaczyna się prawdziwy taniec.

Ciężko uzbrojony rzymianin, stoi w miejscu, groźny i niedostępny; kiedy natomiast lekki i zwinny Janek, wokół niego wciąż skacze, czyhając na sposobność zadania ciosu.

Już mu się to nawet kilka razy udało, ale prawie bez skutku, bo miecz tylko dzwonił i szczybił się na twardej stali nieomal daremnie, gdyż raz mu zaledwie lekką ranę zadał; a nawzajem i Janek został też draśnięty. Rzymskie żelazo końcem tylko twarz mu przecięło. Krew obficie broczyła, ale Janek taki zapalony, że nawet o tem nie wiedział.

Rzymianin, choć się tylko na miejscu opędzał, już go jednak siły opuszczały; ale i Janek też ledwo dyszał. Mógł wprawdzie każdej chwili, walki poniechać, i bez obawy pogoni, odejść, lecz to mu ani przez myśl nie przeszło, tak się zaciętrzewił, pewny zresztą swej przewagi. Ale właśnie dlatego tem łatwiej mógł zostać pokonanym, bo zwykle



w takich razach, najczęściej właśnie zimna krew zwycięża.

A rzymianin stał jak posąg, niewruszony, spokojny, bacznie tylko śledząc każdy ruch przeciwnika. Znać, że to w bojach zaprawiony stary gracz nielada. Oszczędzając sił, których mu już zresztą niewiele zostało, prawie wcale nie atakował i ograniczał się na obronie tylko, jakby w oczekiwaniu, że prędzej czy później, gorący i niecierpliwy Janek, zrobi jakiś ruch fałszywy i da mu sposobność zwycięstwa.

Tymczasem Janek, upatrzawszy sobie chwilę, udał, że chce mu zabiedz na lewo, a raptem zawraca w prawo i rzuca się naprzód, aby go powalić.

Ale szczywany rzymianin, chociaż znienacka zaskoczony, zawraca także i zdążył napastnika płątnąć przez głowę; sam jednak w nagłym zwrocie traci równowagę i pada.

Jankowi krew oczy zalała, ale mimo to, rzuca się na bezbronną już ofiarę i dusi co sił. A potem dobywa noża i do gardła go już przykłada.

Pokonany wcale się nie bronił — nie mógł czy nie chciał, i milczał uparcie. Teraz dopiero, czując już zimne ostrze noża, prawie omdlały wyszeptał:

— Zabij, zabij, żydzie bom ja... Tytus.

Jankowi omal nóż z ręki nie wypadł. W głowie mu szumiały te słowa, jakby straszna burza, albo jak najśłodsza muzyka. I zdało mu się że teraz w jego ręku losy całego kraju, całego ludu i świątyni.

W pierwszej chwili jedna go tylko myśl opadowała i coś mu szeptało: Uderz! Uderz! no, dalej! skończ z nim nareszcie. Wszak on twoich braci mordował, twój kraj w pustynię zamienił! Wszak to on twoją świątynię chce zburzyć... No,

prędzej, zapłać mu teraz za tyle krwi niewinnej, tyle łez wylanych.

Ale ręka nieposłuszna temu głosowi, jakby bezwładna, niezdolna do mordu.... Nie mógł go zabić.

— Więc bierz go w niewolę — głos wołał — Tytus jeńcem w waszem ręku! A toż to znaczy tyle, co wojnę zakończyć, lud ocalić... Wespazyan przecie wszystko uczyni, byle syna ratować...

Ale Janek tem mniej do tego czuł siły... cały świat się z nim kręcił, w oczach mu pociemniało... Nie, o niewoli nie mogło być mowy. Chwilę więc jeszcze zwlekał, jakby się chciał napaść widokiem swej ofiary, a potem, z całym wysiłkiem woli zawołał:

— Przysięgnij mi na swoje bogi, że ocalisz naszą świątynię. Przysięgnij zaraz, bo inaczej, po tobie.

Nastąpiła chwila milczenia.

Janek czekał, a potem znów powtarza z naleganiem:

— Przysięgnij, mówię, bo zginiesz.

— Przysięgam — wyszeptał Tytus — przysięgam uczynić wszystko, co tylko będzie w mej mocy, aby ocalić świątynię waszą.

Teraz nóż wypadł z dłoni Janka. On sam próbował powstać, ale daremnie; potoczył się i padł zemdłony.

I Tytus również utracił krwi niemało; osłabiony więc i znużony bardzo, a przytem potłuczony, darmo się dzwignąć usiłował. Oparł się tylko na rękę, i jakby z jakiegoś snu straszego raptem zbudzony, dysząc ciężko, błędnym wzrokiem wokoło wodzi. A potem przetarł oczy i niby sobie nic nie przypominając, patrzy na leżącego obok bezwład-

nego wroga. Po chwili dopiero, oprzytomniawszy zupełnie, uśmiechnął się i pomyślał:

— Na Herkulesa! choć żyd i do tego taki młokos, ale spisał się dzielnie. Myślałem, że już koniec ze mną. Co teraz ojciec powie na to, że jego syn winien swe życie żydowi. Ale jak ci ludzie przywiązani do swej świątyni! A dlaczegóż miałbym ją burzyć? Nie uczyniłbym tego nawet, gdyby to było w mej mocy. Wszakże i nasi imperatorzy składają tam swe ofiary. Zresztą my przecież nie walczymy z bogami podbitych ludów. Owszem, przeciwnie, uznajemy ich za naszych.

I w takich myślach zatopiony, nie słyszał i nie widział zbliżającego się oddziału. Dopiero kiedy centurion, spostrzegłszy co się dzieje, podskoczył do niego, Tytus wtedy nareszcie przemówił.

— A, to ty Plancusie? Dobrze że jesteś. Patrz, to dla mnie nauka, aby się nie odłączać i w pojedynkę zadaleko w góry nie zapuszczać. Pierwszy ale też i ostatni raz to zrobiłem, chcąc czemprędzej pospieszyć na wezwanie ojca. Już mi nawet zadługo było czekać aż się wyguzdrzecie.

Tu Plancus zaczął się troskliwie dopytywać: czy aby nieranny.

— Eh, nic mi — odparł Tytus z lekceważeniem. — Jestem tylko bardzo znużony. Ale zobacz czy ten żyd jeszcze żyje? Powiadam ci, walczył jakby prawdziwy rzymianin. Cóż? Oddycha?

— Oddycha jeszcze — oznajmia centurion.

— To dobrze, to bardzo dobrze — mówi Tytus ze szczerem zadowoleniem. — Chciałbym koniecznie zachować przy życiu tak walecznego młodzieńca. Trzeba go natychmizst przenieść do Carmelii i niech mój własny lekarz ma o nim pilne staranie. On mi za jego życie odpowie. Zapowiedz mu to.



Centurion, nieśmiejąc pytać o szczegóły wypadku, zaraz polecił spełnić rozkazy wodza.

Janek, otworzywszy oczy, ujrzał się w namiocie, na łóżku obozowem. Obok siedział jakiś starzec, a u wejścia stała straż.

Starzec natychmiast podał mu lekarstwo.

— Pij — rzekł, zbliżając mu kubek do ust — to ci ulgę przyniesie. Nie obawiaj się niczego. Jesteś gościem Tytusa, który na ciebie bardzo łaskaw. Z jego to polecenia jestem przy tobie, i nie opuszczę, dopóki zdrowia nie odzyskasz. A skoro tylko trochę się polepszy, zaraz cię tu sam Tytus odwiedzi.

Janek słuchał jakby niezdając sobie sprawy z tych słów. Zbyt był osłabiony, aby one mogły jakieś wrażenie wyrzeć. W milczeniu więc lekarstwo wypił, i zamknąwszy oczy, zdawał się usypiać.

Nazajutrz jednak czuł się znacznie lepiej, a dzięki troskliwej opiece starca, po tygodniu już się zaczął nawet z łóżka podnosić, chociaż jeszcze bardzo osłabiony.

A kiedy tak raz po południu siedzi sobie, w myślach pograżony, nagle słyhać szcęk oręża i kroki zbliżających się kilku osób. Strażnicy zaczęli szeptać: Tytus, Tytus.

Ale któż mógł przypuścić, że wódz idzie odwiedzić jakiegoś tam chorego żyda. Wielkie więc było zdumienie wszystkich, gdy go ujrano wchodzącego do namiotu, i to w towarzystwie także żyda, Józefa.

Janek widząc tak dostojnych gości, zerwał się na równe nogi, ale mu zaraz Tytus ręką daje znak, by usiadł.

— No widzisz — zwraca się do towarzysza — mówiłem ci przecie, że to prawie dzieciak jeszcze,

a jednak pokonał mnie. Daj mi rękę, mój zuchu — dodał — i bądźmy przyjaciółmi. No, nie wahaj się. Przecie można być przyjaciółmi i przeciwnikami zarazem. A ja szczerze do ciebie wyciągam pierwszy dłoń zgody.

Janek nieco zakłopotany, w milczeniu uściśnął podaną sobie dłoń wroga.

— Jakże się czujesz? — pyta Tytus.

— Lepiej.

Chociaż Janek przez te parę lat znacznie zmęźniał, a wskutek choroby tembardziej się zmienił. jednak go Józef zaraz poznał. Wprawdzie na pierwszy rzut oka przypuszczał tylko, że to ktoś nadzwyczaj podobny, niebawem jednak był już prawie pewny, że to on sam. Ale chcąc się widać lepiej o tem przekonać, odezwał się do Tytusa, gdy ten znów coś o męztwie Janka napomknął.

— Mogę być dumny z takiego ucznia. Bo muszę się pochwalić, żeć to on z mojej szkoły; przy moim boku stawiał pierwsze kroki, jako żołnierz. Nie poznajesz mnie? — dodał, zwracając się do Janka.

— Owszem, poznałem — dość chłodno odpowiedział zapytany.

Chłód ten można było wprawdzie przypisać chorobie; jednak widocznie to Józefa ubodło bardzo, ale nadrabia miną, aby nie dać tego po sobie poznać.

— Widzę — mówi — że nietylko ja jeden cało z pogromu Jotopaty wyszedłem. Bardzo się cieszę.

Wytrawny to znawca ludzi, jak z książki czytał i w duszy Janka. A może dla tego właśnie, że zależało mu na tem, aby go sobie zjednać, zwraca się do Tytusa, i nie szczędząc pochwał, opowiada mu całą historję swego poznania z chłopcem, oraz jego podstęp wobec zbuntowanego miasta Tiberias.

Janek go również od razu poznał, ale się z tem nie zdradzał, myśląc, że mu się uda uniknąć przykrości przypomnienia. Wolałby też bezwątpienia nagany niż pochwał słuchać z ust tego człowieka, ale przeszkodzić temu nie było można.

— Tem bardziej się cieszę — rzekł Tytus — że tak dzielny młodzieniec będzie uratowany. Bądź spokojny — dodał zwracając się do Janka — nie stanie ci się tu nic złego. Jesteś tylko moim gościem. Cenię mężstwo nawet w przeciwniku, i poważam tych, którzy za kraj swój walczą. Będziesz wolny, jeżeli dasz mi słowo, że już nie podniesiesz miecza przeciw Romie? Przymierzasz?

— Nie — odparł Janek bez namysłu. — Tego uczynić nie mogę. Tego żaden uczciwy żyd nie uczyni — dodał, spojrzawszy z ukosa na Józefa — Józef spuścił oczy w dół.

— Tego nie uczynię — powtórzył Janek z naciskiem — nawet pod groźbą śmierci. Jest to pierwszym obowiązkiem uczciwego żyda, dotąd miecza z dłoni nie wypuścić, dopóki święte miasto w niebezpieczeństwie. To mu nakazuje nasz zakon.

— Ja też bynajmniej nie nalegam — przerwał mu Tytus. — Nawet i bez tego jesteś wolny, i gdy odzyskasz zdrowie, nikt ci nie zabroni odejść. Byłoby mi jednak przyjemnie, gdybyśmy już nie potrzebowali walczyć z sobą. Józef ci to może powiedzieć, że Roma nie jest zbyt srogą panią nawet dla tych, którzy wobec niej zawinili. Co do ciebie, ja sam postarałbym się, abyś dostał znaczny urząd gdzieś w takiej prowincyi, gdzie spełnianie służbowych obowiązków, nie stawiałoby cię w drażliwym położeniu jako żyda. Ale czy zgodzisz się na to, czy nie, bądź pewnym, że zawsze masz we mnie przyjaciela. Nie chcesz teraz, więc zgłoś się po wojnie,



a uczynię dla ciebie wszystko. A teraz z wolnej woli powtórzę ci to samo, com przyrzekł wtedy pod nożem na gardle, tj. że w ostateczności użyję całej mojej siły, wszystkich moich wpływów, aby ocalić waszą świątynię, a sam bezwarunkowo nigdy ręki mej nie przyłożę do zburzenia tych tak drogich dla twego narodu murów.

Janek ciężko odetchnął, jakgdyby mu kamień z piersi spadł. Dwie łzy zabłysły mu w oczach. Wyciągnął rękę; a kiedy mu Tytus podał swoją, on ją chciał do ust przycisnąć, ale łaskawy opiekun, nie dopuszczając do tego, szybko ją wyrwał.

Po odejściu tych dostojnych gości, Janek w tak dobrym był humorze, że nawet pogwizdywał sobie. Od razu go jednak utracił, ujrawszy znów wcale niepożądanego Józefa.

Na jego widok raptem uciał i zpoważniał.

— Czemu mam przypisać? — zaczął chłodno ale grzecznie.

Józef uśmiechnął się gorzko i nieproszony siada, nadając sobie powagę zwierzchnika, ale zarazem i ton przyjacielski.

— Widzę — mówi — że i ty, ty nawet, uważasz mnie za zdrajcę.

Janek poruszył się niezadowolony; Józef wziął to za przeczenie.

— O, nie zaprzeczaj — dodaje — bo wiem, że tak jest.

— Ja ani zaprzeczam ani też twierdzę — odparł Janek, śmiało mu patrząc w oczy — bo nie do mnie sąd należy. Zresztą nie znam okoliczności, i nikt ich nie zna.

— Żałuję właśnie, że nie ma świadków, bo wtedy moi oskarżyciele, a nie ja, musieliby się rumienić. Dziś nie będę się tłumaczył. Powiem ci tylko tyle, że gdybym istotnie zdolnym był do ta-

kiej podłości, to pomimo całej przyjaźni Tytusa, nie wyszedłbyś ztąd żywym.

Janek spojrzał nań z pogardą.

— Groźby mnie nie przerażają — rzekł sucho — śmierci się nie lękam. Staram się dobrze żyć, będę też umiał i umrzeć. A nie każdy to umie.

Józef połknął przymówkę.

— Nie zrozumiałeś mnie, widzę — zagaduje, jakgdyby niesłyszał ostatnich słów. — Ja bynajmniej nie grożę. Powiedziałem przecie, że gdybym był podłym, do zdrady zdolnym — a to różnica...

— Więc? więc coś wtedy? — pyta Janek z ironicznym uśmiechem. — Wiem z góry. Wtedy zamiast tych pochwał, starałbyś się przekonać Tytusa, że nie wart jego względów. Oto wszystko.

Mylisz się. Wcale nie wszystko — przerwał mu Józef z takim uśmiechem, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Mam ja na ciebie, kochanku, trochę lepszy bat. Jesteś teraz w mojem ręku, paniczku, i musisz moją niewinność uznać.

Janek spojrzał jakby z niedowierzaniem, a raczej zdziwiony czy zaciekawiony.

— Tak! — potwierdza Józef z naciskiem — niewszystko. Zgoła nie potrzebowałbym intrygować, oczerniać. ani też dołków pod tobą kopać... Zresztą, znasz mnie przecie, powinieneś zatem najlepiej wiedzieć, że to nawet przeciwne mej naturze. Ale tu tego wszystkiego nie potrzeba; wystarczyłoby tylko jedno słowo, aby cię zgubić... Tak, aby cię zgubić, śmierć ci niechybną zgotować.

— Cóż to za słowo tak straszne, które jak piorun zabija? — dopytuje Janek z lekceważeniem.

— Nie trudno się domyślić, Janie z Gamali.

— A! — zaśmiał się Janek — więc to o to chodzi.

Wstał, zaczął się przechadzać, pomimo woli zdradzając wzruszenie, chociaż je usiłował pokryć źle udaną obojętnością.

Józef natomiast, pewny teraz zamierzonego skutku, patrzył spokojnie, uśmiechnięty, jak zwycięzca, który już powalił przeciwnika, i życie jego trzyma w swem ręku.

A mógł sobie istotnie powinszować, gdyż w zupełności powiodło mu się tym podstępem dobyć prawdę. Z opisu pewnego jeńca, wiedział tylko, że ów Jan, to zaledwie młodzieniec, i że służył dawniej w jego straży; nie mógł jednak przypuszczać, iżby to był Janek, mniemając, że ten zginął w rzezi Jotapaty. Skoro go jednak ujrzał, zaraz zrodziło się w nim podejrzenie, a teraz udając, że wie napewno, właśnie tą pewnością siebie, dowiedział się prawdy. Ale czy mu się to na co przyda? Chciałżeby nową zdradą imię swe splamić? Nie, przeciwnie, on się chce właśnie oczyścić.

A więc widzisz — mówi — oto masz najlepszy dowód mej niewinności.

— Jaki dowód? — podchwytuje Janek — na co dowód? To zgoła niczego jeszcze nie dowodzi, a nawet żadnego nie ma związku. Co innego przecie z rozmysłem kogoś zdradzić bez koniecznej potrzeby, a co innego znów dopuścić się tego pod nożem na gardle. To słabość tylko, a tamto zwyczajna zbrodnia.

Teraz z kolei znów Józef jak pokonany, nie usiłując nawet przekonywać, słucał w milczeniu, a wargi mu drżały.

Było dlań bardzo ważnem pozyskać sobie tego chłopca. Wszak to jedyny człowiek, któryby mógł dać świadectwo jego niewinności. A winien mu życie, winien swe wyniesienie, może więc teraz wypłaci się za to, uratuje cześć swego zbawcy i do-



brodzieja. Niestety, i ta nadzieja zawiodła, bo i on poszedł za głosem tłumu. Słowem wszyscy, bez wyjątku wszyscy, odwrócili się od niego. Jeden ogólny, wielki, straszny głos woła nań: zdrajca! Nawet i ten, chociaż w jego teraz rękę, a jednak odwraca się od niego.

Janek, jakby odgadując jego myśli, przystanął przed nim, i do głębi poruszony, rzecze;

— Wodzu mój, nigdy cię nie uważałem za zdolnego do podłej, zwyczajnej zdrady; ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że uległeś chęci ocalenia życia. A może nikt więcej nad tem nie boleje, bo tyś mnie zrobił człowiekiem. Lecz mimo to, wbrew przeświadczeniu mówić nie mogę. Fakt zostanie faktem. Wolałbym abyś mi był oszczędził tego spotkania, ale skoro się stało, muszę mówić to, co mi sumienie nakazuje. Wiem, że tu życie moje na włosku, ale to mnie nie zniewoli do obłudy. A dowód, który podajesz, wcale mnie nie przekonywa. Ja pierwszy wielebym dał za to, gdybym mógł w twoją niewinność uwierzyć. Ale nie wierzę również, abyś był zdolnym do ponownej zdrady, i wydał mnie na śmierć. Zresztą, różnie bywa, czyń co chcesz.

Józef zupełnie złamany, zwiesił głowę na rękach opartych łokciami o kolana, i milczał. Po chwili dopiero znów zapanował nad sobą.

— Innych dowodów nie mam — rzecze. — Ale czyż tego wam mało? czyż nie widzicie, żem i ja w niewoli, że i ja cierpię, bardzo cierpię. Prawda, obchodzą się ze mną lepiej może niż z innymi, prawda, nie przeczę, nawet sam Wespazyan szaczyca mnie względami; ale cóż to komu szkodzi? Owszem, powinniście się cieszyć, bo właśnie przez to mogę niejedną ulgę u niego wyjednać — nie dla siebie, nie, ale dla pokonanych braci. I zawsze

się staram los ich łagodzić; bo choć mnie odtrącają, wiem przecie, i nigdy nie zapominam, że jestem żydem. Ale skoro przekonać nie mogę — trudno. Taki to zazwyczaj los upadłych wielkości — dodał z gorzkim uśmiechem. — Jednego tylko żałuję: żem się pozwolił zamknąć w murach, zamiast się tylko rozproszyć po kraju i wciąż przeciwnika nękać. Chociaż, co prawda, w gruncie rzeczy, na jedno by to wyszło. Bo czy tak czy inaczej, prędzej czy później, zawsze koniec musi być smutny, bo nieunikniony. Więc może nawet i lepiej, że krótsze było konanie.

Mimo tak czarnych przewidywań, Janek uśmiechnął się, widocznie zadowolony z tego, że jego sposób prowadzenia walki, znalazł tak zupełne uznanie. Ani mu na myśl nie przyszło, że właśnie w tem uznaniu tkwi nowe dla niego niebezpieczeństwo. Zdaje się bowiem, że Józef teraz poprostu zazdrości chwały szczęśliwшему uczniowi. A gdy się jeszcze i zazdrość przyłączy do uczucia upokorzenia, wtedy człowiek łatwo może zająć dalej na drodze zbrodni.

Józef wprawdzie zapewnia, że pozostał żydem, ale zazdrość i upokorzenie, to dwaj bardzo złośliwi doradcy; często sprowadzają na manowce. Janek przeto mógłby mieć teraz wszelki powód do obawy.

Jako też instynktownie czując pewien niepokój, myślał tylko o tem, aby się czempędzej z pod tej opieki rzymian wydobyć. Przez kilka dni pilnie rozważał każde nieomal słowo Józefa, i coraz bardziej utrwalalo się w nim przekonanie o prawdopodobieństwie zemsty. Bo cóż taki człowiek ma już do stracenia. A on mu przecie nie przebaczy ani zapomni potępienia, zwłaszcza, iż doznał za-

wodu, licząc na jego świadectwo stwierdzające niewinność.

Janek to rozumiał, że w jego ręku teraz cześć tego starca; że on jeden, jednym słowem może ją uratować. I chwilami żal mu było odmowy; nie z bojaźni o siebie, lecz po prostu z litości.

Już nawet wyrzucał sobie zbytnią może surowość wobec tego, który, bądź co bądź, życie mu ocalił i teraz je znów w swem ręku trzyma, i jednym słowem może je w niwecz obrócić, a przecież tego jeszcze nie uczynił. W dodatku, czyż to nie on był zwierzchnikiem, opiekunem, dobrodziejem? Małoż od niego doznał? Zawsze taki dobry, taki wyrozumiały! I za to wszystko teraz, w potrzebie, płacą mu tak czarną niewdzięcznością; nie może w zamian wyżebrać nawet jednego słowa.

Janek to w zupełności pojmował, a jednak tak trudno mu wyrzec owo słowo. Głuszył je wstręt do do spełnionej zbrodni. Wszak cały lud go potępia, a on jeden, on jeden tylko, wbrew głosowi tego ludu, wbrew własnemu przekonaniu, ma być obrońcą hańby, jedynie z wdzięczności i litości, a może dla własnego ocalenia. I on, obrońca tego ludu, ma go oszukiwać, ma go w błąd wprowadzać? Byłoby to niegodne, byłoby wprost nie męzką słabością.

I nie mógł się Janek pogodzić z tą myślą, chociaż go serce do niej skłaniało. Gdybyż to jeszcze własne jego życie od tego nie zależało, możeby wtedy prędzej uległ pokusie: ale myśl że, ocali przez to i siebie, zagradała mu drogę.

A tymczasem chwile uciekały, każda z nich mogła mu przynieść zgubę. Janek już się nawet tak z tą myślą oswoił w końcu, tak był prawie pewnym tego, że kiedy znów Tytusa ujrzał, był





100

100

nieomal przekonany, iż mu już wyrok śmierci przynosi.

Tytus jednakże z dawną uprzejmością wypytywał go o zdrowie, a następnie rzekł już wesoło:

— Bardzo mnie to cieszy, że mój lekarz spisał się tak dzielnie. Przychodzę właśnie aby się naocznie przekonać, czy się stary przypadkiem nie chwali, ale widzę teraz, że nic nie przesadził. Wyglądasz znacznie lepiej. Jeżeli się czujesz na siłach, możesz w każdej chwili odjechać. Bardzo mi wprawdzie twoja obecność przyjemną i radbym abyś został jak najdłużej, ale nie chcę bynajmniej krępować. Czyń, jak ci się podoba. Już nawet wydałem polecenie, aby na każde zawołanie stał w pogotowiu oddział, który cię odprowadzi dokąd zechcesz. W każdej chwili możesz rozkazać, a stanie się wedle twego życzenia. A tu oto mała drobnostka, — dodał, podając mu pierścień — zachowaj na pamiątkę od przyjaciela. Może ci się przyda w razie jakiejś przygody. Żegnam cię. Szczęśliwej drogi. A nigdy nie zapominaj, że Tytus, czy tu czy w Rzymie, zawsze będzie gotów usłużyć ci w miarę swej możności. Żegnaj.

I podawszy mu rękę, wyszedł spiesźnie, jakby mu pilno było do ważnych jakichś spraw.

Janek był poprostu jego dobrocią oszołomiony tembardziej, im mniej się mógł tego spodziewać po rozmowie z Józefem.

Ale mimo to obawa pozostała. Józef wprawdzie nic widać nie wspomniał, ale może to jeszcze uczynić nawet i w ostatniej chwili. Dopóki więc Janek w obozie rzymskim, dotąd nie mógł się czuć zupełnie bezpiecznym. Dlatego też bez straty czasu, skwapliwie z pozwolenia odjazdu postanowił skorzystać, pomimo, że mu jeszcze rana dokuczała



i nie miał dość sił do zniesienia trudów tak dalekiej podróży.

Z tego też powodu nagły ten wyjazd zakrawał trochę na ucieczkę. Janek w samej rzeczy tak bardzo naglił, że to wprost mogło wzbudzić podejrzenie. Ale przecucie mu jakieś mówiło, że nie ma czasu do stracenia; lada chwila może być zapóźno. Jeszcze nawet w drodze dręczył go niepokój; zda wało mu się, że prędzej czy później wysłą za nim pogoń.

I wciąż oglądał się z trwogą po za siebie.

---

## ROZDZIAŁ XVI.

### Pośrednik.

Rzućmy teraz okiem na wypadki, jakie się wydarzyły w kraju i Jerozolimie, po jej opuszczeniu przez rabiego Ben Manasseh.

W stolicy, zamiast czasu bezczynności Wespazjana, użyć na przygotowanie obrony, tracono go podawnemu na bratobójcze walki, które z każdą chwilą, bardziej wyczerpując zasoby i siły narodu, zmniejszały tem samem nadzieję skutecznego oporu przeciw wspólnemu wrogowi.

Najpierw Szymon, syn Giorasza, po złupieniu całego kraju od strony Edomu, zaczął już zagrażać samej Jerozolimie. Wyszli przeciw niemu zeloci, ale ich pobił i odparł. Teraz z 20,000 rzuca się na edomitów, myśląc, że ich zaskoczy z nienacka, nieprzygotowanych. Edomici jednakże, zdoławszy nagle zebrać około 25 tysięcy, stawili czoło napastnikowi. Walka została wprawdzie nierozstrzygniętą, ale Szymon się cofnął; a kiedy przeciwnicy już do domów się rozeszli, on tymczasem znów wraca z dwakroć liczniejszym wojskiem, zdobywa Hebron i cały kraj ogniem i mieczem pustoszy.

Ale w jego nieobecności udało się zelotom porwać mu żonę. Szymon dowiedziawszy się o tem,

zaraz pędzi i oblega Jerozolimę. Że jednak prze-  
 rażeni zeloci natychmiast brankę mu zwrócili, więc  
 odstąpił z pod murów, ale tylko na chwilę, bo  
 znów się niebawem zjawia, aby łupić i mordować  
 w około.

Tak więc Jan z Giszali, nagromadziwszy moc  
 łupów, nie mógł z nich korzystać, bo mu teraz  
 wyjście z Jerozolimy przecięto. W końcu uwolnili  
 go od tego kłopotu własni jego stronnicy, edomici;  
 bo zwróciwszy się przeciw niemu, opanowali składy,  
 w których te skarby przechowywał i wszystko sobie  
 zabrali.

Jan schroniwszy się teraz do świątyni, wciąż  
 z niej wypadał i najbliższe dzielnice miasta burzył.  
 Zwołana tedy przez edomitów rada kapłanów, po-  
 stanowiła otworzyć bramy Szymonowi. Sam naj-  
 wyższy kapłan Mateusz, osobiście go zaprosił; i za-  
 raz też potężne zastępy Szymona, wkroczyły do  
 miasta, witane okrzykami radości przez jego mie-  
 szkańców.

Szymon zaraz przypuścił szturm do świątyni,  
 ale bez skutku, gdyż zeloci, przez zbudowanie czte-  
 rech silnych wież, uczynili ją prawie nie do zdobycia.  
 Przez całą więc nieomal zimę mogli tam skuteczny  
 stawiać opór. Ale tymczasem w ich własnym łonie  
 dalsze nastąpiło znów rozdzielenie. Eleazar bowiem,  
 ich naczelny wódz do chwili przybycia Jana,  
 zazdroszcząc mu władzy, oderwawszy się z paru  
 tysiącami, opanował część świątyni; a choć zasłaby  
 do zaczepnej walki, długo jednak mógł się bronić,  
 mając dostatek żywności.

Tak więc teraz aż trzy partye wzajemnie z sobą  
 walczyły. Dniem i nocą, wciąż krew się lała wew-  
 nątrz świątyni; stopnie jej ołtarza zasłane trupami  
 poległych. Wszędzie tylko słychać jęki umierają-  
 cych lub przekleństwa i okrzyki, albo wyuzdane



śpiewy rozbestwionych żołnierzy, tam, gdzie dawniej brzmiały tylko pobożne modły i korne westchnienia ludu.

Ale i teraz, jak zawsze, wszyscy mieli tam otwarty przystęp. Wielu też spieszyło, aby wśród kałuży krwi, błagać Boga o zmiłowanie; chociaż niejednemu przyszło życiem opłacić swą pobożność. Często bowiem jakaś zabłąkana strzała, ugodziła w tłum tych ofiarników.

Czasem stronnicy Eleazara, podnieceni winem z nieprzebranych piwnic świątyni, wypadali na wojska Jana, albo też Jan robił wycieczki przeciw Szymonowi, zawsze niszcząc miasto, jak daleko mieczem sięgnął. Ztąd mury świątyni otaczały dymiące zgliszcza, a nie pogrzebane ciała poległych, zakażały powietrze, co było powodem chorób, jakie dziesiątkowały mieszkańców, których liczba wtedy przekraczała milion, licząc razem z przybyłymi.

I pomyśleć teraz, że w porównaniu mała za ledwie garść tylko tych potrójnych rabusiów, zbrodniczym swym mieczem dyktowała prawa takiej masie ludu! Szymon bowiem miał coś niespełna 15,000, Jan około 6000, a Eleazar niewiele więcej nad 2000. Brakło więc tylko jakiegoś człowieka z głową i sercem, któryby stanął na czele tłumy, i to całe szczęście tyranów; inaczej wszyscy trzej mogliby tam znaleźć grób dla siebie wśród tych samych ruin, które naokół rozsiali.

Tak tedy rzeczy stały, kiedy raptem spełniła się nareszcie przepowiednia Józefa. Ów bowiem sprośny, rozpasany obżartuch i okrutnik Witeliusz, padł pod ciosami morderczej ręki, a na opróżnionym tronie rzymskich cesarów, zasiada Wespazyan.

Teraz już przeto nic nie stało na przeszkodzie, aby przystąpić do oblężenia Jerozolimy. Nowy cesar

więc, w yjechawszy do swej stolicy Romy, złożył to zadanie na barki syna.

Jako też Tytus zaraz pospieszył z Egiptu na plac przyszłych bojów, aby objąć tam główne dowództwo, i wszystko do blizkiej już walki, należycie przygotować.

W Judei stały wówczas tylko 3 legie, i to dobrze już, głównie w skutek różnych chorób, przeredzone; a część także zabrał z sobą Wespazyan. Aby więc zapełnić te ubytki w szeregach, przysłano 12-tą legię (tę samą, która niegdyś pod wodzą Cestiusa poniosła klęskę) oraz 2000 doborowego żołnierza z Aleksandryi, a 3000 z legii stojących nad Eufratem. Nadto syryjscy królikowie znacznych też dostarczyli posiłków.

Dowództwo nad tem potężnem wojskiem powierzył Tytus swemu przyjacielowi, Tyberyuszowi Aleksandrowi, który jako niegdyś gubernator tego kraju, znał go dokładnie, i ztąd był nieocenionym dla Tytusa doradcą.

Ale wróćmy teraz do Janka.

Jego podejrzenia względem Józefa, i obawy nowej zdrady, zgoła okazały się płonnymi. Przez żadną pogoń nie zatrzymywany, ani też przez nikogo po drodze nienagabywany, szczęśliwie dotarł w końcu do obozu swoich, gdzie go już oddawna za straconego uważano. A nie potrzebujemy chyba dodawać, że go dawni towarzysze z największą radością przyjęli, uważając to prawie bajeczne wodza ocalenie, za nowy dowód jego posłannictwa i wielkiej łaski Boga.

Ale wódz ukochany, na nieszczęście, zbyt jeszcze chory, aby mógł już znów czynny udział w walkach przyjąć, a niechcąc być im zawadą i ciężarem, puścił się zaraz dalej w drogę z Janaszem i Rubenem.

W domu go już równie opłakano; a gdy się niespodziewanie, jakby duch z tamtego świata pojawił, wszyscy go ze łzami radości witali. Oddawna już bodaj nie było tak pięknego dnia w Gadesie. A kiedy się wieść rozniosła o powrocie znów cudownie ocalonego Janka, to wprost drzwi się nie zamykały, tylu przychodziło sąsiadów, aby go powitać i naocznie się o jego powrocie przekonać. Musiał biedak wciąż wszystkim w kółko jedno i to samo opowiadać, bo każdy był niezmiernie ciekawy jego dziwnych przygód.

Wszystkiego jednak nikomu nie powiedział, oprócz rodziców i Maryi. Stary Szymon omal się nie rozbeczał jak dziecko. Wzniósłszy ręce ku niebu, dziękował Bogu, że właśnie syna jego wybrał za narzędzie do okazania swemu ludowi takiej łaski nad łaskami.

Bo czyż to nie zaszczyt nad zaszczyty, że on, ten syn jego, krew z krwi jego, potykał się z samym wodzem potężnych wrogów?; że go ten syn pokonał, że mu życie darował i że wymógł na nim tak drogocenną przysięgę ocalenia świątyni?

I dumny ojciec, przywykł już patrzeć na owego syna, jakoby na szczególnego wybrańca, wprost jako na proroka.

Janek się od tego bronił i zaprzeczał, ale on często mu powtarzał, że go widocznie Bóg wybrał na zbawcę swej świątyni, i dlatego to udało mu się dokonać tak wielkiego dzieła, chociaż nie przez pokonanie licznych zastępów nieprzyjaciół, ale przez wymuszenie słowa na ich wodzu. To wystarcza. Misya spełniona.

Tymczasem nadeszły też wieści o wypadkach wyżej opisanych i ruchu wojsk rzymskich. Znów tedy zapłonęły ognie na górach, a we dwa dni już wszyscy towarzysze Janka stali pod bronią, gotowi



na jego rozkazy. A było tego z górą 600 zuchów.

Janek wyjaśnił im przedewszystkiem, że teraz ich czeka daleko trudniejsze i stokroć niebezpieczniejsze zadanie; że wszystko co dotychczas przeszli, to poprostu igraszka tylko w porównaniu z tem, co może nastąpić.

„Idziemy teraz — mówił — bronić świętych murów. Ale wiedźcie, że idziemy położyć na nich swe życie. Niech każdy z was będzie na to przygotowany. A ktoby się zawahał, ten niechaj lepiej w domu pozostanie. Nikogo nie zmuszam.“

Ale nikt na to wezwanie z szegu nie wystąpił, wszyscy byli gotowi iść z nim, choćby na pewną śmierć.

Zaraz też nazajutrz Janek, otrzymawszy błogosławieństwo rodziców i życzenia Maryi, ruszył w drogę.

Blizkim był już dzień Paschy, gdy ta drużyna wojowników stanęła wreszcie pod murami świętego miasta.

Mimo zawieruchy wojennej, mimo nawet wieści o blizkiem już oblężeniu, jak to corocznie dawniej, tak i teraz, zewsząd ciągnęły gromady pątników.

Wielcé to Jankowi ułatwiło wstęp do miasta, co w innej chwili mogłoby być utrudnionem tem bardziej, że każdy z jego żołnierzy niósł sakwy z żywnością, a to przecie musiałoby zwrócić uwagę.

Dla tego właśnie przezorny Janek tak pospieszał, aby jeszcze przed świętami zdążyć. Wiedział bowiem, że niemając własnej żywności, byłby tem samem zależnym od jednej z 3 partyi, w których wyłącznem posiadaniu były składy wszelkich zapasów. I tego mu się szczęśliwie udało uniknąć. Niemniej łatwo mu przyszło znaleźć pomieszczenie dla swoich ludzi. Wiele bowiem domów w dzielnicy

bardziej wystawionej na napady zelotów, było opuszczonych.

Oprócz pielgrzymów przybywających tylko w celu modlitwy, zaczynało już coraz więcej napływać rozmaitego ludu, który tam szukał schronienia przed zbliżającym się nieprzyjacielem. Byli to jednak przeważnie starcy, koblety i dzieci, a mało natomiast mężczyzn zdolnych stanąć w szeregach obrońców. A mogło to pod każdym względem nader ujemnie wpłynąć na losy miasta; zwłaszcza, że stali jego mieszkańcy już uprzykrzyli sobie te bezustanne gwałty i tyranję własnych rodaków. Wielu już nawet po cichu pragnęło przybycia rzymian, i niejeden z prawdziwą radością przyjął wiadomość, jakoby już byli blisko bram.

Już sam widok własnych żołnierzy taki budził postrach, że kiedy spostrzeżono zbrojną gromadę nieznanych przybyszów, natychmiast zamykały się wszystkie drzwi i okna. Dopiero po chwili bojaźń ustąpiła miejsca niekłamanej radości, kiedy się biedacy przekonali, że nikt im żadnej krzywdy wyrządzać nie myśli, a Janek wyjaśnił, że mogą być pewni swego mienia i życia, bo nie przychodzi mordować i grabić, ale bronić świątyni przeciw najezdnikom. Zaraz też jeden przez drugiego oświadczał się z gotowością przyjęcia na mieszkanie tak pożądaných gości. Pochodziło to może nietyle z gościnności, ile ztąd, że każdy radby mieć w domu choć kilku zbrojnych dla obrony przeciw żołdactwu Szymona.

Jakoteż niebawem okazała się bardzo zbawienną ta opieka. Wkrótce bowiem dały się słyszeć rozpaczliwe krzyki i wołania o pomoc. Janek bezzwłocznie podążył z oddziałem na miejsce gwałtu. Okazało się, że znów banda rabusiów napadła jeden z domów na końcu uliczki położonych.

Już właśnie drzwi siłą wyważone, padły z trzaskiem na ziemię, kiedy ta niespodziewana odsiecz przybyła. Janek zaraz ze swymi skoczył, i zagroźniejszy zbrodniarzom drogę, pogroził im, że każdy śmiercią przyplaci, jeżeli się poważy teraz, czy w przyszłości napastować kogokolwiek.

Zdumieni tak nieoczekiwanem pojawieniem się tych niepożądanych i nieznanych obrońców, napastnicy stanęli jak wryci, a przywódzca ich hardo i wyzywająco zapytał Janka: Kto on taki, że śmie się wtrącać w nieswoje rzeczy?

— Mniejsza o to, kto jestem — odparł Janek z godnością — dość, że wystarczy mi siły, aby wam należytą dać nauczkę, jeżeli się natychmiast ztąd nie wyniesiecie, lub jeśli wam znów jeszcze kiedykolwiek przyjdzie ochota pojawić się na tej ulicy.

Herszt widząc, że to nieprzelewki, daje znak do odwrotu.

Widocznie jednak musiał zdać o tem zajściu sprawę swej zwierzchności, bo niebawem przybiega zadyszana kobieta z oznajmieniem, że sam Szymon ciągnie na czele znacznego oddziału. Janek tedy dał hasło i z całą swą siłą w szyku stanąwszy bojowym, czeka na przybycie zapowiedzianego gościa. Za chwilę obaj wodzowie stali już oko w oko.

— Któż ty? — pierwszy zapytał Szymon groźnie.

— Jan, zwany powszechnie Janem z Gamali — brzmiała odpowiedź.

Szymon aż się cofnął zdumiony.

— Czy to być może? — mówi z niedowierzaniem. — Ależ ten dzielny wojownik, o którym tyle tu słyszeliśmy, musi to być mąż dojrzały, w bojach posiwiasty.



Janek uśmiechnął się.

— Tak jest — powtarza. — Jam to ów Jan z Gamali, a to część tylko moich dzielnych towarzyszków broni, których waleczność, mnie i ich samych okryła taką sławą. A przychodzimy tu dziś nie w celu brania udziału w występnej bratobójczej walce, ale w celu obrony miasta przeciw rzymianom. Nikomu też w drogę nie myślimy wchodzić, ale biada temu, kto by nas śmiał niepokoić. Wtedy, choćby to były dwadzieściamiakroć liczniejsze zastępy, nie ustąpimy ani na krok, dopóki zbrodnia nie będzie ukarana. Tak jest, bo byłoby to zbrodnią niesłychaną, gdyby ktoś w takiej chwili nurzał miecz w krwi bratniej, gdy rzymianie już prawie u bram miasta.

Szymon z natury despota i gwałtowny, już omal nie wybuchnął gniewem na te słowa, ale zrozumiał, że istotnie mogłaby go taka rozprawa zbyt drogo kosztować, więc hamując się z widocznym wysiłkiem, zapytał podejrzliwie:

— A może jesteście w zмовie z Janem z Giszali?

— Ja z nikim nie jestem w żadnej zмовie — odparł Janek spokojnie i stanowczo. — Jak to już powiedziałem, przychodzę tylko bronić Jerozolimy, i nie myślę stawać po niczyjej stronie. Ale też przed nikim ztąd nie ustąpię.

Szymon zdawał się jeszcze wahać i namyślać.

W gruncie rzeczy, niewiele mogło mu zależeć na utrzymaniu w swem posiadaniu tej dzielnicy, stanowiącej t. z. dolną część miasta, prawie wyłącznie przez uboższą ludność zamieszkaną. Nie było więc o co głowy sobie rozbijać, byle tylko była pewność, że ten przybysz nie zapragnie i mieszkańców przeciw niemu poruszyć. A zresztą i to nawet

niewielkiem mn groziło niebezpieczeństwem, gdyż górne miasto, będące właściwą jego siedzibą, oddzielała dolina Tyropoeon i główny mur.

Ale mimo to, gdyby rzymian nie było na karku, pewnoby nie ścierpiał takiego sąsiedztwa, i bez wahania zaraz kazałby uderzyć. Z uwagi jednak na wyjątkowe położenie, wołał postępować z rozwagą.

— Pomyślę nad tem — rzecze — jutro dam odpowiedź.

— Już z góry przewiduję: jaką — podchwytuje Janek. — Nie wątpię bowiem, że chcesz do upadłego bronić miasta przeciw rzymianom. Ale niepotrzebnie obawiasz się jakiegoś współzawodnictwa z mej strony; bo zapewniam, że przyszedłem tu nie dzielić władzę, lecz walczyć; a 600 takich jak moi, zuchów, to siła nie do pogardzenia przecie. Ale skoro tylko rzymianie się ztąd oddalą, i ja wtedy bezwzględnie miasto opuszczę, pozostawiając wam zupełnie wolne do działania ręce. Najpierw jednak musimy pomyśleć, jak wspólnemi siłami tego wroga odpędzić, a potem dopiero możecie się znów wzięść za czuby sami ze sobą; ale dziś, dopóki obcy nam wszystkim zagrażają, powinniśmy wszyscy ramię do ramienia stanąć.

Szymon bezwątpienia okrutny i gwałtowny despota, musiał jednak obok nadzwyczajnej waleczności posiadać i inne jeszcze zalety charakteru, skoro w żołnierzach swoich umiał wzbudzić dla siebie taką cześć i przywiązanie, że każdy z nich gotówby za nim bodaj w ogień skoczyć. Był to też w samej rzeczy wojownik po swojemu szlachetny; a przynajmniej w zestawieniu z takim np. Janem z Giszali, wychodzi z tego porównania zwycięzko. O ile np. tamten chytry i podstępny, zdolny nawet

do zdrady, o tyle ten znów szczery i otwarty, a jeśli ktoś na nim polegał, z pewnością zawodu nie doznał.

Dlatego to śmiało przemówienie Janka, nie tylko, że go nie dotknęło, ale przeciwnie, ujęło bardzo. Uśmiechnął się przeto przyjaźnie i wyciągając dłoń.

— Dosyć, dosyć — rzekł. — Oto moja ręka. Bądźmy przyjaciółmi. Bo kto tak mówi, ten nie umiałby zdradzić.

Jakby na dany znak, z obu stron jednocześnie tysiąc piersi wydało okrzyk radości.

W tejsze chwili nadbiegł zadyszany goniec z wieścią, że przednia straż rzymian już się ukazała na wzgórzach miasto okalających.

Szymon natychmiast wydawszy stosowne rozkazy, zwraca się do Janka.

— Pójdź ze mną — rzecze — z pałacu Heroda będziemy ich mogli dojrzeć.

Janek bez namysłu przyjął zaproszenie, co tem bardziej Szymona ujęło, im mniej się mógł tego spodziewać.

— Jakto? — nie obawiasz się? — zapytał pół żartem, widocznie zadowolony.

— Jestem pewny — odparł Janek spokojnie — że mi ani włos z głowy nie spadnie jako twemu gościowi. Wyznam otwarcie, że Janowi z Giszali, możebym nie zaufał, choć w najgorszym razie i z jegorąk potrafilibymnie towarzysze wyrwać, a przy najmniej drogoby mu przyszło krzywdę moją okupić.

— Bardzo, jak widzę, liczysz na swych przyjaciół.

— W tym razie liczę tylko na twoje słowo.

Za całą odpowiedź Szymon w milczeniu znów dłoń towarzysza uścisnął.

Znaleźli się wreszcie na wieży Phasaelusa,



z której wierzchołka, jak na dłoni, całe miasto i okolicę widzieć było można. Janek się pilnie rozglądał w około, aby lepiej poznać całe położenie, co w danym razie bardzo mu się mogło przydać. Zresztą widok to był nad wyraz wspaniały; nic przeto dziwnego, że młodzieniec tak żywo wszelakie piękno czujący, wprost nie mógł oczu od niego oderwać. Świątynię, co prawda, częścią zasłaniał pałac Agryppy; ale za to mnóstwo innych budynków zdumiewało swym ogromem lub kształtami. Tuż obok dumnie w górę strzelały wieże Hippicus i Mariamne; dalej mnóstwo pałaców i okazałych domów rysowało się na tle zieleni przepysznych ogrodów. Między innymi, zwracał uwagę pałac Heroda, zbudowany na miejscu niegdyś zamku Dawida. Już to w ogóle całe górne miasto zajmujące wzgórze Syon, szczególnie w wyżej położonej części, pełne było bogactw. Malowniczo się również przedstawiało przedmieście, zwane nowem miastem, u stóp pagórka Moria, między doliną Józafata i Tyropoeon rozrzucone. Na zachód zaś od wieży Hippicus, leży piękna dolina Hinnom ze stawem w słońcu połyskującym, a dalej, widnieje wioska Bethleem. W ogóle jak tylko okiem zasięgnąć można, cała okolica gęsto pokryta zielonemi sadami i willami.

A kiedy tak Janek, zachwycony widokiem, rozglądał się w około, Szymon tymczasem, również w milczeniu pogrążony, całą swą uwagę zwraca w stronę góry Scopus.

— Idą! — nagle zawołał. — Patrz, tam. Wiesz? — dodał, wskazując ręką.

Janek wyrwany z zadumy, spojrział w kierunku jego ręki.

Istotnie na drodze wstęgą wijącej się między wzgórzami, ukazała się ciemna, ruchoma masa, wśród

której, jak gwiazdki na niebie, migają słoneczne odbłyśki stali.

Jednocześnie uszu ich doleciały narzekania i płacz ludu. Powszechnem bowiem było mniemanie, że Bóg niedozwoli rzymianom zbliżyć się pod mury świętego miasta. A mniemanie to wyrosło z powodu jakoby różnych szczególnych znaków. Mówiono np., że jakieś dziwne światło ukazało się nad ołtarzem i świątynią, i że jakoby dały się słyszeć tajemnicze głosy; że podobno brama świątyni sama się otworzyła; że w chmurach widziano rydwany wojenne i liczne wojska, a w dodatku, jako miecz płomienny, długo wisiał po nad miastem wielki kometa.

A wszystkie te znaki tłumaczono sobie na dobre, chociaż było dość powodów, aby je sobie właśnie na złe wytłumaczyć. Ale taka to już natura człowieka, że chętniej on wierzy w to, czegooby pragnął.

Teraz więc dopiero, przekonawszy się o smutnej prawdzie, zaczęto lamentować. Widok rzymian rzucił niezmierny postrach. Ci, co byli jeszcze po za murami, w popłochu teraz cisnęli się do bram. Nie wielu tylko mądrzejszych uciekało w góry.

— Ha, — zgrzytnął Szymon — jeżeli Tytus myśli, że mu to z łatwością przyjdzie, to się grubo omyli.

— Ale pod warunkiem — dorzucił Janek — że wszyscy trzej podacie sobie ręce do wspólnej obrony. Inaczej, choćby mury były najsilniejsze, rzymianie wkrótce je opanują.

Szymon się zamyślił.

— Masz słuszność — rzecze po chwili — zaraz do nich poślę; niech wyznaczą czas i miejsce spotkania. Ja ze swej strony zaprzysięgnę zupełne

bezpieczeństwo ich osób, byleby tylko mogło porozumienie nastąpić.

Janek wyciągnął rękę.

— Tegom się po tobie spodziewał — mówi wzruszony. — Historya ci to kiedyś policzy, a lud będzie imię twe błogosławił.









## ROZDZIAŁ XVII.

### Pierwsze korzyści.

Pod nieszczęśliwą snadź gwiazdą rozpoczął Tytus dzieło ostatecznego ujarznienia ludu Izraela. Mało już bowiem brakło, a byłby na wstępie sam pierwszy padł ofiarą tej wyprawy.

Zaraz po przybyciu, wybrał się z małym tylko oddziałem dla poznania okolicy. A kiedy nieostrożny, zanadto zbliżył się pod mury, raptem otwiera się brama i wypada z niej tłum żydostwa. Oddział rzymian, widząc taką przewagę, cofnął się bezwłocznie, a Tytus z kilku zaledwie towarzyszami odcięty, jedynie tylko nadzwyczajnej odwadze swojej i rącości konia, zawdzięcza ocalenie.

Wypadek ten, choć drobny, i nie mógł mieć żadnego znaczenia, obleżonych jednak natchnął otuchą i ośmielił do dalszych wycieczek już w większych rozmiarach przedsiębranych.

Janek znów nazajutrz z Szymonem śledząc z wieży ruchy rzymian, zauważył dość znaczny przedział między ich obozami. Istotnie 12 i 15 legia, rozbiły swe namioty razem na stoku wzgórza Scopus, a o kilkaset kroków dalej, rozłożyła się 5 legia. A więc wszystkie te trzy legie stały prawie razem; natomiast 10 legia, idąc od strony Je-



richo, zatrzymała się na górze Oliwnej, zatem w dość znacznem oddaleniu od tamtych.

— Teraz — zauważył Janek, — niedając im czasu na wypoczynek i wzniesienie fortyfikacyi, wartoby spróbować szczęścia. Sądzę bowiem, że uderzywszy na górę Oliwną, możnaby coś zrobić, zanimby im tamte oddziały zdążyły dać pomoc.

— I ja tak sądę — potwierdza Szymon.

Zaraz też wysłany goniec, przyniósł niebawem wiadomość, że i Jan z Giszali zgadza się na ten plan.

Stanoło tedy na tem, że silnie obsadziwszy mur zewnętrzny tak, aby udaremnić wszelką możliwość napadu od wzgórza Scopus, Jan wyjdzie Złotą bramą, a Szymon z Jankiem, wyprowadzą swoich nieopodal od strony północnej. Że jednak jedni drugich widziećby nie mogli, przeto strażnik miał z murów dać obu partyom znak w stosownej chwili, aby razem uderzono.

Jako też tak się stało. Oba wojska w szlachetnem współzawodnictwie idąc o lepsze, w oka mgnieniu spuściwszy się na dolinę Jozafata, rączo ruszyły w górę.

Rzymianie, wcale nie przewidując napadu, zajęci sypaniem okopów, zostali zaskoczeni prawie nieprzygotowanymi; wielu nawet było bez zbroi i miecza u boku. Żydzi wprawdzie szli bezładną kupą, ale każdy z nich walczył jak lew, zgoła nie dbając o życie. Natarcie więc było tak gwałtowne, że rzymianie po słabym zaledwie oporze, zostali wyparci z niedokończonych jeszcze okopów, i to aż na sam wierzchołek wzgórza. Już nawet blisko było popłochu, i możeby się niebawem sromotna zaczęła ucieczka, ale w tejże właśnie chwili przypada sam Tytus ze swą przyboczną strażą, i znów bitwa wzrwała na nowo. To nagłe pojawienie się Tytusa,

który uderzył na skrzydło, odwróciło uwagę żydów, dając tamtym czas ochłonać i zebrać się. Jako też niebawem znów w linii bojowej stanęli; a chcąc zatrzeć wstyd, z tym większym teraz zapalem nacierają.

Żydom coprawda wciąż nowe przybywały posiłki, ale walcząc bezładną kupą, nie mogli się oprzeć porządnie ustawionym szykom rzymian. Pomimo więc prawie nadludzkich wysiłków i cudów waleczności, zepchnięci w dolinę, dopiero się tu oparli. Pierwszy Janek stawił czoło, ze swoją na sposób rzymski wyćwiczoną drużyną, a za jego przykładem poszła reszta. Teraz znów z kolei rzymianie zaczynają ustępować. Żydzi ich wciąż swoją przewagą liczebną gniotą i prą w górę, posuwając się dalej i dalej, krok za krokiem, aż w końcu nawet udało im się złamać ich linię bojową. Zaczyna się teraz prawie bezładna ucieczka; klęska już zdaje się pewna, nieunikniona; stało się jednak coś nadzwyczajnego. Ktoś zauważył, że Tytusa nie ma. Gdzie wódz? gdzie wódz? — pytają uciekający, jedni drugich. — Wódz został... Wódz tam w dole jeszcze... Wódz otoczony...

Na dany znak, znów w jednej chwili, karny i wyćwiczony żołnierz, staje w szeregu, i znów do boju gotów, biegnie bronić wodza.

Wódz tymczasem w niemałych już opałach. Wierna drużyna, wzięwszy go w środek między siebie, mężnie się jeszcze w około następującej ciżbie żydów opędza, ale jej z każdą chwilą znacznie ubywa. Zaledwie jeszcze kilkuset przy życiu zostało, a i ci już z sił wyczerpani, niekiedy wprost tylko ze znużenia padają — w okół nich już istny wał z końskich i ludzkich trupów, a żaden jeszcze ani myśli o złożeniu broni.

A właśnie partyi Janka przypadł w udziale zaszczyt tej walki. On sam, skoro tylko spostrzegł o kogo to chodzi, prawie bezprzytomny, z całą zjadłością rzucał się, rąbał na wszystkie strony, w około pokotem kładł trupa, koniecznie usiłując przedrzeć się do środka. Ale kiedy już prawie blizkim był tego celu, kiedy już niebawem obaj przyjaciele znów mieli sobie spojrzeć oko w oko i zmierzyć swe miecze — raptem na tyłach powstaje wrzawa i zamęt,

Rzymianie uciekający, znów stanąwszy w linii bojowej, widząc co się dzieje, widząc, że tu każda minuta stanowi o losie ich wodza, takim pędem z góry biegli mu na ratunek, iż żadna siła nie byłaby w stanie powstrzymać tej nawały. Jak lawina z gór spadająca, wszystko po drodze przewracali własnym tylko ciężarem i własnym rozmachem.

Nie przygotowani na to żydzi, tem łatwiej się ugięli, już ustępować zaczynają. I kto wie, na czymby się skończyło, ale zapadająca już noc rozdzieliła walczących.

Żydom wprawdzie nie udało się pojmać Tytusa, ani nawet wyprzeć rzymian, wracali jednak nie bez plonu. Już samo to, że przeciwnik kilkakrotnie cofać się musiał, zadawałniało ich dumę. Sporo ich wprawdzie padło, ale też nieźle przerzedzili i rzymskie szeregi.

Nazajutrz właśnie przypadał 13 kwietnia, dzień paschy, największa uroczystość w roku. Bramy świątyni, jak zwykle, na rozścież zostały otwarte dla tłumu pobożnych.

Jan z Giszali, mimo przysięgi, poręczającej Eleazarowi zupełne zawieszenie wszelkich nieprzyjacielskich kroków, postanowił skorzystać z tej sposobności, i raz na zawsze pozbyć się tego przeciwnika. Ludzie więc jego, pod pozorem modlitwy,



także wcisnęli się do świątyni, i raptem, dobywszy broń z pod sukni, uderzają na nieprzygotowanych przeciwników.

Takim podstępem Elezear pokonany, schronił się aż do piwnic. Wyszedł dopiero wtedy, gdy mu zwycięzca życie poręczył.

Gwałt dokonany w świątyni, i to na dniu tak uroczystym, wywołał powszechne oburzenie; ale Jan nie dbał o głos bezbronnego ludu. Zadowolony, że wcieliwszy niedobitki Eleazara do swoich szeregów, pozbył się nareszcie niemiłego sąsiedztwa. Odtąd były już tylko dwie partye — jego i Szymona.

Tytus tymczasem, przekonawszy się, że tylko przez oblężenie może dojść do celu, przystąpił zaraz do robót od strony północno-zachodniej. Przedewszystkiem więc zaczęło się od zburzenia wszystkich zabudowań i ogrodów, od stoków wzgórza Scopus aż ku zewnętrznym murom miasta.

Na ten widok niejednemu żal serce ścisnął, i wielu wolałoby raczej poddać się natychmiast, byle zapobiedz dalszemu zniszczeniu. Gdyby to tylko od tłumu zależało, z pewnością zaraz otworzono by bramy; ale o tem inni stanowili, więc ani mowy być nie mogło. Zarówno bowiem Szymon jak i Jan, nie mogąc liczyć na żadne względy rzymian, gotowi raczej walczyć do upadłego, zgoła nie myśleli o złożeniu broni.

Na zrobienie większej wycieczki teraz odważyć się nie mogli, ale jeden przez drugiego wymyślał różne podstępy, aby rzymian zwabić w zasadzkę. Raz też udało im się prawie do nogi wyciąć cały oddział napastników. Ale były to tylko drobne, nic nieznaczące korzyści w porównaniu z szybkim postępem robót oblężniczych; nie mogły też zgoła odwrócić losu, jaki miastu zagrażał.

Z wyjątkiem obozu pod górą oliwną, który silniej obwarowany, został na miejscu, inne wojska podsunęły się bliżej ku murom, tak że je tylko dolina Hinnom od nich dzieliła.

Ale coraz bardziej zwiężając ten żywy wał opasujący miasto, Tytus radby jednakże uniknąć okropności skutków oblężenia. Zanim przeto przystąpił do szturm, próbując jeszcze drogi pokojowej, wysłał Nikanora i Jozephusa, aby się starali nakłonić oblężonych do złożenia broni. Posłów tych jednak przyjęto strzałami, z których jedna ciężko zraniła Nikanora.

Rozgniewany tem Tytus, dłużej już nie zwlekał.

Dzień 22 kwietnia, to pamiętna data w dziejach Jerozolimy. W tym dniu bowiem rozpoczęto dzieło zniszczenia.

Tytus uznawszy, że część muru między bramami Psephinus i Jafa, najslabsza, tam postanowił najpierw uderzyć. Tam też zewsząd zwożono w wielkiej ilości drzewo, które miało posłużyć do zapelnienia głębokiego rowu, jaki mury otaczał. Tam również sprowadzone zostały maszyny oblężnicze, i zbudowano olbrzymie wieże na 90 stóp wysokie. Mnóstwo robotników dniem i nocą pracowało pod osłoną całego wojska.

Ale i żydzi też nie próżnowali. Wprawdzie zdobyte niegdyś na Cestiuszu maszyny, nie nawiele im się przydały, bo ich nikt zażyć nie umiał; ale za to celne pociski ich procarzy i łuczników, nie małe siały spustoszenie wśród oblegających. Nieraz też raptem brama się otwiera, wypadnie oddział, narobi szkody, i zanim rzymianie nadbiegną, już znów nikogo niema.

Z odległości 1000 kroków, za pomocą katapult i innych tym podobnych maszyn, zarzucano miasto

gradem pocisków. Były to nieraz głązy i odłamy skał, po kilkaset funtów ważące; małą jednak krzywdę obłążonym wyrządzały. Wciąż bowiem stojący na straży żołnierz; zawsze krzykiem ostrzegał ich przed każdym lecącym pociskiem. Aby je przynajmniej w nocy uczynić mniej widocznymi, Tytus rozkazał błyszczące głązy na ciemno malować, ale i to niewiele pomogło.

Mimo przeszkód ze strony żydów, udało się w końcu podsunąć wieże i maszyny prawie tuż do muru. Wkrótce też pod ich strasznem działaniem, padł jeden róg wieży. Jakkolwiek mury trzymały się jeszcze mocno, zdawało się jednak, że żydzi wobec takiej potęgi działania maszyn, zaczynają już tracić ducha.

Rzymanie pod wieczór, widząc wracających do miasta, sami też się cofnęli na wypoczynek. Tymczasem z małej bramki, której dotychczas nawet nie zauważono, żydzi nagle wypadają, i część z pochodniami w ręku rzuca się ku wieżom, aby je podpalić, inni zaś z takim rozmachem wpadają na oddział, pełniący straż przy nich, że w oka mgnieniu byli panami pola. Ale na nieszczęście, wieże opancerzone żelazem, zając się nie chciały; a tymczasem też nadbiegł Tytus z konnicą.

Żydzi mogli się jeszcze mierzyć z rzymskim piechurem, ale w obec ciężkiej kawaleryi, niepodobna im było kroku dotrzymać. Zaraz więc po krótkiej walce, cofnęli się za mury.

Przy tej sposobności Tytus sam własną ręką zarąbał aż 12; a jednego, którego do niewoli wzięto, kazał ukrzyżować tuż na oczach żydów.

Ale to wszystko nic wobec straty, jaką w tym dniu żydzi ponieśli przez śmierć Jana, wodza edomitów. Był to bowiem żołnierz waleczny i ro-



zumny, który ich nieraz dzielnie zarówno mieczem jak i radą wspierał.

A co gorsza, że w zamian żadnego z tej wycieczki nie osiągnęli zysku. Tak się przynajmniej na razie zdawać mogło. W nocy dopiero wieża, której podpalić nie mogli, runęła wskutek osłabienia fundamentu. Ale i ztąd niewielka dla obleżonych pociecha, gdyż pozostałe, jeszcze im dość szkody wyrządzały. Jedną z nich sami nawet „Zwycięzcą“ nazwali.

W końcu widząc, że nie zdołają przeszkodzić ich nieszczęsnemu działaniu, po dwóch tygodniach daremnych wysiłków, postanowili cofnąć się za drugą linię murów, którą za bez porównania silniejszą uważano.

Tak więc Tytus bez przeszkody już zajął dzielnicę przy wieży Psephinus, zwaną obozem assyryjskim, albo nowem miastem Beretha. Zdawało mu się, że będąc panem tej pozycyi, mógł już uderzyć wprost na pałac Heroda i na górę Moria z drugiej strony, bez zdobywania drugiego muru, zasłaniającego dolne miasto. Po kilkodniowych jednak daremnych usiłowaniach, przekonał się do wodnie, że niepodobna celu tego dopiąć, dopóki nie będzie panem dolnego miasta.

Żydzi natomiast przeciwnie, uważając wzgórze Syon i Moria za główną twierdzę, nie wiele kładli wagi na obronę dolnego miasta. Tak mało też o jego utrzymanie dbali, że się prawie bez stawienia oporu cofnąwszy, zostawili tylko jednego oficera z 10 ludźmi; a i ten w końcu opuścił to stanowisko, podłożywszy ogień pod wieżę.

Tytus więc znów posunął się o krok dalej. Za ledwie jednak wojsko jego rozproszyło się po wązkich i krętych uliczkach, nagle z jednej

strony Szymon, a z drugiej Janek wpadają mu na karki. Jedna część naciera z tyłu, między drugim a trzecim murem, inni znów walczą na ulicach, lub wdarłszy się do domów, prażą strzałami z okien i dachów. Zaledwie z wielką stratą zdołał się Tytus w końcu wycofać z tych opałów.

Zydzi tedy znów odzyskawszy utraconą pozycję, przez 3 dni i nocę, bez wytchnienia, z największym wysiłkiem bronili jej przeciw natarczywym szturmom rzymian. W końcu jednak, widząc, że się nie zdołają utrzymać, w porządku ustąpili do głównej twierdzy.

Janek walcząc prawie bez ustanku, odniósł aż kilka lekkich ran. Ale bardziej niż rany, bolała go strata wielu druhów. Legło ich tam z górą 200; razem więc z poprzednimi stratami, ubyła mu blisko połowa, od czasu przybycia do świętego miasta.

Odtąd więc postanowił bardziej ich ochraniać, zachowując na chwile smutnej ostateczności. Postarał się też dla nich o lepszą żywność z zapasów Szymona; swoje własne zapasy, które zdążył usunąć przed wtargnięciem rzymian, wolał na czarną godzinę zachować.

A owa czarna godzina, podług jego rachunku, była już bardzo bliską, i szybko się jeszcze wciąż zbliżała. Dużo wprawdzie zboża i różnego prowiantu zgromadzono, wystarczałoby tego nawet i na parę lat, gdyby nie owe nieszczęsne bratobójcze walki, w czasie których niemało sobie wzajem naniszczono. Teraz dopiero, kiedy widzą składy prawie puste, może w duchu nareszcie żałują swej głupoty, ale żal choćby największy, po niewczasie złego już nie naprawi. Dla wojska jeszcze na jakiś czas wystarczy, ale lud zaczyna już głodem przymierać. Ztąd też wiele osób różnemi drogami z miasta

ucieka. Tytus z początku patrzył na to przez szpary, ale Szymon i Jan, zamiast im to ułatwić, przeciwnie, zabraniali. Rozstawiona wszędzie straż, miała surowy rozkaz chwycić każdego, ktoby się usiłował przez mury wyslizgnąć. Schwytanych czekały męki i śmierć, a to pod pozorem zarzutu usiłowania ucieczki do obozu rzymian; domy zaś nieszczęśliwych rabowano. Pochodziło to więcej z wrodzonego okrucieństwa, niż z chęci zatajenia przed Tytusem braku żywności, o czym on już dobrze wiedział. W końcu też i on zmienił swe postępowanie w nadziei zapewne, że im więcej zostanie w mieście ludności, tem prędzej głód zmusi je do poddania. Odtąd więc nikogo nie wypuszczał, a schwytanym uciekinierom groziła teraz śmierć i ze strony rzymian. Bywały dni, że po kilkuset naraz krzyżowano tuż przed murami, aby takim okrucieństwem pozostałych przerazić. Mimo to, niejeden jeszcze próbował szczęścia, szukając ratunku w ucieczce, bo lepszą wydała się raczej śmierć niż takie powolne konanie w mękach głodu i strachu, bez nadziei ocalenia. Nędza już tak była wielka, że ludzie osłabieni, ledwo nogi za sobą powłóczyli, ślaniając się jak cienie, jak mary z tamtego świata. Wiele kobiet wychodziło, aby między wałami zbierać zielsko i korzonki; ale i tę zdobycz najczęściej śmiercią przyplącały, gdyż rzymianie strzelali do nich jak do zwierzyny. A chociaż się której udało wyjść cało, to jeszcze nie zawsze mogła plon swej pracy zanieść zgłodniałym dzieciom, bo go najczęściej żołdacy dla siebie z rąk jej wydarli.

Wkrótce też całe miasto zamieniło się w jedno wielkie, straszne cmentarzysko, bo bez przesady można powiedzieć, że ludzie codziennie tysiącami umierali. Do końca czerwca naliczono trupów



z górą pół miliona. Wielu powlokło się na cmentarz, aby tam wśród grobów krewnych, ducha wyzionąć; inni zaś ostatkiem sił wdrapawszy się na szczyty domów, konali zapatrzeni w świątynię. A o grzebaniu ani mowy nie było, bo nikt już nie miał dość na to mocy. Zostawiali tam gdzie padli; a rozkładające się trupy zakażały powietrze, bardziej jeszcze mnożąc choroby.

Jankowi się serce na ten widok z bólu krajało tem bardziej, że był wobec tego bezsilnym. Radby oddać wszystkie swe zapasy, ale o tem mowy być nie mogło. Jego własni towarzysze gotowiby mu opór stawić. Człowiek przecie jest poniekąd jak zwierzę, przedewszystkiem myśli o sobie. Raz już nawet coś o tem napomknął, ale nalegać, ani rozkazywać nie śmiał, bo mu zaraz jeden z oficerów paru słowy gębę zamknął.

— Wszystko to pięknie — mówi — ale prócz serca, człowiek winien mieć także i rozum. A rozum tu mówi, że im nie na długoby tego wystarczyło, a sami byśmy się zgubili. Zresztą żołnierz musi jeść, aby miał siłę, bo cóż po nim, gdy miecza nie udźwignie.

Chociaż była to racya wstrętna dla Janka, nie mogąc jednak zaprzeczyć, więcej już nie próbował z tem się odzywać, w obawie, aby mu wprost nie wypowiedzieli posłuszeństwa. Sam jednakże, wołąc głodem przymierać, własną porcyą oddawał dla kobiet i dzieci z sąsiedztwa. Starał się przytem o ile możności jak najmniej wychodzić na ulice, unikając w ten sposób rozdzierających duszę widoków męczeństwa.

A z każdym dniem było gorzej i gorzej. Lud do rozpaczcy przywiedziony, gotówby jednej chwili

bramy rzymianom otworzyć, ale ani Szymon, ani Jan o tem nie myśleli. Szymon nawet arcykapłana Mateusza, (tego samego, który go niegdyś do miasta wpuścił), posądziwszy o znowę, rozkazał, razem z 15 członkami najwyższego sądu (zwanego syne-drium, albo sanhedrin) stracić w oczach oblegających.

Oburzyło to nawet jego własnych ludzi do tego stopnia, że jeden z nich, imieniem Judasz, porozumiawszy się z 10 swymi towarzyszami, zamierzał ułatwić rzymianom opanowanie jednej z wież. Że jednak tyle już razy w pole wyprowadzeni rzymianie, i teraz nie dowierzając, zbyt długo się namyślali, więc tymczasem zamiar zdrady został odkryty, i spiskowcy znów, jak tamci, śmierć ponieśli.

Janek to wszystko do żywego oburzało tem bardziej, że widział już całą bezużyteczność dalszej obrony. Czuł że należało uleść. A im prędzej, tem lepiej, bo każda chwila zwłoki, mnoży ofiary, i nie oddala lecz przeciwnie, przybliża do nieuniknionego już końca. Nie odważył się jednak zdania tego wypowiedzieć głośno, gdyż podejrzliwy Szymon mógłby ztąd wysnuć przypuszczenie zamiaru zdrady i może nawet postąpić tak jak z Mateuszem i Judaszem. Kiedy więc raz go Szymon zapytał: co myśli?, ostrożny Janek dał mu na to odpowiedź wymijającą.

— Myślę — mówi — to co i dawniej. To jest, że chyba jakiś cud może nas ocalić.

— Ależ trudności, jakie się dotychczas udało im pokonać, niczem są w porównaniu z tem, co ich tu jeszcze czeka.

— Prawda, nie przeczę — przyznaje mu

Janek. — Ale na jak długo wystarczy nam żywności?

Szymon ze zwieszoną głową, milczał.

— Co do mnie — Janek ciągnie — powtarzam, że jestem gotów walczyć do ostatka w nadziei, że może się nareszcie Bóg nad nami ulituje.

---



## ROZDZIAŁ XVIII.

### Początek końca.

Tytus, znając opłakane położenie oblężonych, liczył, że czas najlepszym jego sprzymierzeńcem, dla tego nie ponawiał szturmów. Zresztą, jeśli się da, wolałby sam uniknąć strat i zarazem miastu ich oszczędzić. Aby więc okazać mu swą potęgę i dać przez to do zrozumienia, że daremnym już dalszy opór, przez 4 dni urządzał wielkie parady całego wojska, poczem wysłał Józefa z wezwaniem do poddania się.

Nieszczęśliwy jednak był to wybór. Oblężeni bowiem, mimo wewnętrznych sporów i walk, zgadzali się jednak w zapatrywaniach co do Józefa tak, że wyrok potępienia był jednomyślnym. Już więc dla tego samego, że to on do nich przemawiał, nie chcieli nawet ani słuchać o poddaniu, chociaż parada rzymska istotnie przygnębiające na wszystkich zrobiła wrażenie.

Tytus zawiedziony w rachubie, przyspiesza roboty. Mimo ciągłych przeszkód ze strony żydów, wieczorem dnia 28 maja wszystko nareszcie było gotowe, aby nazajutrz od samego rana przystąpić do szturm.

Tymczasem, kiedy już za chwilę maszyny miały

zacząć działać, raptem wznoszą się kłęby dymu, i niebawem wszystko staje w ogniu.

Żydzi naturalnie, śmieją się z radości, wznosząc okrzyki na cześć Janka; on to bowiem podkopał się i ogień podłożył. Jednocześnie Szymon wypadłszy ze swymi, zdołał przeszkodzić ratunkowi.

Tak więc w jednej chwili, rzymianie utracili cały owoc 17 dni wielkich trudów; a co gorsza, że zbudowanie nowych wież, maszyn i ostrokołów, wymagało dłuższego czasu z powodu, iż cała okolica na kilka mil była już prawie ogołoconą z drzewa, które zdaleka teraz wypadałoby zwozić.

Wobec tego Tytus przedłożył radzie wojennej trzy sposoby dalszej walki: albo nanowo budować maszyny, albo uderzyć do szturm, albo też ogłodzić.

Rada wybrała ostatni sposób. Stanęło więc na tem, że całe miasto szczerlnie trzeba szańcami opasać.

W 3 dni był już usypany wał blisko 10 kilometrów długości w obwodzie. Teraz już zatem przecięto wszelkie drogi ucieczki, jak również odtąd nikt już nie mógł wychodzić w celu zbierania roślin i korzonków.

Ale nie poprzestając na tem, rzymianie jednocześnie pracowali nad budową maszyn tak, że z początkiem lipca znów mogli na nowo przystąpić do przerwanych robót.

Tym razem ciosy były skierowane przeciw murom pałacu Antonia. Żydzi, jak zawsze, starali się przeszkadzać, ale bez skutku. Wycieczka skończyła się prawie porażką; a rzymianom tymczasem już pod wieczór udało się wyłamać 4 wielkie głązy, wskutek czego runęła część muru. Ale przeczorny Jan zawczasu już zapobiegając następstwom, wznosił

po za nim drugi; zwycięzcy więc nie odnieśli ztąd prawie żadnych korzyści.

Mimo to, Tytus kazał szturm przypuścić na ochotnika. Znalazło się 10 zuchów i tych prawie na pewną śmierć poprowadził syryjczyk Sabinus; ale wszyscy padli, nic niewskórawszy. Dopiero we dwa dni później, udało się Tytusowi podstępem pałac opanować.

Teraz, niedając żydom ochłonąć z przerażenia, bez straty czasu uderza na zabudowania łączące pałac ze świątynią.

Janek widząc, że już i świątyni grozi niebezpieczeństwo, także poskoczył ze swymi, aby jej bronić.

Przez 10 godzin potykano się zawzięcie. Z obu stron padła moc trupa. Już parę razy zdawało się, że rzymianie wezmą górę i świątynia w ręce im wpadnie; w końcu jednak Tytus przekonawszy się, że nie zdoła przełamać rozpaczliwego oporu żydów, powrócił z niczem za mury pałacu, zmuszony porzestać tymczasem na tej tylko zdobyczy.

Teraz, rozkazawszy piękny ten gmach z ziemią zrównać, wysyła Józefa z poleceniem, aby w jego imieniu zapewnił Jana z Giszali, że pozwoli mu odejść, jeżeli wyjdzie i w otwartym boju zwycięży. Ale, jak to było do przewidzenia, Jan przyjął wysłannika z przekleństwem na ustach, nazwał go zdrajcą i wręcz odmówił, oświadczając, iż nie obawia się o miasto, które należy do Boga.

Tytus próbował jeszcze pośrednictwa różnych osób wpływowych, aby przynajmniej świątynię ocalić, ale wszystko na próżno.

Wtedy chwyciwszy się wreszcie ostatniego środka, sam postanowił iść i przemówić.

— Wy sami — woła do zgromadzonych na murze — zmuszacie mnie wbrew mej woli i chęci,



do znieważania świętego miejsca, które nawet obcy rzymianie zawsze szanowali, i które ja także radbym uszanować. Wzywam tu na świadectwo wasze własne bogi, a i wy sami też musicie to przyznać, że nie na mnie spada za to wina. Wy jedni; i tylko wy za zniszczenie tej świątyni odpowiecie, bo dziś tylko wy jedni możecie ją ocalić. Jeśli jest między wami Jan z Gamali — bo już wiem, że on to był, któremu dałem słowo — niech wystąpi i niech powie sam, czy go nie dotrzymuję.

Wszyscy spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co by to mogło znaczyć. Jan z Gamali! Jan z Gamali! — szło z ust do ust.

Jeszcze ten szmer zdumienia nie ucichł, kiedy Janek, przedarłszy się przez tłum żołnierzy, oddaje pokłon i woła:

— Jestem tu, Tytusie.

A następnie zwraca się do swoich.

— Wobec was wszystkich — mówi — którzy tu mnie słyszycie, uroczyście oświadczam, że Tytus, wódz rzymski, dotychczas święcie dotrzymuje danego mi słowa. Ale błagam cię, Tytusie — dodał — staraj się do końca czynić wszystko, co tylko w twej mocy, aby świątynię ocalić.

— Wyjdźcie, walczmy gdzie chcecie, a żaden z moich żołnierzy ani jej dotknie. Inaczej, jeżeli padnie w gruzy, nie będzie to już moja, ale was samych wina.

Szymon mu się w oczy roześmiał.

— Lepiej ty przyjdź do nas — woła z naigraniem — tu się spróbujemy... Waryat! — dodał już po odejściu Tytusa. — Cóż on sobie myśli, ten młokos? Za kogo nas ma? Słyszane to rzeczy! Wychodzić z za murów, aby dać się pobić w otwartym polu!.. Ale co to wszystko znaczy? — pyta Janka podejrzliwie i dość szorstko. — O jakich to

przysiężeniach mowa? Co między wami być może? Wytłumacz się.

Janek uśmiechnął się ironicznie, aby mu dać uczuć niewłaściwość tonu, w jakim do niego przemawiał; niechcąc jednak wszczynać sporu w takiej chwili, odpowiedział spokojnie, ale sucho.

— To znaczy, że walcząc z nim, mogłem go zabić, a nie zabiłem w zamian za przysiężenie ocalenia świątyni. Ale teraz widzę, że to nie od niego, lecz od was samych los jej zależy. Bo i czemuż nie cofnąć się do górnego miasta? Wszak i tam, zburzywszy za sobą mosty, również możnaby się bronić...

Szymon szyderczo się uśmiechnął.

— A tak — powtarza — bo tam można samem powietrzem żyć. Prawda? Nie. Będziemy do ostatka bronić świątyni. A im prędzej zaczną z nami, tem lepiej, bo wkrótce żaden nie będzie zdolny miecza udźwignąć. Zresztą któż zaręczy, czy dotrzymaliby słowa?

— W takim razie na nichby spadła odpowiedzialność wobec Boga.

— Ale przez to świątynia z gruzów nie powstanie. Naszym więc obowiązkiem bronić jej do ostatka.

Szymonowi chodziło widocznie o to, aby nie stracić celu walki. Wiedział bowiem, że przeważna część bije się tylko dla jej obrony; inaczej więc upadłaby na duchu, i wtedy nie pozostałoby już nic, jak broń złożyć, a tego właśnie on nie chciał.

Janek przenikając jego myśli, wcale nie dwuznacznie dał mu do zrozumienia, że wszelki dalszy opór byłby wprost szaleństwem, i że tem samem nie pozostaje już nic, jak wejść w układy.





5



5

Ale o układach Szymon ani słuchać nie chciał. Na samo wspomnienie zawrzał gniewem.

Wkrótce też Janek zauważył, że jest na każdym kroku śledzony; a niedługo Janasz mu donosi, że kilku zelotów starało się wcisnąć między jego żołnierzy, próbując wejść z nimi w gawędkę, co mu się wydało bardzo jakoś podejrzaniem. Doniósł mu zarazem, że dziwaczne już zaczynają krążyć wieści o jego stosunkach z Tytusem.

Bezwątpienia wszystko to stało ze sobą w związku; jasne też było, o co tu chodzi. A mając aż nadto liczne dowody, że Szymon i Jan prędko załatwiają się z ludźmi, którzy im są z jakiegobądź powodu niewygodni, Janek zaraz postanowił, albo się jaknajprędzej wycofać, albo też przynajmniej bardzo być ostrożnym.

O wycofaniu jednak nie mogło być na razie mowy, bo nie był pewnym, czyby nawet jego własni żołnierze posłuchali rozkazu złożenia broni. Ogólny bowiem zapał i gotowość poświęcenia życia w obronie świątyni, tak dalece i jego drużynę ogarnął, że było poprostu niebezpiecznie z tem się odzywać. Łatwoby wtedy mogły znaleźć u nich posłuch wieści, które widocznie Szymon, albo Jan między nimi chciał rozsiewać, aby ich najpierw przeciw własnemu wodzowi zbuntować. a potem już bez przeszkody z nim samym się załatwić.

Licząc się z tem, Janek postanowił działać o ile można oględnie. Na razie więc myśl złożenia broni całkiem poniechał; niemniej inny plan wycofania się, który miał już w pogotowiu, także uznał za właściwe do sposobnej chwili odłożyć, przestając tymczasem na zachowaniu wszelkich ostrożności.

Przedewszystkiem więc zaczął od wydania rozkazu, aby odtąd cały odział wciąż był pod bronią

w pogotowiu na każde zawołanie, a rozstawione silne straże, nikogo z obcych nie dopuszczały; sam zaś nigdzie ani na krok się nie oddalał, Janaszowi zlecając wszystko, cokolwiek wypadło po za szeregiem załatwić.

A przezorność ta zdaje się nie była zbyt dużą, bo Szymon wyraźnie usiłował go do siebie zwabić; i kto wie nawet, czy nie przyszedłoby w końcu do użycia siły, gdyby mu rzymianie dali na to czas i sposobność. Każdej chwili mogła się napaść ponowić, trzeba więc było wciąż być w pogotowiu, wciąż czuwać. A Szymon wiedział, że z Jankiem nie poszłoby mu tak gładko jak np. z Mateuszem i z tylu innymi, więc chcąc niechcąc, musiał czekać, nie wyrzekając się bynajmniej zrobienia swego.

A czujność wobec rzymian była tem konieczniejszą, że mając już w swem posiadaniu pałac Antonia, mogli się teraz zebrać w znacznej liczbie, i niespostrzeżenie podejść. Pałac bowiem oddalony był od świątyni zaledwie jakieś 200 kroków tylko, a przejście osłaniały zabudowania klasztorne. Zabudowania te łatwo by wprawdzie przyszło zburzyć, ale że je uważano jako stanowiące część świątyni, więc nikt się na to nie odważył; albowiem istniała przepowiednia, że skoro choć jeden kamień zostanie naruszony, cała świątynia w gruzy padnie.

Możeby jednak Szymon tem się nie krępował, ale mu szło o podtrzymanie ducha, którego by niezawodnie bardzo takie naruszenie świątyni musiało osłabić. Wolał więc wystawić się na tem większe niebezpieczeństwo, a to znów zniewalało go do bezustannej czujności. Wprawdzie Tytus przez całe 7 dni zajęty był burzeniem pałacu Antonia, mógł jednak mimo to, w każdej chwili z nienacka napad wykonać.



Temu też przedewszystkiem Janek zawdzięczał, że pozostawiono go w spokoju, do czego jednak niemało się także przyczyniło zachowanie największych ostrożności.

Chociaż Janek miał przez to niezmiernie utrudnione zadanie, jednak nie zapominał o swoim planie; ale nie mogąc działać osobiście, musiał się wyręczać Janaszem i Rubenem. Szło mu o to, aby w stanowczej chwili, przynajmniej resztę niedobitków ocalić z pogromu. Tymczasem zaś usilnie się starał, aby swych towarzyszków przekonać, że zadanie ich już skończone, i że nawet wprost obowiązek im teraz nakazuje, zaprzestać walki, która zamiast ocalić, przeciwnie, spowoduje właśnie ruinę świątyni. Ale nie łatwo przyszło pokonać zaślepienie, zwłaszcza, iż musiał działać tylko przez drugich, ostrożnie i powoli. Bezpośredniem wystąpieniem mógłby się narazić na utratę zaufania, jeżeli już nie wynikłyby ztąd jakieś gorsze skutki, zwłaszcza gdyby doradzał złożenie broni. Chwilowo więc, zmuszony iść za ogólnym prądem, ulegając okolicznościom, gotów był swą drużynę, choć wbrew przekonaniu, do walki poprowadzić, i pod tym też pozorem nakazał wciąż stać w pogotowiu.

Tymczasem Janasz z Rubenem przyszli zdać sprawę ze swej wycieczki.

— No cóż? jakże? — pyta Janek z niepokojem — czy wszystko tak jak mówiła?

— Co do joty — odpowiada Janasz. — Przejście, co prawda, miejscami trudne, a nawet niebezpieczne, ale można się wydostać. Radziłbym nawet nie oglądać się na nikogo i nie czekać ani chwili...

— Nie, tego nie uczynię — przerywa mu Janek. — Albo wszyscy pójdą za mną, albo też ja zostanę do ostatka tam, gdzie wszyscy. Niepodobna ich opuszczać; słusznie mogliby mnie nazwać zdrajcą.

Ale przynajmniej ty Ruben i ty Janaszku, uchodźcie ztąd, a ja może za wami podążę. Jeżeli zaś zginę, to wy tam chociaż zaświadczycie przed ludźmi, żem do końca wytrwał na stanowisku. Będzie to niemalą w smutku pociechą dla moich biednych rodziców i Maryi. Powiedzcie im, żem zawsze o nich myślał. Ty Janaszku, bądź im synem, zastąp mnie, a znajdziesz u nich szczere i otwarte serce.

— Nie, nie, Janku — przerwał mu Janasz. — Gdzie ty, tam i ja zawsze. Pozwól mi z tobą zostać tu do końca. Jeżeli mamy ginąć, gińmy razem. Zresztą ja muszę zostać, choćby dla tego, że sam byś tam nie trafił. I radziłbym...

W tej chwili przybiegł strażnik z oznajmieniem, że rzymianie idą do szturm.

---

## ROZDZIAŁ XIX.

### Świątynia.

Do najwspanialszych i ogromem zdumiewających gmachów, jakie kiedykolwiek ludzie zbudowali, bezwarunkowo zaliczyć także należy i świątynię jerozolimską, tę narodową dumę hebrajczyków. Jedyna to zresztą godna uwagi ozdoba podbitego przez nich kraju, jedyna zarazem spuścizna ich cywilizacji w tym zakresie.

Piękny ten pomnik budownictwa, wznosił najpierw król Salomon w r. 1012 przed Chrystusem, a po zburzeniu w r. 586 przez babilończyków, w 70 lat później odbudowany staraniem Zorobabela, następnie za Heroda Wielkiego, znacznie powiększony został, tak jak był właśnie w r. 70 po Chrystusie, t. j. w chwili napadu Tytusa.

Jedyna ta w całej Judei świątynia, a przynajmniej jedyna tych rozmiarów, zajmowała przestrzeń 200 m. w kwadrat. Zewnętrzne ściany wzdłuż Moria, na którem była zbudowana, obmurowano w ten sposób, że spadały prostopadle do swej podstawy. A na wierzchołku tej olbrzymiej masy kamienia, całą jego przestrzeń, brzegiem otaczały wysokie zabudowania, wsparte na 162 kolumnach.



Część ich południowa t. z. klasztor królewski, był 35 m głęboki.

Pierwszy dziedziniec otwarty, białym marmurem wyłożony, zwano pogańskim; dopiero dalej, po za niskim murem rozciągał się drugi, żydowski. Ztąd 14 schodów wiodło na taras, rozłożony pod murem na 27 m. wysokim, oddzielającym dziedziniec wewnętrzny. Po za tym murem jeszcze biegł ganek z 10 bramami, z których jedna zwłaszcza, tak zwana Piękna, przenosiła 29 m., a inne niewiele od niej niższe.

Dopiero pośrodku tego dziedzińca, stała właściwa świątynia, z białego marmuru zbudowana wielu złotymi wieżyczkami najeżona. Wielki jej przedsionek 58 m. szeroki, dźwigał wieżę 44 m. wysoką a 14 szeroką.

Krótki ten opis słabe zaledwie daje pojęcie o piękności i rozmiarach tego olbrzyma, który z pozorów zdawał się niezdołnym i zdolnym wytrzymać najsilniejsze ciosy ręki ludzkiej.

Ale Tytusa to nie odstraszyło. Zburzywszy mury pałacu Antonia, zaraz poczynił przygotowania do nocnego szturm. Że jednak całe wojsko nie mogło brać w nim udziału, więc tylko część najlepszą wysłał pod wodzą Cerealisa; sam zaś z wieży pałacu miał przyglądać się tylko, aby żołnierze wiedzieli, że na nich patrzy i że będzie wiedział, komu nagroda, a komu się kara należy.

Tak tedy z 25 na 26 lipca 70 r. po Chrystusie, między 2 a 3 godziną po północy, ruszyły zwarte szeregi rzymian ku świątyni.

Ale i żydzi stali już w pogotowiu. Bitwa trwała 9 godzin. W końcu Tytus widząc, że w boju ręcznym nie przełamie rozpaczliwej ich zaciętości, kazał się Cerealisowi cofnąć i zbudować rusztowania.

Żydzi usiłowali w tem przeszkodzić; zrobili nawet wycieczkę, ale wszystko nic nie pomogło, rusztowania stanęły, jedno pod zewnętrznym murem, drugie między zabudowaniami.

W obec tego żydzi widząc, że nie ma już rady, przymuszeni ostatecznością, sami podłożyli ogień pod skrzydło, prowadzące do pałacu Antonia, gdyż ono im bardzo utrudniało obronę. Ale i rzymianie, tracąc przez to wyborną osłonę, zyskali natomiast więcej miejsca, którego brak dotychczas utrudniał im dostęp w większych masach. Tytus więc nawet sam dla zyskania na czasie, kazał jeszcze i z drugiego końca zapalić, a pozostałe zgłiszcza czempredziej usunąć.

Tymczasem też i owe rusztowania były już skończone. Teraz żydzi, udając wielką z tego powodu rozpacz, opuszczają dach, nad którym panowały. Rzymianie, naturalnie, korzystając z tego, zaraz się sami na dach pakują. Ale kiedy już wielu ich się tam zebrało, nagle zaczynają z pod nóg im wystrzelać płomienie; i niebawem wrzysklich ogarnia jedno wielkie morze ognia. W popłochu rzucano się do drabin, ale zaledwie paru cało w ten sposób uszło; bo tłocząc się jeden przez drugiego, sami się nawzajem w przepaść spychali. Mnóstwo się też upiekło lub udusiło, mnóstwo także zeskoczyło; ale ci, co zeskoczyli na zewnątrz, znajdowali śmierć od razu, ci zaś, którzy szukali ratunku na dziedzińcu, ginęli tam pod mieczem żydów. Wreszcie pozostał już tylko jeden — legionista Artorius. Ten w rozpacz, woła do żołnierzy stojących na dole: „Hej, kto mnie pochwyci, temu cały mój majątek!“ Ale długo nikt się jakoś nie kwapił, chociaż wielu widocznie brała chętką, bo Artoriusa uważano powszechnie za bardzo zamożnego. Namysłali się jednak, a tymczasem płomienie już coraz

bardziej ogarniały nieszczęśliwego, i za chwilę będzie zapóźno, nikt go już nie uratuje. Nakoniec przecie jeden ramiona ku niemu wyciąga; ale drogo swe łakomstwo opłacił; tamten wprawdzie uratowany, ale za to on sam padł bez życia.

Tymczasem ogień robiąc swoje, strawił całą zachodnią połać, a północną znów rzymianie nazajutrz spalili. W ten sposób już z dwóch stron główna świątynia została odkryta, a ztąd na bezpośrednio szturmy wystawioną.

Niemniej i głód coraz bardziej dokuczał. Nawet już wojsku zaczynało brakować; wielu żołnierzy tak zszabło, że się zaledwo na nogach utrzymać mogli, a cóż dopiero mówić o zwyczajnych mieszkańcach. Jedna z kobiet nawet trupa własnego dziecka ugotowała. Od czasu do czasu wprawdzie udało się pochwyć jakiegoś konia lub osła, może z umysłu przez litościwszych rzymian blisko murów zapędzonego, ale i temu w końcu Tytus kres położył, zagrożwszy śmiercią każdemu, z czyjej winy to by się jeszcze wydarzyło.

Zapasy Janka również się prawie wyczerpały; zaledwie garść surowego zboża każdemu za całodzienne pożywienie wystarczyć musiała. Mimo to jednak zdołał utrzymać w korbach postuszeństwa resztki, jakie mu jeszcze z całego oddziału pozostały. Zaledwie kilku tylko przeszło do szeregów Szymona, aby razem z nimi, dopuszczając się różnych gwałtów, kobietom i starcom wydzierać ostatnią ich strawę. Janek, ma się rozumieć, surowo tego zabronił, grożąc nawet śmiercią wszystkim, którzyby się podobnej zbrodni dopuścili. Sam też z siebie dawał innym przykład, poprzestając na tem samem pożywieniu, jakie oni mieć mogli. Porówno też ze wszystkimi wciąż był na nogach, i te same wogóle znosił niewygody, jak pierwszy lepszy z jego



szeregowców; których liczba zresztą zmalała już do 50, a właściwie nawet do 30 paru tylko, gdyż kilkunastu było rannych lub chorych, czy też tak osłabionych, że już nawet miecza udźwignąć nie byli zdolni. Ale mimo takiego wycieńczenia, nawet wobec prawie niechybnej zagłady, jaką wszystkim groziła ta beznadziejna walka, nikt się nie zachwiał, żaden z nich nie zadrzał przed widmem śmierci, ale każdy gotów był na zawołanie, znów do boju stanąć.

Tak opłakane już było położenie oblężonych, kiedy rzymianie, przez dymiące jeszcze zgliszcza zachodniego skrzydła, przewytkłszy swe maszyny tuż pod świątynię, zaczęli jej mury taranami rozbijać — mury jednak przez 6 dni urągały całej ich potędze. Zrozpaczony więc Tytus, widząc, że mimo nadludzkich wysiłków, nic w ten sposób nie osiągnie, polecił spróbować, czy nie uda się od strony północnej, którejs z bram wysadzić. Wciąż jednak trwając w zamiarze ocalenia świątyni, surowo zabronił użycia ognia, chociaż był to najłatwiejszy, i bodaj, że jedyny sposób osiągnięcia zamierzonego celu. Jedna pochodnia wystarczyłaby mu teraz, aby otworzyć sobie drogę do serca tych murów, które wtedy już by mu łatwo przyszło ostatecznie opanować.

Żołnierze więc znów usilnie zaczynają pracować. Udało im się w końcu parę głazów z posad ruszyć, ale drzwi, mimo to, jak stały tak stoją wciąż, ani drgną.

Zniecierpliwiony tedy wódz, rozkazuje do szturm uderzyć. Żołnierze więc po drabinkach pną się na mury jeden przez drugiego, bo każdy, rozwścieczony tak zaciętym oporem, radby już nareszcie, za jaką bądź cenę, razem z nimi skończyć. Żydzi im wcale nie bronili na mury się wdrapać; ale gdy się już na koniec spora zebrała gromadka, wtedy dopiero

z okrzykiem na dach wpadają i nuż w taniec. Wielu tam pod mieczem legło, wielu zaś zepchniętych spadając, gniotło i spychało tych, co jeszcze byli na drabinach.

Widząc co się dzieje, Tytus wysłał innych ze sztandarami legii w mniemaniu, że raz je na murach zytknąwszy, nie pozwolą się już wyprzeć, ale stać będą przy swych znakach. Bardzo się jednak co do tego omylił, bo i znaki nie pomogły. Żydzi znów wszystkich do nogi wysiekli lub pospychali, a znaki z tryumfem unieśli.

Teraz dopiero Tytus, ulegając ogólnemu życzeniu wojska, acz niechętnie, ale pozwolił nareszcie użyć ognia. A zaledwie ktoś zbliżył pochodnię, już suche oddrzwia palą się płomieniem, a roztopione srebro okucia, strumieniem spływa i na bruku w kałuże się rozlewa. Po chwili już cały wokół budynku stanął w ogniu. A ze środka gorejącego pierścienia, jakby ognistą wstęgą spowita, sterczała jeszcze niedotknięta świątynia.

Teraz słyhać tylko jeden wielki, do głębi duszy wstrząsający krzyk rozpacz. Tysiące jękło bólem nad bóle. A ta straszna skarga zwyciężonych, to przekleństwo na głowy zwycięzców.

Ale żaden z nich nie ugiął się pod tym ciężarem, żaden może nie zrozumiał tego głosu rozpacz ludzi, którzy do ostatniego tchu bronili ołtarza swego Boga, i woleli raczej w gruzach się zagrzebać, niż go odstąpić i niż karku pod jarzmo ugiąć. Nawet sam Tytus nie sobie, lecz im samym tu winę przypisywał, a całe jego wojsko na krzyk boleści pokonanych, odpowiedziało krzykiem radości. Każdy z tych pogromców do końca dnia i przez całą noc mógł teraz do syta swe oczy napoić widokiem, który tak długo był jego celem, aż w końcu, wielu ofiarami okupiony, uwięczył tyle trudów i pracy.

A zdawało się przez chwilę, że ten tryumf zniszczenia będzie jeszcze zupełniejszy, bo prawie nikt już nie wątpił, że i świątynia teraz padnie w gruzy, ale snąć jeszcze jej godzina nie wybiła.

Tytus właśnie nazajutrz tj. 4 sierpnia, zwołał radę wojenną, aby o jej losie postanowić. Sam był jednak za ocaleniem, i ten jego głos przeważył, gdyż inne w równej mierze się rozdzieliły. Przeciwni byli tylko dowódcy 10 i 12 legii, a szczególniej prokurator Judei, Marcus Antonius Julianus; natomiast popierali zdanie Tytusa — Cerealis, Tiberius Alexander i Fronto.

Stanęło tedy na tem, że bez względu na dalsze postępowanie żydów, świątynia ma być oszczędzoną: i zaraz też, stosownie do tego, wydany został rozkaz, aby pożar opanować i rozszerzeniu się zapobiedz, a zarazem wszystko do ponownego szturmego przygotować.

A nazajutrz właśnie przypadała 656 rocznica spalania tej świątyni przez Nabuchodonozora. Ale mimo przesądu żydów, dziwny ten zbieg okoliczności, nie odebrał im ducha, nie pognębił ich do reszty. Owszem, zaledwie nieco ochłonęli z wrażenia, jakie pożar na nich wywarł, nie czekając zaczepki, sami zaraz rano wypadają z takim rozmachem i w takiej liczbie, że gdyby Tytus nie był z posiłkami nadbiegł, pewnoby rzymianie ulegli; udało im się jednak po 5 godzinnej zaciętej walce, napaść odéprzeć. Ale zaledwie się oddalił, żydzi znów, całkiem niespodziewanie i nagle, powtórną robią wycieczkę.

I wtedy to właśnie, w chwili, kiedy wznowiony bój wre w najlepsze, jeden z żołnierzy, korzystając z zamieszania, porywa głównię z dymiących jeszcze zwalisk, i niesie ją do okna świątyni, a rozgrzane już drzewo, w mgnieniu oka zajęło się płomieniem.



Na widok pożaru, żydom miecze z rąk wypadły; oniemieli z trwogi i przerażenia. Bitwa natychmiast ustała; wszyscy biegną do ognia. Zaraz też zjawia się sam Tytus, i zarówno swoich jak i żydów, do ratunku napędza. Ale głos jego tonie w zgielku. Zresztą takie powstało zamieszanie, taki bezład, że o słuchaniu rozkazów ani mowy.

Daremne nawoływania przywódców, nikt już na nie uwagi nie zwraca. To tylko całe ich szczęście, że żydzi głowy potracili, i także w rozsprzężeniu; inaczej łatwoby im teraz przyszło uprzątnąć się z tym bezładnym tłumem żołnierzy. Tytus rozkazał swej przybocznej straży płazować niesfornych, ale i to chwilowo niewiele pomogło, owszem jeszcze większy ścisk spowodowało; bo unikając razów, jedni drugich pchali, bardziej przez to tłok zwiększając. Wszyscy bowiem tyle się nasłuchali o niezmiernych bogactwach tej świątyni, że każdy by teraz rad w nich palce umoczył, a ztąd chciwość wzięła górę nad karnością, od której może nawet ich życie teraz zależało. Kiedy więc jedni z rozkazu Tytusa ratują, drudzy tymczasem, porwani żądzą rabunku lub zemsty, wpadli do wnętrza i tam, mordując każdego, kto im w drodze stanął — kapłanów, kobiety, dzieci — szukają kosztownych rzeczy, grabią złote i srebrne ozdoby.

Do sanctuaryum jeszcze się płomień nie wdarł. Tytus uderzony jego pięknnością, surowo polecił, aby chociaż tę część uratowano. Zaledwie się jednak oddalił, kiedy jeden z własnej jego straży, może zły, że sam nie może brać w rabunku udziału ogień podłożył.

Teraz, kiedy już cały gmach bez ratunku skazany na zagładę, wielu żydów z rozpaczy dobrowolnie w płomieniach ginęło. Inni szukali ocalenia na dachu królewskiego klasztoru — ale gdy się

tego do 6000 zebrało, wtedy i tam ogień podłożono; ani żywa dusza nie uszła śmierci!

Tymczasem Szymon, Jan i Janek, widząc, że już wszystko stracone, zebrawszy resztki swoich, ostatnim wysiłkiem przerznęli się do górnego miasta, gdzie na razie można było choć przez chwilę spokojnie odetchnąć.

Tu dopiero Janek długim niewywczasem i wrażeniami strasznych wypadków złamany, zupełnie wyczerpany, zaraz rzucił się na łóżko, jak kawał drzewa, całkiem obojętny już na wszystko, cokolwiek jeszcze stać się może — zgola nawet o tem nie myślał. Ale o śnie ani mowy nie było. Leżał tylko błądy i nieruchomy jakby martwy, ze wzrokiem wciąż w jeden punkt utkwionym, a pierś szyłko falowała. Trochę dopiero oprzytomniał, kiedy go Janasz podniósł i kubek świeżej wody mu podał.

— Wstań — mówi — może za chwilę wszyscy odpoczniemy, ale teraz jeszcze nie ma czasu do stracenia.

Zaraz też weszli inni — a było tego jeszcze 12 — i w milczeniu stanawszy, wzrokiem tylko pytają: Co robić?

Janek resztką sił powstał, i trąc krwią i błotem zbrzygane czoło, jakby myśli zbierał, po chwili dopiero przemówił.

— Stało się — rzecze. — Widać taka wola Boga. Teraz już nie pozostaje nic, jak tylko pomyśleć o własnem ocaleniu.

Zdumienie odmalowało się na twarzach rozbitków. Spojrzeli, jak gdyby własnym uszom niedowierzając. Śmierć już zdawała się prawie nieuniknioną, a tu im jeszcze o ocaleniu mówią, jeszcze promyk nadziei dają, gdy już wszystko mieli za stracone.

— Ale jak? — odważył się jeden zapytać.

— A jak? a co? — niecierpliwie przedrzeźnia Janasz. — Co tu długo opowiadać. Dość, że jest sposób i basta. Pójdźmy, pójdźmy!

Ale Janek, wcale nieuważając na wezwania Janasza, spokojnie zaczyna opowiadać, jak gdyby ani jemu, ani zgoła nikomu, żadne niebezpieczeństwo nie groziło i czas nie naglił. — Janasz mu jednak nie daje skończyć, lecz sam za niego kończy.

— Oto jednym słowem — przerywa — mówiąc krótko węzłowato, sam głodem przymierając, oddawał swą żywność pewnemu sąsiadowi dla jego chorej żony i dziecka. Był to robotnik pracujący przy wodociągu. Gdy mu żona wyzdrowiała, oboje z dzieckiem uciekli, ale z wdzięczności, przedtem wskazał mu poczciwy człowiek tę samą podziemną drogę. Ot co. A teraz dalej, chodźmy, bo lada chwila może być zapóźno.

— Jeszcze słówko — wstrzymuje Janek. — Jeden z was, ty albo Ruben, musi tą samą drogą przeprowadzić potem i tamtych.

— Może Szymona i Jana? — podchwytuje Janasz. — Jeszcze czego! Ani mi się nie śni.

— To ty Ruben dla mnie to uczynisz, prawda?

Janaszowi zrobiło się przykro. Zaraz pożałowałszy swych słów, chciał jeszcze coś mówić, ale go inni zagłuszyli.

— Nie, nie! — woła jeden przez drugiego. — Janasz ma słuszność.

— Niech umierają!

— Wszak to oni tyle ludu namordowali!

— A któż to spalił zapasy?

— Gdyby nie oni, i po dwóch latach jeszczeby nikt nie cierpiał głodu.

— Nikt tylko oni winni, że dziś świątynia w gruzach!



— Miasta nigdy nie mogliby zdobyć, gdyby nie głód.

— Niech giną, lotry!

Tu Janek ręką dał znak, aby się uciszono.

— Zwykła to kolej rzeczy, taki los zwyciężonych. Jeszcze nie umilkły jęki, nie zagasły pożary, jeszcze nad nami wisi groźba śmierci, a już jeden drugiego oskarża, już się kłócimy: kto winien. Przyznaję, wszystko to prawda, coście powiedzieli, ale czy możecie zaręczyć, że tylko oni jedni tu zawinili? Czyż Bóg za ich winy karałby cały swój lud? My wiemy tylko, że na naszym sumieniu nie ciąży żadne morderstwo, żadna grabież — spełniliśmy nasz obowiązek, uczynili wszystko co było w naszej mocy. Przyjdzie kiedyś i na nas i na nich czas sądu — wtedy niech winni odbiorą zasłużoną karę, ale dziś myślimy tylko jak siebie i drugich ocalić. Bóg nie na to dał człowiekowi życie, aby je rzucać bez potrzeby, i aby go nie ocalić, gdy można. Więc ty, Ruben, zajmiesz się ich przeprowadzeniem... Ale jeszcze jedno. Czasu nam wystarczy, bo zwycięzcy dość tam mają roboty, nieprędko się tu zjawią. Przedewszystkiem więc posilmy się nieco. Udało mi się nabyć od zelota kawał chleba, który może komuś zrabował. Chowałem go jak relikwie, — dodał, wyciągając zawiniątko — wiedziałem, że się przyda na czarną godzinę. Pewno już suchy jak kamień....

— To nic, to nic — zawołał jeden, pożądlivym wzrokiem patrząc mu na rękę.

— Mam zdrowe zęby — dorzucił drugi już prawie wesoło, jakby zapomniał, że nad nim'jeszcze śmierć wisi.

Ale gdyby nawet już do drzwi pukała, to może i wtedy jeszcze żaden nie odstąpiłby tej odrobiny chleba.

Jeden tylko Janasz, widać mniej głodny, niecierpliwie przedeptując z nogi na nogę, wciąż nagli, radząc, aby każdy wziął kawałek w kieszeń, a czasu tu nie tracił.

Janek właśnie chciał mu coś na to odpowiedzieć, gdy w tem zadudniało na ulicy, i doleciał ich uszu gwar wielu głosów, pomięszany ze szczękiem rzymskiej zbroi.

Słowa mu na ustach zamarły.

---

## ROZDZIAŁ XX

### Na zgliszczach.

Pomylił się Janek przypuszczając, że zwycięzcy dłużej się tam zabawią. Skoro się tylko udało Tytusowi porz ądek przywrócić, zaraz Cerealisa wysłał w ślad za uciekinierami; ale tymczasem też zjawili się u niego wysłańcy Szymona i Jana z oświadczeniem, że chcieliby ugodę zawrzeć. Tytus dość mając tych mordów i pożogi, w odpowiedzi oświadczył, iż gotów wszystkim darować życie, jeśli natychmiast broń złożą. Na to jednak zgodzić się nie chcieli, twierdząc, że przysięga nie pozwala im broni złożyć; chętnie jednak miasto mu oddadzą, jeżeli im pozwoli razem z rodzinami bez przeszkody wyjść w dalekie dzikie okolice.

Tytus biorąc to po prostu za kpiny, z gniewem zapowiedział stanowczo, że odtąd nikt już na jego przebaczenie liczyć nie może. Zaraz też polecił spalić wszystkie w pobliżu świątyni stojące budynki.

Z pożaru tego chwilowo jeszcze ocalał tylko pałac Heleny, zajęty przez jej potomków, należących do królewskiej rodziny Adiabene, którym Tytus wyjątkowo dał u siebie schronienie. Rozgniewani taką ich ucieczką pod skrzydła rzymskiej opieki,



Szymon i Jan napadli na pałac, i 7000 zgromadzonego tam ludu wymordowali, a zrabowawszy w dodatku całą dzielnicę, z bogatym łupem wrócili.

Oburzony tem Tytus, kazał znów także zburzyć całą połąć między świątynią a źródłem Siloama, poczem przystąpił do sypania wałów w pobliżu pałaców Heroda i Agryppy, aby całkiem zamknąć niedobitków ściślejszym pierścieniem.

Tymczasem edomici Szymona radziby już walki zaprzestać. Ztąd 5 z ich starszyny potajemnie zniósło się z Tytusem, ale zdradzeni, życiem zamiar zdrady przypłacili.

Mimo wielkiej czujności ze strony Szymona i Jana, wielu mieszkańców zdołało jednak ująć do obozu rzymian, którzy ich częścią w niewolę zapredali, a częścią nawet swobodnie puścili.

Tymczasem 1 września Tytus przystąpił do zdobywania murów pałacu Heroda. Oblężeni jednak nie byli już w stanie bronić się dłużej. Teraz już namyślali się tylko, co im pozostało: czy zamknąć w jednej z wież, czy też spróbować przerznąć się. Wybrali to ostatnie, ale odparci, rozbiegli się nakoniec, kryjąc po piwnicach i kanałach, gdzie kto mógł.

Teraz zwycięzcy bez żadnego już oporu całe zajęli miasto, mordując wszystkich, bez względu na wiek i płeć, chociaż i tak już znaleźli po domach znacznie więcej trupów niż żyjących.

Wprawdzie zaraz nazajutrz wydany został rozkaz, że tylko pochwyconych z bronią w ręku, wolno zabijać; ale mimo to, rozbestwione już żołdactwo, nie przebaczało nikomu, z wyjątkiem tylko takich, którzy mogli większą przedstawiać wartość, jako niewolnicy. Mnóstwo też tych nieszczęśliwych spędzono na dziedzińce świątyni; a tak już byli wycieńczeni, że ich tam z górą 11,000 zaraz padło.

Z pozostałych zaś przy życiu, niektórzy wybrańcy mieli posłużyć jako ozdoba tryumfalnego wjazdu Tytusa do Rzymu, innych zaś częścią rozdano różnym amfiteatrom, jako gladjatorów, do potykania się z dzikimi zwierzętami przeznaczonych, a część została sprzedana lub do robót publicznych w Egipcie użyta.

Zaczęto w końcu przetrząsać piwnice i kanały; a wszyscy w nich ukryci, bez wyjątku zginęli. Tylko ani Szymona, ani Jana, mimo najskrzętniejszych poszukiwań, nigdzie znaleźć nie było można. Wyznaczono nawet nagrodę za żywych lub zmarłych, ale i to nie pomogło. Ani śladu, przepadli jak kamień w wodzie.

Teraz z rozka u Tytusa dokończono dzieła zniszczenia. Całe miasto zostało z ziemią zrównane; ocalały tylko trzy najpotężniejsze wieże — Hippicus, Phasaelus i Mariamne, — może na świadectwo historyczne, aby wiecznie mówiły potomnym, jakie to twierdze umieli rzymianie zdobywać.

Tymczasem głodem przymuszeni, najpierw Jan a potem Szymon, obaj sami wyszli ze swych kryjówek i obaj też w łańcuchy zakuci, popłynęli potem do Romy, aby tam iść przy wozie tryumfalnym swego pogromcy.

---

### Zakończenie.

Stare wodociągi niegdyś, jeszcze podobno z rozkazu króla Ezechiela zbudowane, ale przez babilończyków zniszczone, tylko częścią były jeszcze w użyciu, lecz główny ich kanał, oddawna poszedł w zapomnienie.

Tą właśnie drogą uchodził Janek i jego towarzysze.

A z początku wszystko szło jakoś dobrze. Nawet już i głód im nie tak bardzo dokuczał, bo przeczorny Janasz, zawczasu do kanału naznosił różnej żywności. Dopiero kiedy już znaczny kawał uszli, i zatrzymali się na nocleg w jakiejś opuszczonej chacie, przydybał ich tam we śnie, handlarz arab, który ze swą strażą i swoim żywym towarem, także tam zamierzał przenocować.

I oto ci, którzy cało wyszli z tyłu bitw morderczych, z tyłu pogromów i rzezi, teraz budzą się w więzach jako niewolnicy, jako własność jednego nędznika.

Janek mu proponował okup, byle tylko któregoś z nich po pieniądze posłał, ale arabowi pilno z towarem na targ do Alexandryi, nie chce więc czekać.

Szczęściem, wszystkich trzech — Janka, Rubena i Janasza — nabył jakiś bogaty i dość ludzki



rzymianin, więc jeszcze nie było im tak bardzo źle. A kiedy wreszcie doszła wiadomość, że Tytus już do Romy wrócił i wjazd tryumfalny odbył, wtedy na koniec Janek postanawia zakolatać do niego. Teraz dopiero okazała się cała nieoceniona wartość owego pierścienia. Dzięki bowiem temu talizmanowi, właściciel zaraz pozwolił do Romy jechać, i nawet w pieniądze na drogę zaopatrzył.

A właśnie w dniu przyjazdu Janka do wiecznego miasta, zapadł wyrok skazujący Szymona na śmierć, a Jana z Giszali na dożywotnie więzienie.

Ale niemiłe to pierwsze wrażenie, zatarło uprzejme przyjęcie u Tytusa, który nie tylko, że zaraz na jego prośbę kazał przywieźć Janasza i Rubena, ale nadto chciał mu swym wpływem wyrobić znaczny urząd; a i teraz jeszcze usłyszawszy odpowiedź odmowną, rzekł:

— Przecież Tytus nie może już mniej nad to ofiarować swemu zwycięzcy i przyjacielowi. Musisz przyjąć zarząd rodzinnego okręgu i trochę złota na zapomogi dla tych jego mieszkańców, którzy bardziej wskutek wojny ucierpieli. A ta drobnostka, to dla twej narzeczonej — dodał, podając mu piękną, drogiemi kamieniami sadzoną zapinkę.

Nie było rady, musiał wszystko przyjąć.

Znów tedy razem z Janaszem i Rubenem, wraca Janek do swoich, i to jako wielki dygnitarz. Ale właśnie to dygnitarstwo, z początku całe szczęście mu zatruwało, bo bał się posądzenia o zdradę za przykładem Josephusa. Wkrótce jednak zjednał sobie ogólny szacunek i miłość wszystkich mieszkańców.

Stara Miriam już teraz nie złorzeczy wojnie, owszem, przeciwnie, bo kołysząc pierworodnego syna Janka, nieraz się sprzecza ze Starym rabi Ben Manaseh, któryby go chciał koniecznie na kapłana

wykierować, ona zaś radaby go widzieć wojakiem, a potem takim jak tatuś dygnitarzem.

A dodać należy, że mimo tak wysokiego urzędu, Janek do końca życia pozostał na ojczystym zagonie. Raz jeden tylko opuścił na chwilę kraj rodzinny, aby po śmierci Wespazyana, osobiście powinszować Tytusowi wstąpienia na tron cesarów.

Ale mógł spokojnie z domu się oddalić, wiedząc, że go zostawia pod opieką swych nieodstępnych, wiernych przyjaciół — Janasza i Rubena.

Koniec.









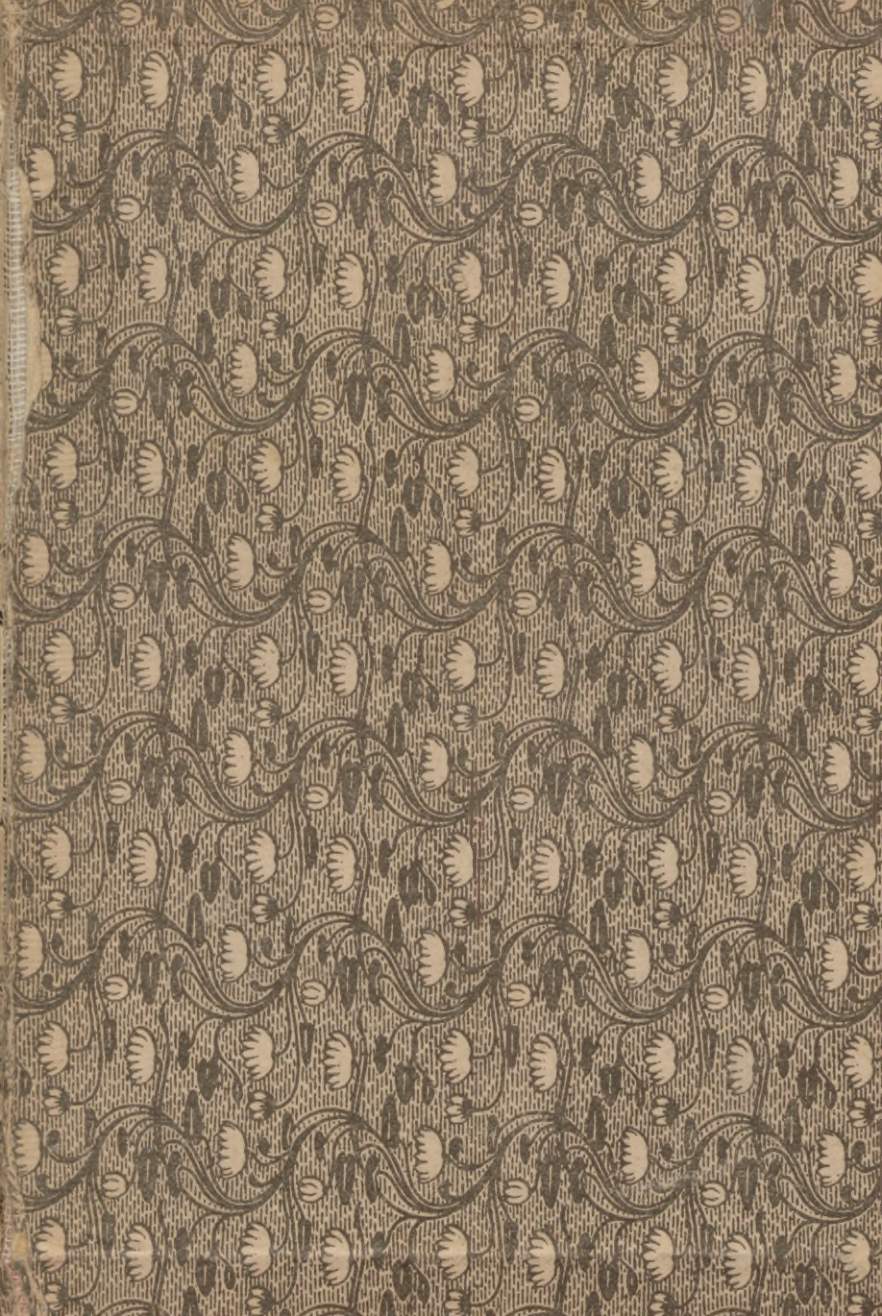
5











WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA  
250343

Biblioteka WSP Kielce



0050085